

**Karol Witkowicki**

**Fabryka młodości**

Była zaledwie godzina dziewiąta wieczorem, a Warszawę od dawna już otuliły mroki nocne. Na głównych ulicach płonęły latarnie, zasnute bielą śniegu, jarzyły się światła reklam, migały światełka przemykających samochodów i dorożek, ale przechodniów było niewiele. Była to jedna z tych okrutnych nocy wielkowiejskich, kiedy to zima wzięwszy już świat w posiadanie, znęca się bezlitośnie nad każdym spóźnionym przechodniem.

Kiedy tak działo się na głównych arteriach miasta, cóż dopiero mówić o licznych bocznych ulicach, zamieszkałych przez uboższą ludność. Tu miasto, mimo stosunkowo wczesnej pory, wydawało się jak wymarłe. Na chodnikach, na których roztopiający się śnieg tworzył grząskie błoto, nie widać było nikogo. Niekiedy tylko przesunął się ktoś szybko pod murem, jak złoczyńca, chcący ujść sprawiedliwości. Na jezdni z rzadka zastukały miarowo kopyta konia ciągnącego dorożkę lub jeszcze rzadziej rozlegał się sygnał przejeżdżającego samochodu.

W północnej dzielnicy Warszawy, zamieszkałej przeważnie przez najuboższych handlarzy i kupców żydowskich, dzielnicy tak gwarnej, tak namiętnej hałaśliwej w czasie dnia, całe życie zamarło tuż po dziewiątej wieczorem. Nieliczne w tej dzielnicy kina i teatry wabiły zdawało się, że 'na próżno mdłym światłem reklam; gdzieś tam tliła się jeszcze lampka w jakiejś sodowiarni, zwanej tu szumnie cukiernią lub w jakiejś wędliniarni, na której szyldzie egzotyczne litery ogłaszały, że tu dostać można parówek i herbaty z plackami.

Tylko przed jedną z wielkich ponurych kamienic, których podwórza przypominają pasaż bez końca, czy też jakieś koszarne uliczki bez wyjścia, stał milczący i ponury, ale zbity tłum ludzki. Przechodzień, który przybliżył się do tego tłumu, widział, że tłum ten stoi w karnej kolejce i że składa się z samych nędzarzy.

Nic dziwnego. W tym domu bowiem mieścił się słynny w całej Warszawie dom noclegowy dla nędzarzy, zwany popularnie „Cyrkiem”. Mieszkańcy tego domu stali przed wrotami czekając, aż przyjdzie na nich kolej wykupienia biletu na nocleg. Większość tych ludzi znała się między sobą doskonale. Byli jak dobrze zgrani uczniowie tego samego internatu, jak mieszkańcy jednego i tego samego hotelu, w którym spotkali się na wakacjach. Witano się ze sobą wzajemnie, pożyczano sobie papierosy, a nawet serdelki czy pajdy chleba, zapijano wódkę z butelki, która krążyła od jednego do drugiego. Ta straszna nędza ludzi nie mających własnego dachu nad głową i nie mogących nic na świecie nazwać swoją własnością, wyglądała z bliska całkiem wesoło. Ale nie wszyscy byli tak zadowoleni, zadowoleni w „cyrku” i zgrani z otoczeniem. Gdzieś tam natknąć się było można na twarz tragiczną, bladą lub szarą, na śmiertelnie smutne oczy spoglądające dziko lub co najmniej nieufnie.

Pod murem, w miejscu, którego wnęka chroniła nieco od mokrych płatków śniegu, spadających bez przerwy z burego, nisko zwisłego nad dachami nieba, stał mężczyzna od dawna nie golony, z podniesionym kołnierzem marynarki, drżący na całym ciele z chłodu. Nie znał go tu nikt i on nie znał nikogo.

Był to Franek Przybosz.

Jakże straszliwa droga przywiodła go tu do przytułku nędzy i przestępstwa! Jakże potworne musiał przejść koleje, nim doprowadzony do ostateczności dostał się aż tutaj.

Przytulany kolejno przez kilku kompanów swych pijackich wypraw, znalazł się pewnego dnia całkiem na bruku. Do żadnego z przyjaciół nie mógł już pójść na nocleg: tutaj straszyla go zła żona, tu znowu sam gospodarz dał mu do poznania, że nadużywa jego gościnności, gdzie indziej sam wstydził się pójść wiedząc, że gospodarz pozbawia się dla niego łóżka. Nie wiedział dokąd pójść, gdzie się obrócić. Przez mgnienie zaświtała mu myśl, by posłuchać siostry, która go tak bardzo kochała i za ostatnich kilka złotych, jakie posiadał, wrócić do niej do Moran. Ale gdy podczas spadającego zmroku, stojąc u zbiegu Nowego Świata i ulicy Wareckiej, popychany przez wciąż na nowo przepływającą falę przechodniów, wyobraził sobie swój powrót do Moran, wzdrygnął się, jak gdyby go ktoś dotknął rozpalonym żelazem.

„Nie, nie, tylko nie to”, pomyślał i myśl jego zaczęła dalej błąkać się bezradnie.

„A może by tak za ostatnie pieniądze ogolić się, jakoś wyporządzić i pójść do któregoś z dawnych przyjaciół z czasów, gdy był jeszcze na szczycie społecznej drabiny?” pomyślał nagle. „Przecież w tym świecie uczonych, w którym się w swym dawnym życiu obracał, nie brakło ludzi szlachetnych, rozumnych i wyrozumiałych na słabość i nędzę ludzką. Może go pojmy, może wyciągną dłoń, podeprą go i wyprostują drogi?”

W chwili, gdy tak pomyślał, drgnął nagle, jak porażony piorunem. Od strony ulicy Wareckiej szedł wysoki, siwiejący pan o znużonej nieco twarzy i poważnych oczach, ukrytych za szklami okularów. Obok niego szedł drugi pan w miękkim kapeluszu, o nieco roztargnionym wyglądzie. Przybosz poznał ich natychmiast: ów starszy był jego profesorem, człowiekiem, który miał do niego niegdyś pełne zaufanie, który wierzył w jego zdolności i pomógł mu w pierwszych stopniach kariery, młodszy był jednym z najbliższych i najserdeczniejszych kolegów laboratoryjnych Przybosza. Jeżeli kto z dawnego świata, który porzucił, miałby mu pomóc, to tylko ci dwaj ludzie.

Franek przytulił się do muru, bo ulica Warecka była tu u wylotu na Nowy Świat tak wąska, że przechodzący mogliby go z łatwością spostrzec. Na myśl o tym, że mogliby go zobaczyć w takim straszliwym stanie, Franek drżał na całym ciele. Tymczasem stało się coś jeszcze okropniejszego. Coś, czego nawet Przybosz nie przewidział...

W chwili, gdy dwaj profesorowie mijali stojącego pod murem Przybosza, przejeżdżało środkiem jezdni auto, rozpryskując spod opon bryzgi lepkiego błota. Profesor Przybosza odskoczył w bok, by nie zostać ochlapanym i przy tym oparł się plecami o Przybosza przylepionego niemal do muru. Samochód przejechał. Profesor spostrzegł, że trącił

Przybosza, rzucił na niego przelotne spojrzenie spod swych szkieł i nie odwracając się, wyjął z kieszeni dziesięć groszy, które odchodząc podał mu przez ramię.

Ze zmartwiałych palców Franka wysunęła się z brzękiem na chodnik mała srebrna moneta. Słyszał jeszcze, jak profesor odchodząc mówił do swego towarzysza:

– Ta żebranina na ulicach to okropne. Stoją przylepieni do murów, jak muchy...

Noc, która nadeszła po tym wieczorze, była pierwszą nocą, którą Franek Przybosz spędził jako bezdomny.

Po raz pierwszy w swym życiu patrzył z przerażeniem na pustoszejące coraz bardziej ulice miasta, po raz pierwszy w życiu zrozumiał, jakim szczęściem jest mieć własny ciepły dom, własne łóżko. Po raz pierwszy w życiu Warszawa wydała mu się jakimś wrogiem, okropnym żywiołem, wśród którego człowiek jest lichą kruszyną. Ale to jeszcze nie było najgorsze. To co nastąpiło potem było znacznie okropniejsze.

Stojąc we wnęce muru, który chronił go przed wilgotnymi dotknięciami płatków śnieżnych, w gromadzie obcych mu, a tak dobrze między sobą zżytych nędzarzy, Franek Przybosz po raz nie wiem który rozpamiętywał każdy szczegół tych okropnych kilku nocy, w czasie których rozpoczynał swą nową drogę życia: bezdomnego włóczęgi. Tych nocy, które w końcu zawiodły go tu, przed wrota „cyrku”.

Próbował w ciągu tych nocy wszystkiego.

Drzemał na ławce w poczekalni dworcowej, dopóki sztywny i uroczysty pan „władza” – jak nazywali go inni współtowarzysze niedoli – nie wypędził go bezlitośnie. Kładł się na mokrym i zdeptanym tysiącami nóg chodniku we wgłębieniu kościoła Wszystkich Świętych na placu Grzybowskiem, ale i tu wytropiło go po godzinie koszmarnego snu oko policjanta.

Leżał zwinięty w kłębek – jak kupka łachmanów, drżąc z zimna i wilgoci na ławce w Alejach Ujazdowskich, gdzie spotkał go taki sam koniec, jak na poprzednich „noclegach”.

Próbował nawet, niepostrzeżony przez nikogo, zakraść się do ciepłego hallu jednego z większych hoteli, ale portier okazał się jeszcze brutalniej szy od policjantów.

Ukrył się przed ulewnym deszczem i zimnem pod filarami mostu Poniatowskiego, na schodach prowadzących na wiadukt, ale stąd wygnali go stali „mieszkańcy”, ci, którzy od dawna okupowali to upragnione miejsce.

Zewsząd wyganiano go jak bezdomnego psa. Tropiono go, polowano na niego, urządzano zasadki. Śmiertelnie wyczerpany włóczył się po ulicach. A gdy zapadła już czwarta noc od tej chwili, gdy nie miał gdzie przenocować, zdecydował się na dom noclegowy. Jeszcze przed kilkoma dniami przejmowała go odrazą myśl o noclegu w zaduchu, smrodzie, wśród oddechów i chrapania dziesiątków nędzarzy. Teraz marzył o tym zaduchu jak o najbardziej wyśnionym ciepłym domowym, a obecność towarzyszy snu wydawała mu się rajem wobec potwornej samotności pod wielkim, bezlitosnym, nocnym niebem miasta.

Rozmyślenia Przybosza przerwał gwałtowny ruch, jaki wstrząsnął kolejką czekających.

Otwarto wrota przytułku. Przybosz poszedł za innymi. Robił to samo, co inni. Tak samo

wtłoczył się do ciasnego korytarza. Tak samo podszedł do okienka, skąd jakaś ciemna dłoń podała mu bilet z numerkiem, oznaczającym miejsce w sali przytułkowej w zamian za podaną przez niego monetę.

Sala, do której wtargnął tłum spragnionych wypoczynku nędzarzy, była pogrążona prawie w zupełnym mroku. Wysoko, pod sufitem paliła się mdłym blaskiem lampka elektryczna, popstrzona zresztą przez muchy. W jej blasku ujrzał Franek drewniane prycze, zbudowane jedna nad drugą jak w wagonach sypialnych. Na każdej pryczy leżała wąta poduszka w nieokreślonej barwy powleczeniu oraz szary koc.

Dyżurny zaprowadził Przybosza do jego łóżka. Nie rozbierając się, Franek wsunął się pod koc i leżał chwilę bez ruchu, rozkoszując się ciepłem bijącym od znajdującego się nie opodal pieca. Nie raził go okropny zaduch znoszonej odzieży, zachryple pijackie głosy towarzyszy, butelki monopolki wyjmowane zza pazuchy i chciwie przytykane do gardzieli. Nie myślał o niczym. Leżał wyciągnięty nieruchomo, grzejąc zmarznięte, zsiniałe ręce pod kocem, który w innych warunkach napelniałby go wstrętem.

Z tych rozmyślań obudził go jakiś zachryply głos, który nad uchem zawołał do niego:

– Te, profesor, czego tak leżysz jak lala?

Na dźwięk słowa „profesor”, Przybosz usiadł na swym legowisku, jak rażony piorunem. Był pewien, że przekraczając straszne wrota przytułku dla bezdomnych, zostawia raz na zawsze za sobą całe swe przeszłe życie ze wszystkim, co się z nim łączyło, a więc razem z owym dawno już dla niego przebrzmiałym tytułem.

Niegdyś tytuł ten napawał go dumą. Pamięta dobrze, jak bardzo uradował się, gdy po raz pierwszy w sali, gdzie wykładał jako młodziutki student, studentka, która po wykładzie przyszła prosić go o podpis w indeksie, nazwała go „panem profesorem”.

Potem przyzwyczaił się już do tego swego tytułu, choć wciąż był z niego dumny. Gdy nastąpiła okropna chwila, kiedy z własnej jego winy został pozbawiony prawa do używania go, nie mógł nawet słyszeć tego wyrazu w ustach innych. Ale i to minęło. Zagoiły się pierwsze rany i Przybosz z uśmiechem słuchał, jak na pijackich libacjach nazywano go żartobliwie „profesorkiem”.

Ale tutaj? Skądże tutaj wiedziano kim jest? Kto ośmielił się w tym nowym otoczeniu, które niejako przypieczętowało wyrok na przemianę w nędzarza, przypomnieć mu, kim był dawniej?

Podniósł oczy. Tuż przy jego łóżku stał jakiś wysoki drab z chusteczką na szyi.

– Dziwi się profesor, że go tak nazywam? – spytał. – Ale my tu wszystko wiemy. Wystarczy obejrzeć sobie w kancelarii paszport wielmożnego pana, a już wszystko staje się wiadome. Ale nie pusz się pan tak bardzo. Nie takich tu mieliśmy i mamy. Zaraz przedstawię ważniejszych z kompanii. Tylko że się pan musi wkupić w nasze towarzystwo. Niedrogo... jedna butelka monopolki i szlus...

Przybosz oszołomiony, nie odpowiadał ani jednym słowem na ten potok słów. Zrozumiał

tylko jedno, że widocznie dyżurny, któremu oddał paszport, musiał wypaplać przed tymi ludźmi, kim on jest. Drab ciągnął dalej z niezmaconym spokojem:

– No, daje profesorek czy nie? Jeszcze może któryś skoczyć po wódkę. Potem będzie za późno.

Kolo łóżka Przybosza skupiło się parę postaci. Nacierwały coraz groźniej, żądając stanowczo owego wkupienia się w towarzystwo. Franek rozumiał, że nie może zadzierać z tymi ludźmi. Zrobił więc, co kazali.

Dopiero wtedy rozwiązał się język drabowi. Przedstawił się Przyboszowi jako Wicek zwany Cwaniakiem, jeden z najstarszych lokatorów „cyrku” i zaczął, jako nobliwemu gościowi, od pokazania mu znakomitości ich sali.

– Ten pod oknem to książę. Żeby profesor wiedział, że prawdziwy książę, tylko Moskal. W Rosji miał majątki, służbę, konie, kobiety, a tutaj ma... – zaśmiał się cynicznie dorzucając, co ma obecnie nieszczęśliwy książę.

– Tamten – ciągnął dalej Cwaniak – to generał. Także Moskal. Pułki to miał, palce lizać. Cóż, kiedy rewolucja przeszkodziła. Musiał czmychać, a tutaj skończyło się generalstwo. Teraz jest dorożkarzem, zawsze znał się na koniach. Ale własnego konia jeszcze nie ma. No i nie ma jeszcze innego noclegu... „Cyrk” najlepszy dla naszego brata.

A tamten grubas, co zdejmuje skarpetki, to był bogaty kupiec, ale go spekulacje zrujnowały.

Długo jeszcze zaznajamiał go Cwaniak z ważniejszymi lokatorami sali. Tymczasem większość lokatorów ułożyła się do snu po długim dniu, spędzonym pod gołym niebem, na zalanej deszczem i śniegiem ulicy.

Tylko w jednym kącie jakaś dobrana kompania grała w karty, chowając je pod koce, gdy zbliżały się kroki dyżurnego, obchodzącego salę.

Franek położył się znowu. Naciągał na głowę szorstki koc, pachnący stęchlizną i ubóstwem, oparł głowę na twardej poduszce i starał się zasnąć. Mimo szalonego znużenia, sen nie przychodził. Wielką izbę napełniały oddechy i ciężkie chrapania śpiących. Ktoś zanosił się na drugim końcu sali ciężkim, chrypiącym kaszlem. Ktoś inny przeklinał najgorszymi wyrazami. Za mętными szybami okien cicho i bezszelestnie padały wielkie płaty śniegu.

Ciężki, dławiący smród unosił się nad szarymi tapczanami, które w mdłym świetle lampek nocnych wyglądały jak mary ze spoczywającymi na nich umarłymi.

W tej niskiej, dusznej i ciemnej sali, przepelnionej ciałami ludzkimi, nie wszyscy spali. Z jednego kąta dolatywał szelest rozkładanych kart i zachryple głosy grających, a na pryczy pod oknem siedziało obok siebie dwu ludzi. Przy tapczanie płonęła chwiejnym blaskiem zatknięta w butelkę świeczka „prywatna”, jak tu mówiono. Stearyna spadała z knota grubymi kroplami, oblepiając ją coraz szczelniej. Sąsiedzi tego tapczana wiedzieli, że przy świeczce tej czyta codziennie do późnej nocy „profesor”, który zakwaterował się tu przed niespełna

miesiącem. Lubiono go dosyć, bo był całkiem spokojny i nikomu nie przeszkadzał. Nawet wówczas, gdy przychodził pijany, wsuwał się milcząc pod szary koc i chrapał.

Teraz, w chwiejnym blasku świeczki, która rzucała długie cienie na gładką ścianę, człowiek, zwany „profesorem”, rozmawiał z jakimś wybladłym, niestarym jeszcze człowiekiem. Był to jeden z „nowych”. Przybosz pamiętał doskonale własną pierwszą noc w „cyрку” toteż przybycie każdego „nowego” wzbudzało w nim współczucie.

Wkrótce przekonał się, że to współczucie nie zawsze jest na miejscu. Byli tacy lokatorzy, dla których przybycie do „cyрку” bynajmniej nie było tragedią. Ci, którzy wracali z więzienia, radzi byli, że rano mogą swobodnie wyjść na ulicę, a byli tacy, którzy dom noclegowy uważali za ideał hotelu. „Tych kilka groszy zawsze człowiek użebrze i spokój”, tłumaczył mu jeden z takich jegomościów, „przynajmniej nie trzeba pracować”.

Powoli Przybosz nauczył się rozróżniać wśród nowych przybyszów tych, dla których nocleg tutaj połączony był z tragedią od takich, którzy byli tu całkiem na miejscu.

Nie dalej jak wczoraj przybył „nowy”. Franek, leżąc na swej twardej prycy, słyszał, jak ten wybladły człowiek o twarzy wynędzniałego inteligenta, długo w noc przewracał się na swej prycy, umieszczonej nad głową „profesora”. O pewnej godzinie zdawało mu się nawet, że słyszy nad sobą coś w rodzaju szlochania. Postanowił pogadać z tym człowiekiem. I wtedy to w ciszy nocnej, przy akompaniamencie kaszlu, chrapania, stękania i przekleństw śpiących i czuwających, Przybosz zaczął słuchać strasznej, choć tak bardzo powszedniej epepei.

Nazywał się Józef Blenda, był wykwalifikowanym buchalterem. Miał posadę w jednej z większych firm prywatnych, filii łódzkiej manufaktury w Warszawie. Miał 550 złotych miesięcznie, mieszkanko trzypokojowe na Złotej, żonę i trzy miłe córeczki. Życie jego było uregulowane jak zegarek. Biuro, raz na tydzień kino z żoną, raz na rok urlop, który spędzali „na letniakach” w Urlach. Żona była gospodarna i oszczędna, jakoś na wszystko starczyło...

Na gładkiej ścianie chwiały się olbrzymie cienie dwu rozczochranych, pochylonych ku sobie głów. Były buchalter już dawno przesiadł się na legowisko Przybosza, by móc mu łatwiej opowiadać. Siedział teraz skurczony, osłonięty wytartym płaszczem, którego podniesiony kołnierz osłaniał mu do połowy twarz o dawno nie golonych policzkach, twarz trupio bladą, o dziwnie zaciętym wyrazie ust. Opowiadał miarowym, trochę zachrypłym głosem. Przybosz słuchał uważnie. Rozumiał, że opowiadanie przynosi ulgę temu zrozpaczonemu, a jednocześnie sam odczuwał dziwną przyjemność, wsłuchując się w historię upadku człowieka, historię tak różną od jego własnej. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że jego upadek nastąpił z jego winy, że gdyby nie nieszczęsne pijaństwo, byłby do tej pory szanowanym docentem, a może już profesorem. Toteż bolesną rozkosz sprawiało mu słuchanie dziejów człowieka, którego upadkiem pokierował los, bezlitosny, potworny, bez żadnej jego winy.

A tamten mówił z głową nisko pochyloną, monotennie, jak gdyby powtarzał wiele razy przemyślaną lekcję.

– ... więc wiedzieliśmy wszyscy w biurze, że będą redukcje, ale o mnie mówiono najmniej. Miałem, uważa pan, świetną markę u moich przełożonych. Czternaście lat nienagannej pracy... to coś znaczy...

Umilkł i roześmiał się cichym, chrypliwym śmiechem, powtarzając jeszcze raz:

– ... to coś znaczy. O, tak.

Pewnego ranka, pamiętam jak dziś, był cudny wiosenny dzień i żona – po raz pierwszy przygotowała mi letni garnitur, miał już dwa lata, ale był bardzo porządny, wyczyszczony, przycerowany... Więc tego dnia zawezwał mnie do siebie szef. Myślałem, że to kwestia urlopu i układałem sobie, że wezmę chyba na czerwiec, bo czułem się jakoś zmęczony i miewałem ataki kaszlu. Dostałem, o dostałem urlop... jeszcze się nie skończył...

Zawinął się szczelniej w podarty płaszcz, jak gdyby nagle wstrząsnął nim lodowaty dreszcz. Opowiadał dalej wciąż tym samym, trochę szyderczym, trochę monotonnym głosem. Następowały jedno po drugich fakty, bezlitosne ogniwa w łańcuchu nadchodzącej nędzy.

Redukcja, bo na jego miejsce już nie trzeba było nikogo, oszczędności firmy, która, jak wiele innych, chyliła się ku upadkowi. Trzymiesięczna pensja, wypłacona skrupulatnie, a jakże, nie mógł mieć do nich żadnej pretensji.

– Kiedy dostałem do ręki naraz tyle pieniędzy, po potrąceniach było tego 1500 złotych, miałem przez chwilę uczucie radości. Nie przeczuwałem, że to już koniec. Wyobrażałem sobie, że znajdę posadę prędzej niż za trzy miesiące i że w ten sposób wygram jeszcze na czysto. Nie wiedziałem...

I znowu nastąpiło opowiadanie tak bezbrzeżnie tragicznych, choć tak bardzo powszechnych teraz faktów.

Szukanie posady. Szeleszczące arkusze Kuriera, który wydaje się ostatnią deską ratunku dla tych odepchniętych od zarobków. „Drobne ogłoszenia”. Studiowanie ich aż do bólu głowy, aż do utraty tchu, do nieprzytomności. Potem podanie własnego ogłoszenia. „Buchalter z długoletnim doświadczeniem, znakomitymi referencjami poszukuje posady od zaraz. Oferty „Sumienny”. To czekanie na oferty. I nic. Znowu nic. Wszędzie przychodzi się o minutę za późno. Wszędzie jeden potworny wyraz „zajęte”.

A potem początek końca. Pierwsza rata za komorne przechodzi bez zapłacenia.

– Czy pan wie – mówił w chwiejnym blasku świeczki były buchalter do byłego profesora – co to jest dla ludzi mających dom i rodzinę, kwit za komorne? Czy pan wie, że jest to świętość przechowywana w najpewniejszym miejscu, bo ten kwit oznacza dach nad głową i przynależność do społeczeństwa...

Moja żona chowała kwit za komorne w blaszanym pudełku w szufladzie komody, ale pewnego dnia było tam o dwa kwity za mało. I wtedy...

W tejże chwili w sali przytułku zrobił się jakiś ruch. Za drzwiami zatupały liczne kroki. Przez szparę w drzwiach wpadła smuga zapalonego nagle na schodach światła. Blenda poruszył się niespokojnie.



– Co to? – spytał Przybosza.

Ale „profesor” odpowiedział obojętnie, nasłuchując dolatujących zza drzwi szmerów.

– E, to nic, to tylko obława policyjna.

„Obława!” Ten wyraz, powtarzany szeptem lub półgłosem od jednego legowiska do drugiego działał magicznie. Podnosiły się jedna za drugą poczochrane głowy znad szarych koców, na ścianach zamajaczyły cienie poruszających się postaci. Tu się naradzano, tam jakaś postać skamieniała z przerażenia, patrząc na drzwi, zza których mieli się ukazać policjanci.

Przybosz znał dobrze takie chwile. Od czasu, gdy nocował w przytułku, bywał już kilkakrotnie ich świadkiem. Wiedział, że największy niepokój obudzi ta wiadomość w prawym kącie sali pod drzwiami wejściowymi. Tam bowiem, na kilku sąsiadujących ze sobą tapczanach, spoczywali ludzie, którzy co prawda byli najporządniej ubrani ze wszystkich lokatorów „cyрку”, ale za to najbardziej przeszkadzały im odwiedziny policji.

Istotnie, w tamtym końcu zaniepokojono się poważnie. Jakiś wysoki człowiek zeskoczył z górnej pryczy i osłonięty szarym kocem biegał niespokojnie po sali, jak postrzelony ptak, który nie może znaleźć sobie miejsca na to, by umrzeć.

Sąsiad z prawej strony Przybosza powiedział leniwie:

– Widzi „profesor”, nie zdążył wstąpić do meliny i zostawić łupu i tera ma pietra.

Drab zbliżył się właśnie do nich. W ręku miał niewielkie zawiniątko.

– Profesorze – powiedział przymilnie – was nigdy nie tykają, schowajcie mi to na chwilę.

Przybosz zawahał się. Ale tamten nie zważając na jego wahanie, rzucił mu zawiniątko na koc i bosa stopy zadudniły po podłodze. Uciekał w stronę swego posłania. Przybosz nie zdążył nic zrobić, gdy w tejże chwili drzwi sali otworzyły się szeroko i wraz z falą światła wszedł oddział policjantów poprzedzany przez gospodarza. Zapłonęły blade lampki pod sufitem. Ludzie w granatowych mundurach podchodzili do każdego posłania.

– Papiery – padał krótki rozkaz.

Spod szarych koców podnosiły się głowy. Coś mamrotano; kimś potrząsano; padały jakieś wymysły, przekleństwa; szeleściły zatłuszczone papiery.

Najdłużej zatrzymała się policja w prawym rogu sali pod drzwiami wejściowymi. W rezultacie kazano się tam kilku ludziom ubrać. Jeden z nich wymyślał na całą salę straszliwymi wyrazami, inny płakał pijackim płaczem, powtarzając z rykiem:

– Niewinnych mordują, niewinnych mordują!...

Policjanci świecili w twarz latarkami tym, którzy spali zbyt twardo, lub też pod ochroną zmyślonego snu szukali ucieczki. Powoli patrol zbliżał się do legowiska, na którym siedzieli Przybosz i Blenda.

Franek, chcąc nie chcąc, musiał ukryć zawiniątko. Wsunął je więc nogą pod pryczę i spokojnie czekał.

– Papiery – zabrzmiał nad nimi równy głos posterunkowego.

Blenda poruszył się niespokojnie i płaczliwym głosem zaczął tłumaczyć, wyciągając papiery:

– Ja tu pierwszą noc, panie policjancie – pierwszą noc, w życiu, jestem byłym buchalterem, papiery mam w porządku...

– Dobrze, dobrze – powiedział policjant, oglądając przy świetle lampki dowód.

Z kolei wziął dowód Przybosza, oglądał długo, spojrział przelotnie w zarośniętą twarz „profesora” i oddał paszport. Oddalił się.

Na progu sali stała gromadka tych, których zabierali. Jeden z nich, pośpiesznie zapinając płaszcz wołał wesoło i zaczepnie:

– Idę do lepszego hotelu, bo na darmo. Nie potrzeba i piętnastu groszy.

Policjanci wychodzili z sali jeden za drugim. Zgaszono światło. Ludzie postępując kładli się z powrotem na tapczanach.

– Piętnaście po trzeciej – powiedział ziewając na całe gardło jeden z nielicznych tu właścicieli zegarka.

– Spać człowiekowi nie dadzą, cholery – burknął jakiś starzec, hałaśliwie wycierając nos.

Przed pryczą Franka wyrósł ten sam drab, który dał mu węzełek.

– Dziękuję – powiedział krótko, wyjmując pakunek spod łóżka.

– Nie ma za co – rzekł obojętnie Franek.

Tamten gwizdnął.

– O, jest za co. Jakby to znaleźli, nie byłoby mnie już tutaj. A u mnie szukali wszędzie: pod łóżkiem, pod kocem.

– Znają swoich ludzi – mruknął ktoś spod okna.

– Stul gębę – odpowiedział drab.

Unosząc zawiniątko i oddalając się w stronę swego legowiska, drab rzucił w stronę Franka:

– A jakby „profesor” kiedy nas potrzebował, to do usług. Przydać się możemy.

Przybosz milczał.

Gdy się uciszyło, Blenda siedzący wciąż na jego pryczy, zaczął ciągnąć dalej swe opowiadanie tak, jak gdyby nikt mu nie przerywał. Robiło to wrażenie strumienia, który na chwilę zatrzymany przez sztuczną tamę, płynie dalej i żadna siła już go nie wstrzyma.

Więc dalsze smutne koleje losu. Proces, eksmisja, żona z dziećmi i meblami w bramie. Ani grosza przy duszy. Żadnych przyjaciół, wszyscy poznikali. I dalsza kolej, jakże zwykła, codzienna. Baraki na Annopolu. Ustawiczne chodzenie po komitetach, biurach, urzędach, za kartkami, za zapomogą.

Owo chodzenie w kółko wciąż po tych samych schodach, wydeptanych tysiącami stóp nędzarzy. Owo stanie w kolejkach, w których sto osób w sumie nie posiada stu złotych. To otepiałe zajęcie, które dla tylu ludzi staje się zawodem, tak samo związującym, jak związywała dawniej praca. I coraz niższe nieuniknione staczanie się.

– Oto, do czego doszedłem – mówił głuchym głosem były buchalter. – Żona nocuje dziś z najmłodszą dziewczynką na Lesznie 93 w przytułku” dla kobiet, ja tutaj. Najstarsza dziewczynka śpi kątem u jednej dawnej sąsiadki, średnią wzięła do siebie jedna tam pani z komitetu. A co jutro?

Przybosz siedział ze spuszczoną nisko głową na pryczy.

„Co jutro? Co jutro?” myślał uparcie.

Gdzieś daleko na ulicy słyhać było przeciągłe gwizdki nawołujących się policjantów. Na nierównym bruku zaturkotała dorożka.

W dawnych czasach, gdy Przybosz był jeszcze doktorem Franciszkiem Przyboszem, człowiekiem normalnym, snującym tysiące planów na przyszłość, marzył zawsze o jednym: o dalekich podróżach zagranicznych. Układał sobie wówczas, że gdy czasy się poprawią, gdy zarobi więcej pieniędzy, weźmie Hankę i pojedą na kilka tygodni za granicę. Ułożył sobie już nawet plan podróży. Był tam Paryż, Riwiera i powrót przez Włochy. Wyobrażał sobie radość Hanki, gdy oznajmi jej, że jadą tak oto, we dwójkę. Ta jego poczciwa siostrzyczka nie przecież jeszcze nie widziała na świecie poza swoją szkołą w Moranach. Jakże będzie szeroko otwierała oczy ze zdumienia...

Obecnie, smutny lokator „cyrku” na Dzikiej, od dawna porzucił już te marzenia. O siostrze starał się w ogóle nie myśleć. Odpędzał od siebie jak mógł, widok jej śmiertelnie bladej, przerażonej twarzy, wyraz jej rozszerzonych zgrozą oczu w chwili, kiedy to wypędzał ją z mieszkania, w którym go z takim trudem odszukała. Nie, nie mógł jej widzieć! Jej osoba zbyt przypominała mu jego upadek i okropną tego upadku przyczynę. Nie myślał też, rzecz prosta, o podróżach: zbyt zaprzętała go myśl o tym, za co będzie jadł talerz zupy lub z jakiego komitetu może jeszcze wziąć zapomogę.

Ale jednak nadeszła chwila, kiedy we Franku obudziła się na nowo chęć do życia. Otworzyły się przed nim perspektywy posiadania znowu przyzwoitego ubrania, golenia się codziennie, mieszkania w normalnym pokoju, a nawet owych dalekich podróży.

Przełomowa ta chwila nadeszła po owej pamiętnej nocy, kiedy to w czasie obławy w „cyrku” ukrył tobołek, należący do draba pod oknem.

Już nazajutrz, gdy w sąsiadującym z przytułkiem szynku rozpoczynał ranne śniadanie jedną czystą, zbliżył się do niego jeden z tamtej kompanii i zaproponował rozmowę. Usiedli pod oknem. Tamten stawiał kolejkę. Przy tym mówił. Wiele i kwieście. O tym, że Franek to „inteligent”, że wszystko potrafi, że ma rozum i głowę na karku, że inaczej zgnije na tym barłogu w przytułku, że tylko oni mogą go na nowo dźwignąć.

– Jak facet ma całe buty, wygoloną gębę i ładny garnitur, to już znowu porządnym człowiekiem – mówił tamten.

Przyboszowi niewiele już trzeba było, by się upić. Doszedł już do tego, że wystarczało mu parę kieliszków, a ponieważ tamten nie szczędził wódki, więc coraz bardziej rozjaśniało mu się w głowie. Już się na ramieniu nowego przyjaciela wyplakał nad swoim losem, już się

użalił jak dziecko przed matką, już mu przyznał we wszystkim słusność. Jedną tylko tajemnicę krył w głębi duszy i nie wydawał jej nikomu, nawet w przystępie największego pijaństwa. I teraz nie mówił nic, ale w głębi duszy tkwiła ta tajemnica, jak cierń i tym bardziej popychała go do tego, by słuchać nowego przyjaciela.

Ten obiecywał mu złote góry. Przede wszystkim nowe ubranie, czystą bieliznę, mieszkanie i gotówkę.

Po godzinie takiej rozmowy życie wydało się Przyboszowi łatwe i proste.

Obiecywał wszystko. Drab wsunął mu do ręki karteczkę z jakimś adresem.

– Tam „profesor” pójdzie dzisiaj o siódmej wieczorem, po zamknięciu sklepów. Wejdzie od bramy i na prawo. Będę czekał. Sprawa jest niełatwa, ale opłaci się. A potem zaraz za granicę. Paryż, Londyn. Niejednego my wyprawili.

Przybosz szedł powoli ulicami. Wydostał się już z ubogich dzielnic, przeszedł zaśnieżony ogród Saski i włókł się przez plac Teatralny ku placowi Marszałka Piłsudskiego. Mróz był spory. Pod podartymi butami Franka wesoło i rześko skrzypiał przymarznięty śnieg. W powietrzu wirowały z rzadka ostre jak igiełki płatki. Mroźne powietrze wytrzeźwiło nieco Przybosza. Zaczął przypominać sobie szczegóły rozmowy w szynku na Dzikiej. Zrazu wstrząsnął się z obrzydzeniem. Potem jednak przypomniał sobie ostatnie zdanie tej rozmowy: „A potem zaraz za granicę... Paryż... Londyn... „ I pieniądze na jakiś czas w kieszeni. A potem można się już dźwignąć. Zna języki. Nikt go tam nie zna. Będzie porządnie ubrany. Będzie znowu członkiem społeczeństwa. A jeżeli nie? Jeżeli wszystko obróci się na złe? Ale czemu? Przecież to doświadczone draby, cwaniaki. „Niejednego my wyprawili... „ A t jest tutaj? Co będzie dalej?

Wsunął dłoń do kieszeni i obok podartej podszewki poczuł, że coś szeleści. Wyjął paperek. Na papierku widniał adres.

Zapał już wczesny zmierzch grudniowego dnia. Na rogu ulicy płonęła jasno latarnia. Przybosz przystanął koło latarni. Pochylił się nad kartką. Odczytał: Instytut kosmetyczny „Stella” i adres.

Powoli wsunął kartkę z powrotem do kieszeni. Potem wyjął ją znowu, zrobił ruch, jak gdyby chciał ją podrzeć. Ale nie. Schował.

O kilka kroków dalej jarzyły się jasnym blaskiem neonowej reklamy wielkie witryny biura podróży. Nieprawdopodobnie kolorowe plakaty ukazywały zaśnieżone szczyty górskie nad lazurowym morzem i wspaniałe gmachy dalekich miast. Franek przystanął. Chciwie patrzył przez szybę na te plakaty.

„Jedź do Paryża!” – wołały litery plakatu.

„Poznaj jeziora włoskie!” – krzyczały litery.

Franek znieruchomiał przy szybie. Jeżeli nie zgodzi się na tamte propozycje nigdy już tego wszystkiego nie zobaczy. Zawsze pozostanie nędzarzem, nocującym w przytułku...

– Tu nie wolno stać – zabrzmiał przy nim spokojny i surowy głos policjanta.

Ręka w białej rękawiczce dotknęła jego łachmanów. Wstrząsnął się. Odszedł... nędzarzem, gnany z miejsca na miejsce, psem bezdomnym.

Przebiegający obok Przybosza chłopiec krzyknął dźwięcznym, dziecięcym głosem:

„Kurieeeee... Dobry Wieczór... Śledztwo w sprawie Domowej skończoneeee”.

Franek wstrząsnął się. Kurczowo zaciskając dłoń z adresem instytutu kosmetycznego „Stella” skierował kroki w stronę wypisaną na kartce ulicy.

Zmierzch na ulicach był już zupełny. Przybywało świateł i blasków.

Z głuchym stukiem zapuszczanych żaluzji zamykano sklepy.

„Będę na czas” – pomyślał-Przybosz.

Przed domem, na którego frontonie jasno płonęły litery, składające się na wyraz „Stella”, stała taksówka, w której czekał jakiś pan w futrze.

Miał gładko wygoloną twarz i okulary w ciemnej oprawie. Pan ten przeszył go bystrym spojrzeniem szarych oczu. W tejże chwili z bramy wyszła młoda kobieta. Spod futrzanej czapeczki widać było jasne, krótko ostrzyżone włosy, na których osiadały teraz płatki śniegu. Biegła ku taksówce, pan wysiadł na jej przywitanie.

– Dawno czekasz, kochanie? – spytała.

Franek wszedł do bramy, wlokąc za sobą nogi, które mu dziwnie ciążyły.

Z zamknięciem śledztwa w sprawie Domowej i Gorzeckiego czekano jedynie na chwilę, kiedy Joanna Domowa opuści szpital i będzie mogła zgodnie z przepisami przybyć na ostatnie badanie do sędziego śledczego, by wysłuchać rezultatów śledztwa.

Kaniewski widział już teraz jasno, że żadna z jego prób się nie uda. Po ostatniej rozmowie z oskarżoną w szpitalu zrozumiał ostatecznie, że nie zmieni ona swej taktyki, że nie odsłoni tajemnicy i że nic już nie pomoże. Aby być w zgodzie ze swym zawodowym sumieniem musi we wniosku, który pośle po ukończeniu śledztwa do prokuratora, oskarżyć Domową nie tylko o ukrywanie, ale o współudział w zbrodni, popełnionej na mężu jej, Marianie Dornie. Niestety, zbyt wiele było momentów obciążających, a zbyt skąpy, prawie żaden materiał, jaki oskarżona dała dla dowiedzenia czegoś przeciwnego.

Przemierzając wielkimi krokami swój gabinet, przed zjawieniem się Domowej na ostatnie badanie, sędzia myślał bez przerwy o jednym:

„Gdyby przynajmniej powiedziała, że z Gorzeckim łączyła ją miłość... Całkiem rozumiałe u boku starszego męża, który ją w dodatku zdradzał z pokojówką... Gdyby to powiedziała, można by na tym oświadczeniu zbudować cały gmach... Można by przypuścić, że nie miała pojęcia o zbrodniczych zamiarach kochanka, a po dokonaniu zbrodni jednak chciała ją ukryć. Byłaby wtedy w najgorszym razie oskarżona o ukrywanie... ale tak... Nie, nic nie poradzę. Tylko współudział w zbrodni może wytłumaczyć owo dziwaczne postępowanie, ową zmyśloną historyjkę, nie mówiąc już o przygotowaniach, jakie czyniła przed tym strasznym faktem... „

Była to ciężka chwila dla Kaniewskiego. Ale przecież inaczej postąpić nie mógł. Czuł każdym nerwem naciągniętym do ostatecznych granic, że gdyby postąpił inaczej, nie byłby zgodny ze swym sumieniem i nie tylko nie mógłby już pozostać w swym zawodzie, ale musiałby skończyć z życiem.

„Nie, nie, pozostanę uczciwy do końca. Nie wolno mi się załamać wobec tej oczywistej zbrodni... Joasia!... nie, nie ma Joasi... „

Sędzia wiedział, że do ostatniego jego obowiązku wobec oskarżonej należy jasne wyłożenie jej wszystkiego, co będzie zawierał akt oskarżenia. Pamiętał, że w przepisach dla sędziów śledczych wyraźnie jest o tym mowa, że przed ostatecznym zakończeniem śledztwa obowiązany jest sędzia odsłonić przed oskarżonym całą prawdę, nie ukrywając żadnej okoliczności obciążającej, ani łagodzącej. Oskarżona nie może mieć na sprawie żadnych niespodzianek. Nie wolno jej pozbawiać żadnej broni, którą ma prawo rozporządzać.

Przez chwilę zaświtała sędziemu nadzieja:

„A może Dornowa, usłyszawszy ten akt oskarżenia, zawierający tak okropny zarzut pod

jej adresem, przerazi się? Może sobie dopiero teraz zda sprawę z tego, co się dzieje i powie prawdę, która ją oczyści? Może zażąda nowych świadków, których dla jakichś powodów dotychczas ukrywała i uwolni się od zarzutów?”

Ale rozsądek kazał mu nie wierzyć w to. Jeżeli dotychczas milczała uparcie, czemu teraz miałyby zmienić taktykę?

„Wszystko jedno. Aby to się już raz skończyło” – pomyślał wreszcie zniechęcony i śmiertelnie znużony Kaniewski. „Aby już nic nie zależało ode mnie. „

A po chwili znowu ujrzał w swych rozmyślaniach jakąś szczelinę, zza której prześwitała nadzieja.

„Może, jeżeli Dornowa nawet nie wyzna nic, „wiceprokurator Laut uzna, że podstawy do oskarżenia jej o morderstwo są zbyt kruche i sam zażąda ponownego śledztwa? Może przeholowałem w mej gorliwości?”

Do drzwi gabinetu zapukano.

– Oskarżona Dornowa czeka – rozległ się głos woźnego Stanisława.

„Ostatni raz... – przeleciało sędziemu przez głowę. – Ostatni raz przychodzi tu do mego gabinetu. Jeszcze mogę ją ratować... kosztem własnego sumienia, ale mogę... jeszcze czas... potem będzie za późno. „

Dornowa była jeszcze bardzo osłabiona po przebytej chorobie. W małej twarzyczce gorzały jej mocnym blaskiem ciemne oczy, wargi były kredowo białe. Ciężko usiadła w podsuniętym jej przez Kaniewskiego fotelu, oddychała z trudem, przesuwając co chwila swą wąską dłońią po czole, jak gdyby chciała odpędzić stamtąd jakieś naprzykrzone myśli.

O dziwo, zaczęła pierwsza mówić. Mówiła monotonnym głosem, w którym słycać było nadludzkie niemal wyczerpanie. Mówiła cicho, ale tak szybko, jak gdyby bała się, że nie zdąży i upadnie zemdlona. Kaniewski z pochyloną głową słuchał tego z lekka zdyszanego, biednego głosu.

– Panie sędzio – powiedziała – wiem po co zostałam wezwana. Pan sędzia ma mi przeczytać akt oskarżenia. Wiem, że to już koniec śledztwa i rada jestem z tego ogromnie. Mam wrażenie, że nie wytrzymałabym już dłużej... Chociaż... – zrobiła ruch ręką, który wydał się sędziemu czymś niesłychanie żalnym i bezradnym – chociaż\* jak się okazuje, wytrzymać można wiele... mój Boże, bardzo wiele...

Przymknęła z lekka powieki. Po raz to pierwszy od dawna wypowiedziała tyle słów.

Sędzia wysłuchał tego przemówienia, nie przerywając ani jednym słowem. Gdy skończyła, milczał chwilę. Wzrok jego błędził machinalnie po pokoju. Podniósł oczy i zobaczył, że Dornowa ma wzrok utkwiony w ścianę naprzeciwko. Poszedł za tym spojrzeniem. Na wprost biurka wisiał kalendarz. Stanisław zdał dziś z niego kartkę i duże czarne liczby tworzyły datę 23 grudnia. Ogarnęło go dziwne uczucie. Nie lubił , , , gwiazdki” od owej dalekiej chwili, kiedy w studenckim pokoiku paryskim, w dzień przed gwiazdką, przeczytał ów straszny list, zaczynający się od słów: „Kochany Stefku. Po raz ostatni piszę

do Ciebie... „

Od tamtej chwili upłynęło wiele lat. Kaniewski zapominał już chwilami, czemu to okres przedgwiazdkowy jest dla niego tak przykry, ale cierń tkwił w nim niezmiennie. A teraz przypomniał sobie. Teraz pamiętał...

Czy Dornowa myślała o tym samym, wpatrując się z tak bardzo pobladłą twarzą w kartkę kalendarza? Czy i dla niej była to data okropna?

Otrząsnęła się z zamyślenia i przeniosła spojrzenie na Kaniewskiego. Była już całkiem spokojna. Zaplotła palce drobnych dłoni, złożyła je na stole i powiedziała cicho:

– Możemy zacząć, panie sędzio?

Kaniewski otworzył usta. Chciał coś powiedzieć, chciał zapytać, ale i on się opanował. Spojrzał raz jeszcze na kalendarz, a potem biorąc do ręki paczkę akt, leżących przed nim, powiedział:

– Tak, jeżeli pani pozwoli, zaczniemy.

Oskarżenie zarzucało Joannie Domowej udział w zabójstwie jej męża, Mariana Dorna. Zgodnie z oskarżeniem, Joanna Dornowa przygotowała teren do zbrodni, proponując mężowi ćwiczenia w pawilonie strzelniczym oraz odsyłając do miasta wiernego służącego z czujnym psem. Dorna miał zastrzelić Edward Gorzecki, po czym Domowa pomogła mu w ucieczce, a policji oświadczyła, że zabiła męża na skutek nieostrożności i że strzał spowodowało pchnięcie jej ręki drzwiami pawilonu strzelniczego, w którym się znajdowali.

Kaniewski czytał te wszystkie szczegóły z głową nisko pochyloną nad aktami, jak gdyby obawiał się spojrzenia w twarz siedzącej po drugiej stronie biurka Joannie. Czytał głosem równym, urzędowym, w którym nie można się było dosłuchać żadnego drgnienia.

Dornowa nie poruszała się. Raz tylko, gdy była mowa o premedytacji, z jaką przygotowała zbrodnię, poderwała się z miejsca jak ptak i z ust jej wyszedł kilka razy powtórzony nerwowo i rozpaczliwie wyraz: „Nie, nie, nie... „

Kaniewski podniósł wtedy na nią spojrzenie, ale pod wpływem tych wpatrzonych w nią szarych oczu, umilkła, jak gdyby spłoszona i żaden już wyraz nie rozchylił jej zaciśniętych, bladych warg.

Sędzia skończył. Chwilę panowała w gabinecie przejmująca cisza.

Gdy Dornowa wciąż milczała, sędzia powiedział:

– Zgodnie z prawem przysługuje pani powołanie nowych świadków prócz tych, których wymienia akt oskarżenia. Czy ma pani jakich świadków?

Milczenie. Potem krótka odpowiedź:

– Nie.

Niech się pani zastanowi – głos sędziego przybrał miękkie tony – niech się pani dobrze zastanowi. Jest to ostatnia nasza rozmowa. Jeszcze coś można zmienić. Jeszcze, gdyby pani dała jakiś ważki argument, można by obalić oskarżenie. Niech pani odrzuci wszelkie względy, niech pani pamięta, że ciąży na pani straszne oskarżenie i że jeżeli pani nie broni



się przez jakiś niezrozumiały upór, popełnia pani zbrodnię na własnej osobie...

W głosie sędziego brzmiały tony niemal błagalne.

– Czy nie ma pani nic takiego do powiedzenia? Czy nie ma pani żadnej tajemnicy, która pani dyktuje to milczenie?

I znowu cisza i znowu to twarde:

– Nie.

– Niechże pani dobrze mnie zrozumie. O ile nie obali pani oskarżenia, które tu oto odczytałem pani, sprawa pójdzie biegiem, którego już nie zdołam powstrzymać. Te akta zostaną przesłane do prokuratora. Napisze on akt oskarżenia i wszystko będzie skończone. Zaznajomiłem panią z każdym szczegółem po to, by pani nie miała niespodzianek na procesie. Ale jeszcze teraz jest ostatnia chwila. Niechże mi pani zaufa, niech pani powie, czy to możliwe, by tak było, jak o tym krzyczą dowody i fakty? Co pani każe zamykać się w takim milczeniu? Czy może Gorzecki pani czymś grozi?

W ciągu całej swej praktyki sędziowskiej Kaniewski nigdy jeszcze nie przemawiał w ten sposób do oskarżonego. Sam zdawał sobie sprawę z tego, że oddałby połowę życia za to, by Dornowa nagle przemówiła w jasnych, przekonywujących wyrazach, wskazując nowych świadków i obaliła to potworne oskarżenie.

Ale to nie nastąpiło. Na ostatnie pytanie sędziego, czy Gorzecki grozi jej czymś, odpowiedziała energicznie, podnosząc głowę:

– Nie.

Nic, prócz tego „nie” nie wyszło już z jej ust podczas całego badania. To „nie” chwilami poważne i smutne, chwilami stanowcze.

niekiedy zniechęcone, niekiedy zaś łzawe i rozpaczliwe, wymawiała w odpowiedzi na każde pytanie Kaniewskiego. Nie mógł się opędzić temu wrażeniu, że owo „nie” jest taką samą bronią, wiodącą do samobójstwa, jaką były odłamki szkła, którymi przecinała sobie żyły. Nie mógł się opędzić wrażeniu, że oto pastwi się tu nad ofiarą, która nic innego nie pragnie, prócz śmierci.

Ale nie było rady. Nie znalazł sposobu do przeniknięcia tajemnicy tego zamkniętego serca. Zrezygnował. Czuł teraz dopiero wyraźnie, że wszystko przepadło. Zamknie śledztwo, będzie wolny w swoim sumieniu zawodowym, ale ona... ona zginie.

Badanie było skończone, nieodwołalnie skończone. Kaniewski wyczerpał wszystkie swe argumenty, nie osiągnąwszy żadnego rezultatu. Teraz miała już decydować aż do procesu garstka martwych akt sądowych, oprawnych w szarą okładkę.

– Więc to byłoby już wszystko – powiedział z wysiłkiem sędzia.

– Już koniec? – spytała Dornowa. Było to najdłuższe zdanie, jakie wymówiła w czasie tego badania.

– Tak.

– Mogę odejść?

Uniosła się z lekka na krześle. Patrzała teraz prosto w twarz sędziego. Kaniewskiemu przeleciała przez głowę dziwaczna myśl: „Patrzy na mnie tak, jak gdybym to ja był winny i oskarżony, a ona moim sędzią”.

Ale Dornowa nagle wymówiła wyrazy, których się najmniej spodziewał.

– Chciałam... – powiedziała cicho – chciałam... teraz, kiedy już sprawa staje się niezależna od pana... podziękować...

– Za co? – przerwał jej Kaniewski szorstko, gdyż czuł przyptywającą falę straszliwej żalości.

– Podziękować panu za wszystko... i przeprosić, że robiłam trudności...

Dłonią, która tak drżała, jak gdyby poruszał nią niewidzialny wicher, poprawiła spadający jej na czoło kosmyk włosów. Na ustach jej wykwitł żalorny uśmiech.

Dodała jeszcze cicho, ledwie dosłyszalnie:

– Nie mogłam inaczej... nie mogę... Więcej nie mówili już nic.

Drzwi gabinetu zamknęły się cicho za wychodzącą. Zamknęły się po raz ostatni.

Kaniewski został sam. Sam z obrazem błdziutkiej twarzyczki, wielkich oczu pełnych łez i drgających, dziecięcych niemal ust.

Mieszkanko Eli wyglądało pięknie na przyjęcie wigilijnych gości. Ela zaprosiła tylko parę osób, najbliższych przyjaciół. Stół w pracowni, przykryty białym obrusem, przystrojony był świeżymi kwiatami, gałązkami choiny i owocami. Przy każdym nakryciu znajdował się prezent. O żadnym gościu nie zapomniała. Nie często decydowała się Ela, aby prosić razem Anczewskiego z Kaniewskim. Wiedziała, że Stefan nie lubił towarzystwa jej przyjaciół, że go razili. Tym razem jednak, z tak zwanej „bandy” zaprosiła jedynie Blumów i Michała. Poza nimi, aby Stefan czuł się u niej dobrze, zaprosiła także jeszcze parę osób, których lubił: młodego prawnika z żoną, który do niedawna pracował jako aplikant u Stefana i dawną koleżankę ze szkoły, która przyjechała na święta z prowincji, a którą Stefan „aprobował”, jak żartobliwie mówiła Ela do Wandy.

Punktualnie o siódmej wszyscy zasiedli do stołu. Po obejrzeniu podarunków, rozpoczęto ucztę wigilijną.

Ela zgasiła światło elektryczne. Na stole palił się stary świecznik. Na małym stoliku obok płonęła choineczka. Łagodne, przyjemne światło padało na twarze gości.

– Elusiu, jesteś mistrzynią w przyjmowaniu gości – zauważył Michał, kiedy zasiedli już do stołu. – Nikt tak, jak ty...

Urwał, spojrzawszy na twarz Kaniewskiego. Wszyscy mieli na ustach uśmiechy, jedynie twarz Kaniewskiego była posępna i szara.

„Po co Ela go zaprosiła?” – pomyślał nagle z gniewem Michał. – „Zepsuje nam cały nastrój!”.

– Chcę, aby wszyscy moi goście czuli się dziś u mnie bardzo szczęśliwi – powiedziała Ela z uśmiechem, rzucając jednak szybkie, niespokojne spojrzenie na sędziego.

Wieczór wigilijny jest przecież po to, aby wszystkim było w tym dniu dobrze...

„Wieczór wigilijny”... Stefan zamyślił się gorzko. Przypomniał mu się ten straszny wieczór sprzed dziewięciu laty, kiedy to... Tak, widocznie ta data nie przynosiła mu szczęścia...

Spojrzał na rozjaśnione twarze, roziskrzzone oczy, podniecone wypitym alkoholem. Spojrzenie jego spotkało ciemne oczy Michała, które co chwila badawczo zwracały się w jego stronę.

„Nie będę psuł nastroju”, pomyślał, i z nagłym postanowieniem wstał i podniósłszy w górę kieliszek, zawołał:

– Zdrowie uroczej gospodyni!

A tymczasem w innej dzielnicy miasta był jeszcze ktoś, kto myślał także o tym, że dzień wigilijny nie zawsze upływa w weselu. Był ktoś, kto leżąc na więziennej pryczy, przykryty derką, myślał wciąż o jednej osobie, o nim.

„Gdzie teraz jest? Z kim spożywa wilię? Do kogo mówi? O kim myśli?”

Przez zakratowane więzienne okienko widać było pierwsze gwiazdy, rozbłysłe na niebie. Joanna Dornowa leżała z przymkniętymi oczami. Obrazy przeszłości, które na próżno chciała wygnać ze swej pamięci, powracały wciąż uparcie. Przesuwały się przed jej zamkniętymi oczami obrazy wielu wieczorów wigilijnych. Wspaniała choina, jaką dostawała zawsze w dzieciństwie, kiedy żyli rodzice. Obwieszona smakołykami i zabawkami, wielka, odświętna, tam w salonie w Moranach. Mała choineczka na stole studenckiego pokoiku w Paryżu. Ubrana tylko śniegiem i świeczkami. Wilia w Moranach z mężem. Trochę smutna, trochę uroczysta. Gorzecki z matką i przyjacielem męża, który przyjechał do nich w odwiedzinach. Pamięta, że Gorzecki powiedział wtedy żartem:

– Nieparzysta ilość osób w wilię przynosi nieszczęście. A pani Gorzecka przeżegnała się szybko. Tak... to była ostatnia wilia...

Zgrzytnął klucz. Dozorczyńni ukazała się w drzwiach.

– Przyszłam do pani. Czemu to pani nie chciała pójść popatrzeć na choinkę? Rozerwałaby się pani trochę. Tak ciągle sama i sama...

– Jestem jeszcze zmęczona po chorobie. Wiele osób mnie nuży.

– Przyszłam podzielić się z panią opłatkiem.

– O, dziękuję, taka pani miła.

\* \* \*

Sala przytułku została na święta wyszorowana. Jak święta, to święta. Nawet i tu.

Gdy na ulicy zapadł mrok, zappełniła się sala przytułkowa. Nędzarze, bezdomni, włóczęgi, wszyscy ci, dla których wyraz dom dawno już zatracił właściwą treść, wrócili tu do smrodliwej, niezdrowej atmosfery, aby pod szarymi kocami, w mdłym świetle nocnych lampek wspominać dawne, lepsze czasy. Ale nie wszyscy wspominali. Byli i tacy, którzy już wspominać nie umieli. Pomiędzy pryczami wędrowały butelki czystej.

– No, dalej, jeszcze jeden łyk, przecież na święta możemy się chyba napić.

„Profesor” nie dał się długo prosić. Pociągnął mocny łyk z butelczyny. Wraz z tym łykiem zakręciło mu się w głowie.

„Wilia! A, mój Boże, bywało przecież inaczej. Do diabła! – zaklął nagle. – Człowiek staje się bydłem”. Wsunął się pod derkę i przykrył aż pod brodę. Nagły dreszcz przeszedł go przez plecy. Matka, siostra... Wieczór wigilijny w małym miasteczku... Jest jeszcze małym chłopakiem i wydaje mu się, że cały świat stoi przed nim otworem. Przeczytał gdzieś kiedyś, że człowiek staje się w dzień wili sentymalny...

Jeszcze jednego... O, jak dobrze.

\* \* \*

Zbliżał się czas, gdy należało opieczetować akta sprawy Domowej i przesłać wiceprokuratorowi Lautowi. Akta Domowej...

Święta przeszły i trzeba się było zabrać do pracy. Z jaką przyjemnością, z jakim zapałem pracował dawniej sędziego Kaniewski, ile energii i siły wkładał w swoje obowiązki! Niestety, wszystko zmieniło się. Inne sprawy nużyły go i męczyły. Sprawa Domowej stawała się coraz bardziej palącą raną.

Ostatnie badanie Gorzeckiego nie wniosło nic nowego. Pokładał jeszcze nadzieję, że może ten człowiek podczas ostatniego badania poruszy się, że wyzna mu coś takiego, co rzuci jakieś inne światło na całą sprawę. Ale na próżno. Gorzecki, uprzejmy, poprawny, światowy Gorzecki, odpowiadał na pytania, uśmiechał się, palił papierosa, ale nie powiedział nic. A więc znikąd ratunku.

W parę dni po świętach, w mroźne styczniowe popołudnie sędzia Kaniewski siedział w swym gabinecie przy biurku. Przed nim leżały zwoje papierów, które przeglądał nerwowo, przerzucał, zamykał i raz jeszcze otwierał. Akta sprawy Domowej. Raz jeszcze odczytywał to imię i nazwisko, tak głośne od paru miesięcy na ustach wszystkich.

„... Henryka Gorzecka, 65 lat... Syn mój był po raz ostatni w Moranach w kwietniu... Potem już nie przyjeżdżał...

Siwowłosa staruszka w czarnej sukni... Jak ona mówiła o Joasi? Pamiętał. Pamiętał każde słowo. „To takie dobre dziecko, panie sędzio... – Tak powiedziała. – Muchy nawet nie skrzywdziła, a strzelania nie cierpiała... takie wątle biedactwo i w więzieniu... „

Znowu zaczął przewracać akta.

Magda Pękalanka. Czwarty rok służby we dworze. Pamięta jej czerwoną, pyzatą twarz w świetle zachodzącego słońca. Nieprzyjemna twarz, arogancka, pewna siebie. I to wyznanie Gorzeckiego, że ona z nieboszczykiem Dornem...

Biedna Joasia... Cóż to było za życie.

Służący Józef. Znał Joasię jako małą dziewczynkę. Joasia, mała dziewczynka...

Odsunął akta. Czuł, że jest bliski szaleństwa. Zamknął oczy. Przed oczami wirowały mu twarze przesłuchiwanym świadków. Służba, Gorzecki, matka. Ale te wszystkie twarze przesłaniała wciąż jedna i ta sama mała, dziecięca twarzyczka. Grzebanie się w tych aktach było jak jętrzenie bolesnej, otwartej rany.

Ktoś zapukał do drzwi.

Do pokoju weszła gospodyni, pani Maria.

– Panie sędzio, jak ciemno, dlaczego pan po ciemku? Może herbaty przynieść?

Kaniewski zapalił lampę.

– Dziękuję, mam masę roboty, może pani będzie odbierała telefony. Nie chciałbym, aby mi przerywano.

Wejście gospodyni dodało mu nagle nowych sił. Zabrał się znowu do przeglądania akt.

Przeczytał raz jeszcze wszystkie zeznania Domowej i Gorzeckiego. Złożył je starannie i przycisnął dzwonek na biurku.

– Pani Mario, poproszę o świecę i zapalki.

Po chwili wziął z biurka lak i ogrzawszy go nad płomieniem świecy, przyłożył pieczętkę do akt. Potem związał sznurkiem i odłożył na bok.

Uczyniwszy to wszystko bardzo prędko i bez chwili zastanowienia, wstał z krzesła i przeszedł parę razy po pokoju, pograżonym prawie całkowicie w mroku.

Lampa, osłonięta abażurem, oświetlała jedynie biurko.

Sędzia zatrzymał się przed lustrem i długo przyglądał się swojemu blademu odbiciu. Potem uśmiechnął się niewyraźnie i przesunawszy ręką po czole, powiedział sam do siebie półgłosem:

– Spełnił pan swoją powinność, panie sędzio.

A potem powtórzył raz jeszcze głośniejszym głosem i jak gdyby groźnie:

– Tak, panie Kaniewski, twoja rola skończona.

Zbliżył się do biurka i wziął w rękę słuchawkę telefoniczną.

– 625-80...

– Czy mogę mówić z panem prokuratorem Lautem? Tu mówi Kaniewski.

– Moje uszanowanie panu. Chciałem tylko zakomunikować, że akta są już w porządku.

Kiedy mogę je panu przesłać?

– No, świetnie. Jutro będę u pana.

– Moje uszanowanie.

W chwilę po odłożeniu słuchawki telefonicznej wkładał już futro i kapelusz. Na ulicy owionął go ostry, styczniowy wicher, przynoszący co parę chwil drobne, suche płatki śniegu.

Kaniewski przeszedł przez pustą ulicę Topolową, skręcił w Filtrową i minąwszy gmach Politechniki, podążył Koszykową ku Marszałkowskiej.

Na rogu Śniadeckich barwne plakaty kina ogłaszały przechodniom, że ktoś się znajdował w tragicznych sidłach miłości, że przejmujący dramat dusz wstrząśnie widzami.

Zatrzymał się przy fotografiach, wywieszonych przed kinem. Małeńka, słodka twarzyczka bohaterki filmu przypominała mu inną twarz.

„Wszędzie widzę jedno – myślał z rozpaczą. – Najwidoczniej tracę zmysły”.

Nie zastanawiając się, wskoczył w przejeżdżającą taksówkę i kazał się wieźć do Eli.

W redakcji dziennika, w którym pracował Brandt, kończono właśnie numer południowy. Przedstawiał się ogromnie efektownie, gdyż na pierwszej kolumnie zawierał interesującą dla warszawskiej publiczności wiadomość.

Od kilku dni Warszawa pasjonowała się pewną sprawą, która na krótką chwilę przesłoniła nawet zainteresowanie sprawą Domowej. O Domowej wiedziano, że śledztwo się skończyło i całą ciekawość ostrzono na zbliżający się proces. Tu było całkiem coś innego.

Policja odkryła wielką aferę przemytu biżuterii i walut do Gdańska. Przemysł odbywał się w eleganckiej limuzynie prywatnej, w której oczywiście zarówno szofer jak para wykwintnych pasażerów byli osobistościami dobrze znanymi policji. Dwu mężczyzn schwytano. Natomiast obecna tam kobieta, znana policji Leokadia Buzik, była nieuchwytna w ciągu dwu długich tygodni. Rozpisano za nią listy gończe z dokładnym rysopisem.

Wszystko na próżno. I oto dzisiejsza południowa prasa otrzymała wiadomość, że Leokadię Buzik aresztowano nad ranem, kiedy wychodziła z jednego z najwykwintniejszych dancinów Warszawy w towarzystwie znanego w Warszawie przemysłowca. Najdziwniejsze w tym fakcie było to, że bezczelna przemytniczka podała się za żonę przemysłowca, a towarzyszący jej pan nie zaprzeczył.

– Tego już nie mogę zrozumieć – mówił Brandt, przebiegając wzrokiem mokrą płachtę odbitej pierwszej kolumny dziennika, leżącej przed nim na stole – dziewczyna jak dziewczyna, broni się jak może. Ale ten facet, który wmawia w policję, że to jego żona? Musiał się dobrze w niej zadurzyć.

– Na co on właściwie liczy? – pyta kolega, z zapalem kreślący czerwonym ołówkiem jakiś rękopis, powierzony mu do poprawienia. – Przecież taka historia musi się wydać w ciągu paru godzin. A kompromitacja zostaje...

Nie zdążył jeszcze dokończyć rozpoczętego zdania, kiedy do pokoju wpadł jak bomba młody reporter. Nie zdążył zdjąć palta, nawet kapelusz przekreślony na bakier, tkwił mu na głowie. Był czerwony i resztkami głosu krzyczał:

– Szlagier, powiadam wam, szlagier. Powiedzcie tam, żeby nie puszczali rotacyjnej. Musimy pierwszą kolumnę zmienić. Szlagier!...

– No, gadajże wreszcie, co się stało? – zawołał Brandt. – Czy kto umarł?

– Nikt nie umarł, ale dajcie mi odsapnąć.

– Będziesz potem sapał. Gadaj.

– Więc wyobraźcie sobie. Ta zaarrestowana jest naprawdę żoną przemysłowca Górskiego, a nie żadną Leokadią Buzik. Po prostu pomylili się.

– Nie, niemożliwe, w jaki to sposób? – padały pytania.

– Jest między tymi kobietami tak zdumiewające podobieństwo, że nie dziw, iż nastąpiła pomyłka. Widziałem tę dyrektorową i fotografię tamtej. Ten sam nos prosty, a na końcu trochę zadarty, pieprzyk w tym samym miejscu, kolor włosów, uczesanie, wszystko...

– A to skandal...

– Gruby, ale nie na tym koniec.

– Jeszcze nie koniec?

– Zaraz potem, jak policja wypuściła z szalonymi przeprosinami dyrektorową Górską i po tym, jak jej mąż, dysząc wściekłością, opuścił komisariat, strasząc konsekwencjami i różnymi innymi przyjemnościami w zamian za miłą noc, jaką spędził w komisariacie, przyprowadzono drugą aresztowaną.

– Co? Znowu Leokadię Buzik?

– Wyobraźcie sobie, że tak. Widziałem ją. Tym razem nie mogli się pomylić. Ta sama, a jednak...

– Co jednak?

– Znowu nie przyznaje się, że jest poszukiwaną przemytniczką. Miała przy sobie nawet jakąś legitymację na nazwisko Marii Brzeskiej, nauczycielki.

– Nauczycielki?

– Tak. Aresztowano ją w chwili, gdy rano o ósmej czekała na autobus idący na Dworzec Główny. Miała przy sobie walizki. To bardziej jeszcze potwierdzało, że jest Leokadią Buzik. Wywiadowca pojechał za nią. Wiedział już o tym, że aresztowana tej nocy dama nie jest przemytniczką, więc był pewien, że ta dopiero jest prawdziwa. Udawała szalone zdziwienie, gdy przy wejściu na dworzec podszedł do niej i oświadczył, że wie, kim ona jest i że ją aresztuje. Powiedziała, że jest nauczycielką w Katowicach, że przybyła na dwa dni do rodziny, do Warszawy na święta i że wraca do domu. Gdy jej nie wierzono, płakała i rozpaczała. Ta już, zdaje się, jest przemytniczką, bo ten sam nos, pieprzyk, włosy. Wszystko...

– I w komisariacie nie przyznała się?

– Nie. I żebyście wiedzieli, co to za wspaniała aktorka. Jak rozpaczała, jak udawała niewiniątko. Jak krzyczała: „Ja w więzieniu? Co za hańba!”. Jak łamała ręce i wołała: „Po co ja przyjechałam do tej piekielnej Warszawy?”

– No, to była podobno jedna z grubszych ryb bandy. Dobrze ją wyszkolili.

– A może to znowu nie ta sama? – spytał jeden z milczących dziennikarzy.

Reporter oburzył się.

– Ależ to niemożliwe. Widziałem obie te kobiety. Mówię wam, że łudząco do siebie podobne. To tłumaczy pierwszą pomyłkę, a przecież nie sądzisz, że może chodzić po świecie trzecia taka sama? Co?

– No, oczywiście – zgodził się niechętnie tamten.

– Więc, jak to dajemy? Prędeż, bo numer i tak się spóźnił już przez tę Buzik.



– Ale co za szlagier! „Aresztowanie fałszywej”. Potem zaraz „Aresztowanie prawdziwej”. Mam fotografię obu tych kobiet. Patrzcie.

– Nie dziwię się, że się pomylili. I ja bym się pomylił – powiedział Brandt.

– Beznadziejne, po prostu beznadziejne – mruzczał wiceprokurator Laut, nerwowo przerzucając stos akt, piętrzący się na jego olbrzymim biurku.

Siedzący po drugiej stronie biurka prokurator Kordziewicz zaciągnął się mocno papierosem i powiedział:

– Więc niesłusznie podejrzewaliśmy Kaniewskiego o przesadzoną gorliwość w tej sprawie, panie prokuratorze?

Laut nerwowo miał w palcach koniec swej siwej, przyszczyżonej starannie bródki. Nie patrząc na Kordziewicza, powiedział:

– Mam wrażenie, że niesłusznie. Ale owe podejrzenia podsunał mi sam Kaniewski. Przy żadnej dotychczas sprawie nie zachowywał się w tak nerwowy i powiedziałbym, niepewny sposób.

Rozmowa ta odbywała się w sądowym gabinecie wiceprokuratora Laut.

Właśnie tego ranka nadeszły papiery, zawierające wyniki śledztwa w sprawie Domowej i Laut zavezwał na naradę Kordziewicza, który miał oskarżać na procesie.

W pokoju było niemal gorąco od mocno rozpalonego pieca. Grube zasłony na oknach głużyły każdy dźwięk z zewnątrz. Z korytarza dolatywały przytłumione odgłosy jakichś kroków i dalekie głosy.

Laut robił wrażenie wzburzonego.

– Teraz zacznę rozumieć, kolego, zdenerwowanie Kaniewskiego – rzekł, ukazując akta ręką – tyle miesięcy grzebać się w takiej sprawie, a przy tym badać tę kobietę, piękną i młodą i myśleć o tym, że popełniła taki potworny czyn razem z kochankiem...

Potrząsnął siwą głową i powtórzył z zaciekleścią:

– Co za ohyda! Błoto, błoto, błoto...

Zaciśnięta dłoń jego uderzała za każdym wyrazem mocno w papiery, leżące na biurku.

Kordziewicz milczał. Wybuch starego kolegi wydawał mu się nieco przesadzony. Myślał o tym, że ten stary kawaler, zamknięty w czterech ścianach dusznego mieszkanca przy ulicy Kapucyńskiej z gospodynią, panią Leokadią, staroświeckim kredensem i pluszową kanapą, niewiele wie o teraźniejszym życiu i może zbyt pochopnie kwalifikuje skomplikowane sprawy psychologiczne jako „błoto, błoto i błoto”...

Ale nie mówił nic. Przede wszystkim nie czuł się na siłach do dyskusji ze starym uparciuchem, za jakiego uważał zawsze Laut. Po wtóre prokurator Kordziewicz nauczył się już od dawna we własnym domu, wobec własnej małżonki, że w pewnych wypadkach najbezpieczniejszą taktyką jest pełne dyplomacji milczenie.

Laut tymczasem ciągnął zaciętrzewiony dalej:

– Kolega będzie miał znakomite pole do potępienia tego rodzaju strasznych faktów w swej mowie oskarżycielskiej. Pamiętam, że kiedyś za czasów rosyjskich była podobna sprawa... Byłem wtedy młodym obrońcą i...

Popłynęło długie opowiadanie o owej sprawie sprzed lat trzydziestu.

Kordziewicz nie przerywał ani jednym słowem, ale też nie słuchał wcale długiej historii Lauty. Siedząc z nieco pochyloną głową liczył, zawzięcie liczył. Obliczał, że żona z pewnością zechce w tych dniach od niego ratę za futro z popielicowym kołnierzem, które sprawiła sobie tej zimy, że trzeba zapłacić za szkołę córeczki, że w ciągu najbliższego tygodnia trzeba zapłacić rachunek za elektryczność, za gaz. „Zapłacić, zapłacić” wirowało mu w głowie nieustannie, gdy Laut rozplątywał się w szczegółach przedwojennych wspomnień...

Głos Lauty umilkł wreszcie. Składając na nowo rozrzucone papiery, powiedział:

– Sądziłem, wzywając tu kolegę, że będzie można zarzucić śledztwu zbytnią gorliwość i przeprowadzić je ewentualnie raz jeszcze. Ale widzę, że nie ma tu co robić. Jutro zabieram się do pisania aktu oskarżenia i jak będę miał już gotowy, zawiadomię kolegę.

Wstał i opierając się obiema rękami o biurko, powtarzał:

– Brzydka sprawa, brzydka sprawa.

Binokle spadły mu z nosa; pociągnął mocno czarny sznurek, na którym były umocowane i uprzejmym ruchem przepuścił Kordziewicza naprzód do drzwi.

Gdy znaleźli się w korytarzu, natknęli się na Kaniewskiego. Wychodził właśnie z drzwi swego gabinetu i Kordziewicz miał wrażenie, jak gdyby sędzia czyhał tu na ich przyjście.

– Moje uszanowanie panu koledze – zawołał Laut, wyciągając dłoń do Kaniewskiego – dobrze, że pana spotykamy. Właśnie przeglądaliśmy materiał, który kolega przysłał w sprawie Domowej...

– No i co? – spytał Kaniewski. I pytanie to wypadło tak jakoś dziwnie, jak gdyby nagle zabrakło mu tchu.

– No i niech kolega Kordziewicz powie, do jakich doszliśmy wniosków. Przyznam się koledze, że jestem zdumiony... prawdziwie zdumiony. Tego się nie spodziewałem...

– Czego? – spytał Kaniewski, a w oczach zabłysło mu coś na kształt nadziei. – Czyżby pan uważał, że nie ma dostatecznego materiału do oskarżenia Domowej i Gorzeckiego?

Laut roześmiał się hałaśliwie.

– Nie, on jest pyszny – powiedział, zwracając się do Kordziewicza. – Zawsze z tą swoją skromnością. Że niby źle to zrobił, że my musimy poprawić...

Podszedł do Kaniewskiego i kładąc mu dłoń na ramieniu, zaczął przemowę.

– Drogi kolego, – zaczął Laut takim tonem, jakim przemawia nauczyciel do wzorowego ucznia w klasie. – Już od dawna spostrzegłem, że w naturze pana są dwie sprzeczności. Jest pan jednocześnie ogromnie ambitny i ogromnie skromny. Podczas ostatniej sprawy ujawniło się to w całej pełni. Zrezygnował pan nieledwie ze śledztwa w chwili, kiedy ośmieliłem się

podsunąć panu przypuszczenie, że przecenia pan, być może, rolę Gorzeckiego w tej całej sprawie.

A z drugiej strony teraz, po ukończeniu śledztwa, wydaje się panu, że były w nim jakieś błędy i że będzie trzeba zaczynać całą sprawę od początku.

Laut odchrząknął i swoim zwyczajem nawinął na palec sznurek od binokli, zwisających mu na piersi. Kaniewski milczał. Kordziewicz przypatrywał mu się z uwagą.

– Otóż my z kolegą tu obecnym, Kordziewiczem – ciągnął Laut, – po przejrzeniu wyników śledztwa i całego materiału, jesteśmy przekonani. Ze wszystkiego wynika jasno, że ta kobieta jest wyrafinowaną zbrodniarką i że to ona jest moralną sprawczynią zabójstwa Mariana Dorna. Jestem przekonany, że...

Ale w tej chwili stało się coś dziwnego. Twarz Stefana Kaniewskiego zszarzała nagle. Sędzia zachwiał się i jedną ręką oparł o gładką ścianę korytarza sądowego, a drugą wczepił w rękaw stojącego obok Kordziewicza.

– Co panu, kolego? – zawołał Kordziewicz, podtrzymując sędziego.

– Stanisławie, Stanisławie, wody, pan sędzia zasłabł – huknął swym tubalnym głosem Laut.

Przeprowadzono Kaniewskiego do jego gabinetu, pod którego drzwiami stali wszyscy trzej. Stanisław przyniósł wody. Sędzia wypił chciwie łyk. Potem odetchnął głęboko i uśmiechnął się do pochylonych nad nim twarzy.

– Przepraszam bardzo – powiedział z lekka drżącym głosem – zachowuję się, jak stara histeryczka... Panowie wybaczą... to serce... niepokoi mnie już od dłuższego... czasu...

– A, kolego, z tym żartować nie można – grzmiał Laut – znałem taki wypadek przed wojną, kiedy...

– Czy odwieźć pana do domu? – spytał troskliwie Kordziewicz.

– A może zatelefonować po kogoś? – spytał woźny Stanisław, patrząc zatroskanymi oczami w twarz sędziego.

Kaniewski przesunął dłonią po czole i jeszcze raz uśmiechnął się przepraszająco do wszystkich.

– Nie, dziękuję za wszystko. Bardzo mi przykro... zostanę tu chwilę sam i odpocznę, a potem pojedę do domu. Należy mi się, zdaje się, naprawdę odpoczynek.

– Nie powinien był kolega przyjmować teraz sprawy przemytu – powiedział Laut – to ciężka i zagmatwana historia, nie na tak stargane nerwy jak pańskie w tej chwili.

– Cóż robić? Gdy ją skończę, postaram się o urlop już nieodwołalnie – powiedział Kaniewski.

A potem dodał, jak gdyby z największym wysiłkiem woli:

– A w tamtej sprawie mówił pan, że wszystko w porządku? Tak?

Czuł, że musi to powiedzieć, by odegnać od tych dwu podejrzenie, że zasłabnięcie jego było w jakimkolwiek związku z poprzednią rozmową.

– Ależ oczywiście, drogi kolego – pośpieszył z odpowiedzią Laut – niech się pan więcej o tę paskudną sprawę nie troszczy. Pójdzie teraz swoim trybem. Na nas przyszła kolej. Pan jest w porządku.

– Więc zostawmy sędziego samego – powiedział Kordziewicz, patrząc ze współczuciem w nacechowaną cierpieniem twarz Kaniewskiego. – Idzie pan prokurator?

– Idę.

Drzwi zamknęły się cicho za odchodzącymi. Kaniewski został sam. Sam w przejmującej ciszy gabinetu, przerywanej cykaniem zegara. Głowa opadła mu na splecione na stole dłonie. Z oczu popłynęły dwa strumienie gorących łez.

– „W porządku... pan jest w porządku” – powtarzał bezładnym szeptem ostatnie słowa Lauta.

O, tak, był w porządku. Ostatnia nadzieja runęła. W głębi duszy spodziewał się, że jeszcze jest wyjście. Że Laut i Kordziewicz znajdą błędy w śledztwie. Że uznają, iż zbyt pochopnie wyciągnął wnioski i że nie ma podstawy do oskarżenia Domowej o współudział w zbrodni. A tu, nagle owe bezlitosne wyrazy starego Lauta. Jak on to powiedział? „Wyrafinowana zbrodniarka... sprawczyni zabójstwa Mariana Dorna... „

I to on, „jej Stefek” przyczynił się do pokazania tego wszystkiego światu. On stał się tym karzącym mieczem, który zawisł nad jej głową.

„Pańska rola się skończyła... teraz sprawa pójdzie swoim trybem”.

Po głowie chodziły mu szaleńcze myśli. A może jeszcze czas. Może pójdzie do starego Lauta i powie mu, co go łączyło kiedyś z Joasią. Powie, że nie miał prawa prowadzić tego śledztwa. Że przez zemstę podciągnął pewne fakty. Poda się do dymisji. A sprawa powierzona zostanie innemu sędziemu. Sprawiedliwszemu.

Ale już po chwili, rozumiał całą niedorzeczność tych rozpaczliwych myśli. Inny sędzia dojdzie do tych samych, a może jeszcze gorszych wniosków. I co wtedy? Co wtedy?

Ktoś zapukał dyskretnie do drzwi.

W drzwiach ukazał się Stanisław.

– Przepraszam pana sędziego, jakaś pani chce wejść. Mówi, że to w prywatnej sprawie.

Za ramieniem woźnego ujrzał Kaniewski twarz Eli. Zdziwił się.

Nigdy nie przychodziła do sądu.

\* \* \*

Gdyby w ciągu tych ostatnich dni ktoś spytał Elę, czym kieruje się w swoich postępkach, nie umiałaby na to dać odpowiedzi. Ona, która zawsze chwaliła się, że życie jej jest uregulowane przez rozsądek, nagle jakby straciła busolę swej życiowej podróży. Była do najwyższego stopnia niespokojna i zdenerwowana, lękała się czegoś ustawicznie, a myśl o Stefanie napęłniała ją niewytłumaczonym bólem. Ten niepokój i ból dyktował jej postęпки, na które nie mogła znaleźć wytłumaczenia.

Myślała sobie: „Ach, jak to dobrze móc powiedzieć wszystko i nie trapić się tym, jakie będą skutki tego powiedzenia”. Stosunek ze Stefanem nauczył ją bowiem dyplomacji. Tej dyplomacji miłosnej, której nie miała w swojej naturze. Przymuszała się do przemilczania pewnych rzeczy, o których rozumowo wiedziała, że Stefan ich nie lubi, ale ten przymus sprawiał jej przykrość. Nieraz od powiedzenia czegoś wstrzymywała ją w ostatnich chwilach myśl, że trzeba być dyplomatką, że inaczej Stefek przestanie ją kochać.

W stosunku do Michała nie miała tego uczucia. Mogła mu mówić wszystko bez obawy. Przede wszystkim dlatego, że była go Pewna. W głębi duszy była przekonana, że nic nie potrafi zachwiać przyjaźni jej i Michała. Poza tym grała tu zapewne rolę i ta okoliczność, że z Michałem Ela nie obawiała się ryzykować, podczas gdy każda myśl o utracie Stefana przejmowała ją strachem.

Michał wysłuchiwał jej i uspokajał ją, jak mógł. Tłumaczył, że obawy jej oparte są na jakichś urojeniach i że zapewne udziela się jej zdenerwowanie Stefana.

– Nie poznaję cię, Elusiu, doprawdy nie poznaję – mówił łagodnie. – Ty zawsze taka równa i pogodna. Ty, uosobienie spokoju...

Rozmowa z Michałem uspokajała ją, ale na bardzo krótko.

Gdy dziś wracała przed obiadem z roboty, czuła niewytłumaczoną dla niej samej ostrą tęsknotę za Stefanem. Poczwała, że musi go zobaczyć, gdyż inaczej będzie się jej zdawało, że traci go na zawsze. Spojrzała na zegarek. Było 10 minut po drugiej. Stefan jest z pewnością jeszcze w sądzie. Zatelefonować? Nie, od razu do niego pojedzie. Nigdy tego dotychczas nie robiła, ale przecież o ile będzie zajęty, może odejść.

Bez tchu niemal, wpadła do taksówki i rzuciła adres sądu.

I oto teraz stała za plecami woźnego, czekając, czy Stefan ją wpuści. Woźny cofnął się i przepuścił ją do gabinetu. Stefan wstał na jej powitanie. Jedno spojrzenie na jego twarz przeraziło ją. Był blady, prawie szary, oczy miał zaczerwienione i błyszczące, jak od łez.

Zamiast tłumaczyć się z tego, że przyszła, zarzuciła mu ramiona na szyję i spytała stroskanym głosem, nabrzmiałym wielką czułością:

– Stefku, co ci jest? Co ci się stało? Miałeś jakąś przykrość? Powiedz.

Całował ją długo i gorąco, jak gdyby w tym pocałunku chciał roztopić cały swój ból, całą rozpacz. Ale Ela, czując te szybkie pocałunki na swych policzkach i włosach, myślała bez ustanku, sama nie wiedząc czemu.

„Tracę go, tracę go... w każdej chwili odchodzi ode mnie coraz dalej... „

Odsunął ją od siebie ramieniem i patrząc na jej zarumienioną od pocałunków twarzyczkę spytał:

– A teraz, powiedz mi, po coś tu przyszła?

Głos jego brzmiał już całkiem spokojnie; opanował się całkowicie.

Ela spuściła głowę. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Stefan nie lubił przecież tak bardzo tego, co nazywał „nastrojami” albo „histerycznymi kapryсами”. Musiała znaleźć jakieś realne

wytłumaczenie dla swojej wizyty w tak niezwykłym miejscu i o tak niezwykłej porze. Ale na próżno szukała w pustej głowie jakiegoś wytłumaczenia. Zrezygnowała. Patrząc prosto w oczy Stefana, powiedziała szczerze:

– Nie wiem, kochany. Nie wiem, po co przyszłam, ale teraz jestem szczęśliwa, że jestem przy tobie.

Milczał chwilę, patrząc na nią poważnie. Nie przeczuwała nawet, ile czułości dla niej zebrało się w tej chwili w jego sercu.

„Ona mnie kocha prawdziwie – myślał. – Przychodzi wtedy, gdy jest najbardziej potrzebna”.

Nie powiedział jednak z tego ani słowa. Uśmiechnął się do Eli i rzekł, wskazując jej fotel:

– Siadaj kochanie na chwilę. Uporządkuję tylko potrzebne mi papiery i zaraz razem wyjdziemy. Zaprosisz mnie dzisiaj do siebie na obiad?

Odpowiedziało mu roziskrzone szczęściem spojrzenie samych oczu Eli.

– Czy na tym fotelu siadają oskarżeni, gdy ich badasz? – spytała siadając.

– Tak.

Odpowiedź Stefana brzmiała krótko, niemal szorstko.

Bo gdy Ela usiadła naprzeciw niego, nie mógł się opędzić wizji, która tłoczyła mu się gwałtem przed znużone oczy. Widział na tym fotelu drobną postać w czarnej sukni, widział małą, bladą twarzyczkę i pełne łez, niepokojące, skośne oczy.

\* \* \*

Wiceprokurator Laut czuł się tego ranka jakoś niedobrze: dokuczał mu zwykły jego ischias. A że miał pilną robotę, więc polecił swej maszynistce przyjść do niego do domu.

W przegrzanym, niskim i zapchanym meblami gabinecie mieszkania przy ulicy Kapucyńskiej każdy przedmiot zdawał się błyszczeć, tak był starannie odkurzony pracowitymi dłońmi pani Leokadii. Mimo to, gospodyni kręciła się jeszcze po pokoju ze ściereczką odkurzaczką z piór w rękę, doglądając, czy wszystko jest w porządku.

Prokurator Laut siedział w obszernym, skórą wybitym fotelu i patrząc w stos piętrzących się przed nim akt, dyktował maszynistce, która umieszczała się z maszyną pod oknem.

– Gotowa pani?

Zabrzączał dzwoneczek maszyny, zazgrzytało przesuwane łożysko. Maszynistka podniosła wyondulowaną starannie główkę i powiedziała:

– Gotowa, panie prokuratorze.

– Piszemy.

Zachrypnięty głos starego prokuratora wypełnił pokój.

– Akt oskarżenia Edwarda Gorzeckiego, lat 32, sądownie nie karanego, przemysłowca, zamieszkałego w Warszawie przy ulicy Smolnej i Joanny Domowej, lat 33, sądownie nie

karanej, zamieszkałej w osadzie Morany... – czy napisała już pani?

Klawisze maszyny szczękały sucho i szybko. Pani Leokadia cicho wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Prokurator dyktował dalej:

– Edward Gorzecki, oskarżony z paragrafu 225 ... mówię wyraźnie 225 i Joanna Dornowa oskarżona z paragrafu 27, łącznie z paragrafem 225 K. K. ustawy z roku 1932...

Wstał z fotela i syknąwszy, gdyż ischias dokuczał mu bardzo, oparty na lasce, stanął za maszynistką, czytając jej przez ramię:

– Tak... – powtórzył powoli – ustawy z roku 1932...

Maszyna stukiała szybko i z brzękiem przesuwają się wiersze za wierszami. Głos prokuratora szemrał monotonicznie w ciszy przegrzanego pokoju:

– ... o zabójstwo Mariana Dorna dn. 20 maja roku 1933 w miejscowości Morany.

Maszynistka podniosła głowę:

– Morany? – powtórzyła.

– Mo-ra-ny, mówię chyba wyraźnie – rzekł zgryźliwie Laut.

W tej chwili na podwórzu, tuż pod parterowym oknem gabinetu, rozległ się donośny odgłos trzepania dywanów. Laut, mimo chorej nogi, zerwał się z fotela.

– To niesłychane – krzyczał – żeby ludziom nie dali pracować. Przecież muszą być na to jakieś przepisy! To głowa pęka! Pani Leokadio, pani Leokadio!

Gospodyni wpadła jak bomba, poprawiając płócienny fartuch na czarnej, wytartej sukni.

– Co się stało?

– Dlaczego trzepią? – spytał groźnie prokurator – przecież ja myśli zebrać nie mogę...

– Zaraz pošlę Marcysię na podwórze, żeby im zakazała – odpowiedziała pośpiesznie pani Leokadia – nie trzeba się tak denerwować.

Wybiegła swymi drobnymi kroczkami. Trzepanie rozlegało się coraz donośniej, jak grzmoty nadciągającej burzy.

– Myśli mi się poplątały... – gderał Laut – na czym to stanęliśmy?

– ... w miejscowości Morany... – poddała załęknioma maszynistka.

– Niech pani pisze: „za pomocą rewolweru kalibru... „

I popłynęły dalej monotonne, ujęte w formuły prawne, w skostniałe wyrażenia, słowa aktu oskarżenia. Opisywał on dokładnie, w jaki sposób dokonano zbrodni morańskiej. W pawilonie strzelniczym, podczas gdy Marian Dorn wraz z małżonką swą Joanną ćwiczył się w strzelaniu do tarczy, zjawił się Edward Gorzecki i nie wchodząc do wnętrza pawilonu, celnym strzałem pozbawił Mariana Dorna życia. Joannie Domowej zarzuca akt oskarżenia współudział w zbrodni, polegający na tym, że przygotowała teren do zabójstwa, a po fakcie usiłowała symulować nieszczęśliwy wypadek z bronią, spowodowany pchnięciem jej dłoni przez drzwi pawilonu w czasie burzy.

Obojętne klawisze maszyny wystukiwały tę straszną historię, obojętny głos Lauty cedził



wyraz za wyrazem. Co kilka chwil prokurator zatrzymywał się i pytał:

– Skończyła pani?... piszemy dalej...

Na podwórzu przerwano trzepanie dywanów, odprawiono też błyskawicznie całe grono śpiewaków podwórzowych, które przybyło z gitarami i bałalajkami, by zawiadomić mieszkańców kamienicy, że „jak kochać, to na zawsze, a jak zerwać to zaraz, to dziś... „, a Laut wciąż dyktował.

Wreszcie powiedział ostatni raz groźnie: „Kropka” i dodał:

– A teraz od nowego wiersza niech pani pisze: „Lista świadków”. Już?

Styczniowe niebo zachmurzyło się i zaczął padać śnieg dużymi, mokrymi płatkami. W gabinecie prokuratora Lauta, mimo wczesnej jeszcze pory, było już całkiem ciemno. Pani Leokadia wpadła drobnymi kroczkami i zapaliła światło. Mruczała przy tym pod nosem:

– To zawsze tak, jak się mieszka na parterze. Jak w grobie. W dzień zapala się światło.

Prokurator Laut nie odpowiedział. Przecież pani Leokadia powtarzała to po parę razy dziennie od lat czterdziestu.

– Więc lista świadków: Gorzecka Henryka...

Zegary miejskie wskazywały siódmą. Z głuchym warkotem zapuszczano żelazne żaluzje sklepów warszawskich. Gasły jedne za drugimi światła w wystawach. Szklane drzwi przesłaniano drewnianymi okiennicami. Nie upłynęło i pół godziny, a jaskrawe światło pozostało tylko w cukierniach i małych imitacjach cukierni i kawiarni: sklepikach z wodą sodową. Warszawa skończyła jedną fazę doby i wstępowała w drugą: w noc wielkowiejską.

Magazyn kosmetyczny „Stella” także ukończył już swą pracę. Ucichły bzykania i huk aparatów elektrycznych, zamilkły odgłosy masażów. Ostatnie klientki opuszczały kabiny, żegnane niskimi ukłonami właścioelek i służby. Jeszcze jedno sięgnięcie do torebki, napiwek dla zgiętego w ukłonie woźnego, który mówił grzecznie:

– Łaskawa pani pozwoli przez tylne wyjście od podwórza, bo z przodu już zamknięte.

Od ulicy rzeczywiście było już zamknięte, misternie rzeźbioną kratę zapuszczano na wielkie lustrzane szyby. Martwe neonowe światło rzucało blask na nieruchomo stojące na wystawie, niczym mary z za świata, manekiny, przedstawiające piękne kobiety.

Ostatnia klientka wyszła. Personel już ubrany zabierał się do odejścia. Wreszcie zostały tylko dwie właścioelki. Zdawać się mogło, że i te za chwilę opuszczą zakład, który jak setki innych magazynów warszawskich pograży się we śnie i martwocie aż do rana.

Ale tak nie było.

Zaledwie drzwi zamknęły się za ostatnią manikiurzystką, marudą, panną Dziunią, która zawsze musi się kilka razy wracać, gdy do „Stelli” zaczęli napływać nowi goście.

Wchodzili przez podwórze, nie dzwonili do drzwi wejściowych, tylko pukali dyskretnie. Właścioelka o utlenionych i ukarbowanych włosach wyglądała ostrożnie przez małe okienko, zanim zdecydowała się na uchylene drzwi. Gdy je wreszcie otwierała, goście wsuwali się jak cienie, i bez słowa kierowali się za ciężką portierę, oddzielającą mroczny gabinet, położony od podwórza. Tu witała ich druga właścioelka.

Na okrągłym stole w środku pokoju stały na tacy przekąski i cała bateria butelek. Widocznie ci, co przychodzili, byli bardzo godnymi gośćmi.

Gdy wybiła ósma, pokój był już zapełniony ludźmi.

– Czy wszyscy są w komplecie? – spytała właścioelka.

– Brak jeszcze nowego – objaśnił wysoki drab w monoklu i w nieposzlakowanym ubraniu.

– Jak go nazywacie?

– Ma francuskie nazwisko ze względu na swe wysokie wykształcenie – objaśnił drab. – Nazywa się Franqois.

– Dlaczego jeszcze nie przychodzi?

– Miał się zwolnić dopiero na wpół do dziewiątej. Zresztą, zaczniemy bez niego.

Rozmowa potoczyła się żywo i trochę beładnie. Całe towarzystwo było w znakomitym humorze z powodu jakiegoś udanego przedsięwzięcia. Pierwszy zabrał głos ów drab w monoklu.

– Kiedy przyniosłem ci plan Lolek – powiedział do utlenionej blondynki – miałaś tysiące wątpliwości. A teraz widzisz jak się udało?

– Ponad wszelkie spodziewanie – zgodziła się blondynka, wychylając kieliszek porto i zaraz nalewając sobie drugi.

– Fajna robota – mruknął tamten – w ciągu jednego dnia dwie dały się złapać. Jak im tam? Dyrektorową Górską i nauczycielką Brzeską.

– Tej Brzeskiej to mi trochę żal – powiedziała właścicielka – nie macie pojęcia, jak się to biedactwo bronilo tutaj. Jak gdyby coś przeczuwała. Przyszła taka szara, zastrachana z prowincji i zwierzyła się naszym paniom, że ma tam u siebie ukochanego i że chciałaby zaimponować mu po powrocie pięknym i zmienionym całkowicie wyglądem.

– Niech panie robią ze mną, co chcą, bylebym ładnie wyglądała – powiedziała. – Zastrzegła się tylko, że to ma niewiele kosztować. Panna przyszła się do mnie radzić. Oczywiście zrozumiałam, że takiej nam potrzeba, żeby zrobić jedną z naszych Lolek. Policzyłam jej naturalnie śmiesznie mało: 10 złotych za wszystko. Była zachwycona. Zrobiło jej się, co potrzeba, a że była z natury drobną, więc wyszła niebywale. Tak się cieszyła, przeglądając się w lustrze...

Właścicielka pokiwała głową i powiedziała melancholijnie:

– Tej mi żal...

Jeden z obecnych roześmiał się hałaśliwie i rzekł, wskazując na właścicielkę:

– Stella jak sobie podpije, to zawsze żałuje nieszczęsnych ofiar. Nie bój się, nic jej się nie stało. Wypuścili ją, jak zobaczyli, że to nie Leokadia Buzik. Cha cha cha!

– Ale do rzeczy – rzekł ten w monoklu – nie po to przyszliśmy, żeby się chwalić z tego, co się udało. Chodzi o to, by sprawdzić w książkach, ile jeszcze Lolek chodzi po Warszawie i na ile jeszcze możemy liczyć aresztowań. Myślę, że nasza Lolka jest już bezpieczna, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże, a kilka kompromitacji w tym rodzaju nam nie zaszkodzi.

Ta, którą nazywali Stellą, przydźwigała z drugiego pokoju ogromną księgę.

Rozłożyła ją na stole i zagłębiła się w jej studiowaniu.

– Tu mamy zapisaną każdą klientkę szczegółowo z wyliczeniem zabiegów. Kazałam pannie Walerii oddzielnie wpisywać Lolki, oczywiście pod pretekstem że muszę pilnować, czy nie będzie reklamacji po tak trudnych zabiegach, całkowicie zmieniających rysy twarzy.

– To było może nieostrożne – mruknął ten z monoklem.

– Ty mnie nie ucz – – odcięła się Stella, pochylona nad księgą.

– O, jest! Pierwsza: kapitanowa Brodzicka. Zrobiliśmy ją jeszcze w listopadzie, przed wspaną. Ale możliwe, że pojechała na Prowincję i dlatego nie wpadła w oko policji. Dalej:

dyrektorem Górska... to ta złapana... artystka kinematograficzna Nelly Roy...

Maria Brzeska... to ta druga ofiara... to chyba wszystkie, nie chciałam przesadzać... aha, jest jeszcze jedna: pani Grunland, żona ku] ca... I już.

– Znaczący, że jeszcze mogą natrafić na trzy – rzucił wysoki brunet. – To starczy...

Utleniona odłożyła księgę na miejsce.

A teraz jeszcze druga, ważniejsza sprawa – zaczął ten w monokl ;

W tej chwili za drzwiami na podwórzu rozległo się jakieś mocne trzykrotne pukanie.

– W samą porę – powiedział ten w monoklu – bez niego nie chcę zaczynać mówić o tamtej sprawie.

Utleniona wyszła, by otworzyć i po chwili wróciła z nowym gościem. Był to wysoki, szczupły pan, w eleganckim futrze z ośnieżonym melonikiem w ręku.

Z trudem można było poznać w tym wykwintnym mężczyźnie niedawnego lokatora „Cyrku” na Dzikiej – Franka Przybosza.

Franek Przybosz od chwili, gdy zdecydował się na stanowczy krok przyjęcia propozycji ofiarowanych mu przez towarzysza noclegu, zmienił się całkowicie. Starał się nie myśleć o tym wcale, jakie konsekwencje moralne pociąga ten krok za sobą. Wszystkie jego myśli skoncentrowane były na jednym tylko: otrzyma nowy garnitur, czystą bieliznę ze sklepu, kąpiel i normalny pokój w hotelu. Nic innego nie obchodziło go na razie.

Nowy towarzysz i przewodnik zaprowadził go zrazu do jakiegoś mieszkania na ulicy Waliców. Otworzył kluczem wyjętym z kieszeni drzwi wejściowe, na których nie widniała żadna tabliczka i przez mroczny przedpokój przeprowadził go wprost do obszernej łazienki. Tu w walizce znalazł Przybosz komplet ubrania i kilka kompletów bielizny, a na półce wszystkie przybory do mycia i golenia.

Nic chyba nie da się porównać z rozkoszą tej ciepłej kąpieli, pierwszej po tylu tygodniach życia nędzarza.

Gdy wyszedł z wanny i wycierając się szorstkim prześcieradłem, patrzył na zwinięte w kącie łachmany, które przedtem z siebie zrzucił, przyszła mu do głowy patetyczna myśl:

„Oto wraz z tą garstką łachmanów odrzuciłem moją uczciwość i moje, mimo wszystko, nieposzlakowane imię”.

Ale zaraz potem umysł jego przeszyła inna myśl, okropniejsza.

to imię już dawno zostało zbrukane i że nic nie było w stanie dźwignąć go już z upadku.

„Wszystko jedno, wszystko jedno” – powtarzał, uspakajając samego siebie, gdy wkładał na czyste ciało nowiutką bieliznę.

Każda czynność, która dawniej była dla niego całkiem prosta, sprawiała mu teraz niebywałą rozkosz; oblewanie się do czysta, wyszcotkowanie zaniedbanych włosów, które postanowił dziś jeszcze ostrzyć, zawiązywanie krawata, zapinanie guzików nowiutkiej i leżącej znakomicie marynarki.

W mrocznym przedpokoju czekał na niego tenże człowiek i bez słowa podał mu ciepłe

futro z fokowym kołnierzem, kapelusz i rękawiczki. Dostał jeszcze portfel, w którym było parę szeleszczących banknotów stułotowych (o, jakże dawno nie miał ich w ręku) i towarzysz zawiózł go do jednego z pierwszorzędných hoteli gdzie otrzymał niewielki, co prawda, ale wystarczający pokój.

Przez pierwszych parę dni Przybosz, którego tamten uporczywie nazywał „profesorem”, nie miał żadnych obowiązków. Wysypiał się za wszystkie czasy w szerokim, hotelowym łóżku, zjadał obiad w hotelowej restauracji, przechadzał się po Warszawie, lubując się tym, że może zatrzymać się przed lustrzanymi wystawami bez obawy napomnienia policjanta: „Tu nie wolno stać. Dalej, dalej... przechodzić... „ Że może wchodzić do sklepów i lokali i nikt nie zamacha na niego ręką i nie zawoła: „Tu się nie daje. Proszę wyjść... „ Że może nie patrzeć zazdrosnym okiem przez szyby kawiarni na ludzi pijących gorącą kawę i zajadających pieczywo.

Ten okres rozkoszowania się powrotem w szeregi ludzi normalnych trwał jednak krótko. Już na czwarty dzień od czasu swej przeprowadzki do hotelu, Przybosz, po powrocie do domu zastał kartkę, wzywającą go do pewnej podejranej knajpki na Grzybowskiej na godzinę ósmą wieczorem.

Wiedział, czym grozi nieposłuszeństwo. Stawił się więc punktualnie. Był zdecydowany na wszystko.

Od tej chwili rozpoczęła się jego robota, a raczej przygotowania do prawdziwej „roboty”. Banda planowała jakieś wielkie włamanie i rozum „profesora”, jego znajomość innych sfer, były jej potrzebne.

Przybosza ciągnięto z jednego zebrania na drugie. Wreszcie kazano mu przyjść w oznaczony wieczór do „Stelli” to jest tam, gdzie zjawił się po raz pierwszy, powziawszy nieodwołalną decyzję.

Przestępując próg magazynu kosmetycznego, nie bez satysfakcji pomyślał sobie, że jeszcze niedawno przychodził tu odziany w łachmany i tak odrażający, że pokojówka w białym czepeczku nie chciała go wpuścić. Przypomniał sobie, jak to wówczas przed magazynem natknął się na śliczną, zarumienioną od mrozu blondynkę, na którą czekał jakiś pan w taksówce. Może gdyby teraz go spotkała, spojrzalaby na niego innym wzrokiem. Z zadowoleniem przeciągnął dłonią po futrzanych klapach okrycia. Na tym pełnym próżności zajęciu schwytało go otwieranie drzwi.

Wszedł do wnętrza.

Właścicielka zaprowadziła go do pokoju narad i krótko przedstawiła zebrany: „profesor”.

Stary jego znajomy, siedzący w kącie w głębi fotela, dał mu przyjacielski znak dłonią. Poza tym wszyscy obecni byli obcy Frankowi i dziwnie dla niego odrażający. Niektórzy ubrani z przesadną elegancją, inni zaniedbani, ale wszyscy mało pociągający. Widział tu niskie czoła, nieufne spojrzenia spođe łba, wstrętne twarze. Ale opanował szybko ten nastrój.

Trudno, powinien był przewidzieć, że tak będzie, godząc się na to zajęcie.

Zacząła się ożywiona narada, której Franek przysłuchiwał się z uwagą. Układano plan nowej roboty. Banda, przekonana, że sprawa przemytu już jest załatwiona dla nich pomyślnie, gdyż główna winowajczyni, Leokadia Buzik, zwana „Lolką”, zdołała uciec za granicę na skutek wypuszczenia całej serii podobnych do niej łudzaco kobiet i mylenia w ten sposób policji, teraz rozpoczęła układanie całkiem nowych planów. „Profesor”, jako tęga głowa, a zarazem osobistość zupełnie czysta wobec policji, miał odgrywać w tej robocie nie byle jaką rolę. Nie byle jaką Tołę miał też odgrywać tym razem zakład kosmetyczny „Stella”.

Narady przeciągnęły się do późna w noc. Na razie rezultatem ich dla Franka był jeden tylko nakaz. Miał wystarać się w ciągu dwu dni o jakąś kobietę, dotychczas nie zamiesznaną w sprawy przestępcze, która by dała się użyć wraz z nim do roboty. To było konieczne.

– Zrozumiał „profesor”? – spytał ten z monokłem, wyciągając swą wielką odrażającą dłoń ku niemu.

Ręka Franka z wahaniem, ale opuściła się ku tamtej dłoni.

– Zrozumiałem – powiedział krótko.

\* \* \*

Od owego pamiętnego dnia, kiedy Ludka Kozuch, zwana w barze „Pod Różą” na ulicy Chłodnej „Lucy”, widziała po raz ostatni Hankę Przyboszównę, nic więcej o rodzinie Przyboszów już nie słyszała. Pamiętała tak żywo tę scenę, kiedy przyszła do hotelu na ulicy Marszałkowskiej, gdzie Hanka mieszkała i smutnym, poważnym głosem przyniosła jej nieodwołalną odpowiedź Franka Przybosza, że nie chce siostry widzieć na oczy, żeby pojechała sobie do Moran i dalej uczyła swoje chłopskie dzieciaki. Pamiętała łzy, spływające po policzkach dziewczyny, szlochanie, które wstrząsało jej ramionami, pamiętała jej fibrową walizkę, pakowaną nerwowo, szary sweterek, prowincjonalną szubkę i niciane rękawiczki. Patrzała wtedy na nią ze współczuciem, ale jednocześnie ze zdziwieniem, że się tak martwi i płacze o brata. Czy nigdy nie kochała innego mężczyzny? Czy nigdy nie wylewała łez z powodu innego chłopca? Ona, Ludka miała także kiedyś brata. Umarł jako mały chłopak na dyfteryt, pamięta to świetnie. Miała już wtedy piętnaście lat, a on dziesięć. Dzisiaj byłby już dorosłym mężczyzną, ale czyby go kochała, tak, jak ta dziewczyna kochała swego brata? Na pewno nie. Na pewno życie rozdzieliłoby ich dawno. Ale dlaczego właściwie brała taki żywy udział w cierpieniach tej nauczycielki, której nigdy już pewnie w życiu nie zobaczy? Dlaczego dokładała tyle starań, aby odnaleźć jej brata? Dlaczego z taką przyjemnością wysłuchiwała opowiadań Hanki o ich dzieciństwie, o matce, o miasteczku, gdzie się wychowali, o jego zdolnościach, zamiłowaniach i ostatecznym upadku. Co ją to wszystko mogło obchodzić? A jednak obchodziło ją bardzo blisko.

Od owego jesiennego dnia nie zobaczyła już więcej Przybosza. Nie przychodził do baru „Pod Różą”; na próżno wyczekiwała prawie co wieczór, na próżno wypytywała jego

kompanów, co się z nim dzieje. Nie wiedzieli. Wzruszając ramionami, odpowiadali, że go już dawno nie widzieli, że do dawnych szynków już nie przychodzi, że pewnie zapił się gdzieś na śmierć, albo zdechł z głodu. Jeden tylko z jego dawnych kompanów, ten, którego nazywali „generałem”, powiedział, że ktoś mu mówił, że zdaje się nocuje w „Cyrku” na Dzikiej. Szkoda chłopca, mogło coś z niego być – dodał łagodnie – to wódka tak z ludzi robi.

Ludka Kozuch często myślała o Przyboszu. Przypominała sobie wieczory, kiedy przychodził do baru „Pod Różą” i tak zupełnie inaczej do niej mówił, niż inni goście. Pamięta, że pierwszy raz, kiedy go zobaczyła, zwróciła uwagę na jego ręce i oczy. Palce u rąk miał wydłużone i delikatne, już wtedy pomyślała sobie, że musi być kimś lepszym. A jego oczy, te wielkie, ciemne oczy, często smutne i zamyślane – tych oczu nie zapomni chyba nigdy. Przypominała sobie, po raz nie wiem który, jak to stanął w jej obronie, i jak potem leżał, jak nieżywy na pluszowej kanapie „gabineciku”. „Tutaj, na tej kanapie”, myślała „mogłam z nim rozmawiać, o wszystko pytać. Dlaczego już więcej nie przyszedł? Gdyby mnie choć trochę lubił, przyszedłby tu przecież, właśnie, jeżeli mu źle. A może już nie żyje? Nie, to niemożliwe”, pocieszała samą siebie. „Dowiedziałaby się chyba, gdyby umarł. To niemożliwe”

Tymczasem przeszła jesień, zaczęły się mrozy, zbliżało się Boże Narodzenie. Tancerka Lucy, wciąż marząc o lepszej karierze, tańczyła w barze pod „Różą”. Co wieczór odrabiała te same numery, co wieczór śpiewała zachrypłym głosem te same piosenki, co wieczór tańczyła z tymi samymi, lub takimi samymi, pijanymi, spoconymi drabami, którzy ją do siebie przyciskali i częstowali nędzną kolacyjką. Czasami trafił się ktoś hojniejszy, ale zawsze na krótko. Święta Bożego Narodzenia przyniosły jej dwa dni odpoczynku. W wilię i w pierwszy dzień świąt Lucy nie pracowała. Bar był zamknięty. A ona spędzała ten wieczór na Starym Mieście z matką w nędznej izdebce. Zaprosiły jeszcze sąsiadów. Była wódka, harmonia, był także jeden z przeciwka, co do niej sypał oko, Maniek, kelner z restauracji na Koziej ulicy. Ale Ludka serca do niego nie miała. Drażnił ją jego głos, jego maniery kelnerskie.

– Panna Ludka, to mnie ani trochę nie lubi – powiedział, składając jej świąteczną wizytę, ubrany w odświętny garnitur i nowe przyciasne lakiery.

– E, co tam się panu Mańkowi zdaje. Ja w ogóle do chłopów już dawno serce straciłam, ale żeby tam specjalnie do pana Mańka, to nie powiem.

Ale nie mówiła tego szczerze. Bo ile razy patrzyła na jego wypomadowaną czuprynę, czarny, podkreślony wąsik i duże czerwone ręce, brało ją obrzydzenie. Wtedy widziała inne ręce i inne oczy.

W pewien mroźny, styczniowy wieczór, Ludka, drżąc z zimna w tanim, podszytym wiatrem płaszczku, śpieszyła do zajęcia. Na ulicach było ciemno, słabe światło latarni oświecało zmarzniętą ziemię i kupy śniegu sterczące na rogach. Ludzie śpieszyli chuchając w zmarznięte ręce i głośno narzekali na ostrą zimę i ciężkie czasy. Ludka szła prędko ulicą, rozmyślając nad tym, jakie życie jest nieprzyjemne. Myślała, że czeka ją znowu wieczór taki

sam, jak wszystkie inne, że znowu przebierze się w błękitne gazy, znowu umaluje jaskrawo twarz, znowu będzie się uśmiechała do obcych, nieprzyjemnie pachnących chłopów, znowu będzie tańczyła tango i śpiewała, że on ją porzucił i że już nigdy go nie zobaczy.

„Czyż nigdy nic się już nie zmieni?”, myślała z rozpaczą, czyż nigdy nie zdarzy się nic przyjemnego? Czasami oddawała się marzeniom i wtedy wyobrażała sobie, że dostanie się do jakiegoś dużego musie hallu, jako girlsa, że z czasem stanie się wielką gwiazdą, o której będzie się pisało w gazetach. Że jej fotografia będzie widniała we wszystkich pismach, a jej nazwisko na wszystkich plakatach. Dziennikarze będą z nią mieli wywiady, będzie mieszkała w pięknym mieszkaniu i spała pod puchową kołdrą, w dużym łóżku, a obok łóżka będzie stał stolik nocny i lampa z różowym abażurem. Będzie chodziła w pięknych sukniach i w ciepłym futrze, w które się zawinie. Ale i tak będzie jej ciepło. Bo na ulicy będzie jeździła własnym autem, a w pokoju będzie tak ciepło napalone w piecu.

Zatopiona w marzeniach, sama nie zauważyła, jak doszła do baru „Pod Różą”.

W pierwszej izbie było już pełno ludzi. Dym marnych papierosów unosił się w powietrzu. Za kontuarem otyły właściciel obrzucił ją nieufnym spojrzeniem i pokazując zegar, zawołał, grożąc jej palcem:

– Znowu spóźniona o dziesięć minut.

Ludka szybko zdjęła liche paletko i rozcierając zgrabiąte ręce, chciała pójść do „garderoby”. Właściciel baru zatrzymał ją ręką:

– Pytał tu ktoś o panienkę.

– O mnie?

No, tak, pewnie, że nie o mnie.

A kto?

– A bo ja wiem. Jakiś pan. Powiedział, że tu jeszcze wróci.

Serce Lucy zabiło mocno. Tak już dawno nikt o nią nie pytał.

– Czy mówił, kiedy wróci?

– A nie wiem, mówił, że wróci i już.

Lucy pobiegła do „garderoby”, aby się przebrać.

Szminkując marną szminką twarz, odbijającą się w mętym, krzywym lusterku, myślała bez przerwy, kto to mógł być?

Powiedział „jakiś pan”, a więc pewnie ktoś porządnie ubrany, nie jakiś oberwaniec, z gatunku tych, którzy tu przychodzą? A więc nie... tamten, o którym musiała tak często myśleć. Więc kto? Kto ją tu znał? Ktoś ze stałych bywalców? W takim razie właściciel baru znalazłby go z pewnością.

Ludka przypomniała sobie, jak parę tygodni temu, gdy wracała do domu, spostrzegła w dużej odległości jakiegoś oberwańca. Serce zabiło jej wtedy mocno i puściła się kłusem Placem Teatralnym, aby go dogonić. Kiedy zrównała się z nim i zajrzała mu w twarz, okazało się, że to był zupełnie kto inny, jakiś okropny typek o czerwonej, obrzękłej twarzy, trochę



tylko podobny do tamtego ze wzrostu i ubrania. Spojrzał na nią, myśląc, że chce go zaczepić i rzucił jakieś okropne przekleństwo pod jej adresem. Uciekła jak oparzona w stronę ulicy Senatorskiej. Nigdy nie bała się chodzić sama po nocy, ale teraz biegła, oblana zimnym potem, nie oglądając się poza siebie.

Lucy przebrała się szybko w błękitną gazę i ozdobiwszy usta sztucznym uśmiechem, wyszła do pierwszej izby baru. Przywitały ją oklaski i szmer zadowolenia. Właśnie wyszła na środek pokoju, dała znak orkiestrze i zaczęła zawodzić ciekawym, trochę ochrypłym głosem:

„Czemuś o mnie zapomniał, W tę noc straszną i złą... „

Drzwi baru otworzyły się i wszedł jakiś elegancki mężczyzna w średnim wieku. Zwrócił się do gospodarza, siedzącego za ladą.

– Zaraz będzie wolna – powiedział gospodarz – teraz są właśnie występy.

Nieznajomy pan zajął miejsce przy stoliku.

– Poczekam – powiedział do tamtego.

– Skąd znała ten głos? Jaki znajomy dźwięk!

Śpiewała automatycznie, wychodziła i kłaniała się znowu.

Zaraz po skończonych występach, kiedy na chwilę wpadła do tylnego pokoiku, aby poprawić włosy, usłyszała jakieś pukanie do drzwi:

– Proszę! – zawołała z bijącym sercem.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł ten sam elegancki pan w futrze. Skłonił się nisko, uśmiechając się i wyciągając do niej rękę.

Te oczy, ten uśmiech. Mój Boże!

– Pani mnie nie poznaje, panno Lucy – powiedział ze śmiechem. Czyż doprawdy aż tak się zmieniłem?

Teraz dopiero go poznała.

– Pan Przybysz! – zawołała na cały głos. – Co się z panem zrobiło? Jaki pan zmieniony. Nie, to niemożliwe, żeby ktoś mógł się tak przemienić!

Przybysz stał z kapeluszem w rękę i uśmiech zamarł mu na wargach.

– Prawda – powiedział cicho, prawda, panno Lucy, wszystko te głupie pieniądze!

Lucy śmiała się ze łzami w oczach.

– Niech mi pan opowie, w jaki sposób zarobił pan tak dużo pieniędzy? Jakie cudne futro i ubranie – mówiła zdejmując z niego futro i wieszając na wieszaku przy drzwiach. O, jak panu dobrze, jak pan starannie ogolony. Zupełnie inny człowiek. U fryzjera pan był. A jaka cudna jedwabna koszula i krawat. Obracała go na wszystkie strony, śmiejąc się i klaszcząc w ręce.

Twarz Franka była ponura i smutna. Głęboka bruzda przecięła mu czoło. Świeżo ogolony, ostrzyżony, ubrany w dobrze skrojony, ciemny garnitur i jedwabną koszulę, wyglądał bardzo przystojnie.

Jego wielkie, ciemne oczy, patrzyły smutno na uśmiechniętą, zachwyconą twarzyczkę.

– Chciałbym z panią pomówić – zaczął poważnie. – Może tu usiądziemy.

Usiedli na pluszowej, zielonej kanapce, na której leżał kiedyś pół żywy.

Lucy pożerała go wzrokiem. Patrząc na niego, nie posiadała się ze szczęścia. A więc wrócił tutaj, do niej wrócił, tylko do niej. I jaki odmłodzony, jaki inny.

– Przyszedłem tutaj do pani, panno Lucy – zaczął i urwał na chwilę. – Mam do pani wielką prośbę... Chciałbym, aby pani mi zaufała... aby wyświadczyła mi pewną przysługę...

Patrzała na niego ze zdziwieniem. Nie mogła zrozumieć, dlaczego właśnie teraz, kiedy ma pieniądze, kiedy jest tak pięknie ubrany, patrzy na nią tak posepnie, dlaczego ma takie tragiczne smutne oczy i czemu tak dziwnie zacina się, mówiąc do niej. Przecież nigdy nie był taki nieśmiały. A co dopiero teraz. Co to za prośba, która z takim trudem przechodzi mu przez gardło?

– Pani mnie podziwia, że się zmieniłem, że wyprzystojniałem. Tak, ubranie bardzo zmienia człowieka... Ale i pani mogłaby się tak przemienić. Ubrałbym panią pięknie, kupiłbym pani ciepłe, miękkie futro... wszystko, co by pani chciała, wszystko...

Lucy schwyła go za rękę.

– Pan mnie? O, Jezu najmiłszy... co ja słyszę... takie szczęście... O, Jezu...

Wolno i łagodnie odsunął jej rękę.

– Niech się pani tak nie cieszy – powiedział ze smutkiem – ja coś w zamian zażądam. Nie za darmo.

– Ale... ja właśnie o tym marzę... ja i za darmo, ja... o panu myślałam.

Uśmiechnął się.

– Czy chce pani wiedzieć, co ja w zamian zażądam? Czy będzie mi pani posłuszna, czy wykona wszystko, czego będę żądał?

– Wszystko zrobię, pójdę wszędzie, gdzie mi pan każe, choćby na koniec świata... Wszędzie...

Uklękła przed nim i podniosła jego rękę do ust.

Odrzącił ją gwałtownie i w oczach obok smutku zabłyśły mu ogniki gniewu.

– Dziewczyno, zostaw mnie, ty nie wiesz... z kim... nie wiesz, kto...

Urwał zmieszany i nie dokończył. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął grubo wypchany skórzany portfel i po chwili parę szeleszczących setek leżało obok dziewczyny na kanapie.

– To dla mnie?

– Tak, proszę to wziąć i ubrać się. Najpotrzebniejsze rzeczy można chyba za tę sumę dostać. Jakby zabrakło, proszę się do mnie zwrócić. A tu mój adres:

Wcisnął w jej rękę kartkę z napisanym adresem.

– Proszę do mnie przyjść jutro po południu o piątej. Będę czekał.

Szybko chwyciła pieniądze i wsunęła za stanik.

Zdawało jej się, że to jakiś dziwny sen. Przecierała oczy, lecz Franek nie zniknął. Stał wciąż przed nią w eleganckim garniturze, błądliwy i patrzył na nią dużymi, smutnymi oczami.

Potem skłonił się sztywno, włożył futro i wyszedł, rzucając na odchodnym:

– A więc do jutra.

Mój Boże, cóż to była za rozkosz! Tyle pięknych rzeczy! Jedwabna bielizna, sukienki, pantofelki i pończochy, tyle pończoch! Nie będzie się już męczyła cerowaniem, załapywaniem oczek, zszywaniem. Nowe, jedwabne, wysokie pończochy, bez ani jednej dziureczki.

Lucy biegła od samego rana po magazynach. Bez tchu od sklepu do sklepu. Wszystko, o czym marzyła, wszystko, na co się napatrzyła przez wystawy lustrzane w ciągu długich miesięcy. Ta blad różowa jedwabna kombinezka w prawym kącie wystawy, na którą patrzyła codziennie, śpiesząc do pracy. Te pantofelki z klamrami, z którymi zapoznała się już parę tygodni temu i wreszcie futerko, z którym była zaprzyjaźniona już od paru miesięcy, od czasu, jak rozpoczęły się pierwsze zimy. Nie było dnia, żeby na nie nie patrzyła... przemawiała do niego czule, pieszcząc je spojrzeniem I w marzeniach widziała siebie ubraną w to futro i spacerującą w nim po ulicy.

Teraz nagle w ciągu jednego dnia – wszystkie te marzenia spełniły się. Lucy myślała dotychczas, że takie rzeczy zdarzają się jedynie w kinie. Ileż to razy widziała takie obrazy, gdzie ubogie nędznie ubrane dziewczątka, przemieniały się od razu we wspaniale ubrane, szykowne damy. Ileż to razy z zapartym oddechem pożerała nieledwie wzrokiem sceny, kiedy to z magazynów przynoszą stosy pudeł, pełnych sukien, bielizny, kapeluszy, okryć...

Odwieczna historia Kopciuszka... Lucy nieprzytomna ze szczęścia z powodu tylu pięknych rzeczy, nie zapomniała jednak i o innym szczęściu, które spadło na nią tak niespodziewanie. Kopciuszek odnalazł przecież swojego królewicza.

Dziś o piątej... – myślała z radością, pełną niepokoju. Przyjdzie do niego przemieniona, ubrana w piękne, nowe rzeczy. Kazał jej przecież przyjść. Sam powiedział. Ale dlaczego patrzył przy tym tak ponuro, dlaczego odsuwał jej rękę i nie uśmiechnął się do niej ani razu? Czyżby jej nie lubił? Jakiś dziwny niepokój targał nią bezustannie. – Przemiana Franka Przybosza z oberwańca i łazika w wytwornego pana w futrze, z portfelem wypchanym setkami złotych, jego nagłe zjawienie się w barze, jego dziwnie rozkazujący ton, gdy mówił, że musi być mu posłuszna – wszystko to budziło w niej chwilami jakieś dziwne podejrzenia. Nie miała jednak wiele czasu na rozmyślanie. Krzywe lustro, stojące na komódce obok jej łóżka, odbijało jej szczupłą sylwetkę w wytwornej bieliźnie, sukienki po niewielkich poprawkach leżały świetnie. Pantofle były wygodne, a co najważniejsze, miały mocne, nieprzemakające podeszwy. A futro? Futro to był poemat. Ciepłe, miękkie i lekkie. Zawinęła się w nie i stała przed lustrem długą chwilę w niemym zachwycie. Boże, jak jej było ładnie! Zadałkowała je tylko, bo nie starczyło jej już więcej pieniędzy, ale Franek powiedział przecież, że jak jej zabraknie, da jej jeszcze.

Punktualnie o piątej po południu pukała do hotelowego pokoju, który jej wskazał portier na dole.

Usłyszawszy jego głos, otworzyła drzwi i weszła. Przybosz leżał na szerokim łóżku w jedwabnym szlafroku i czytał książkę. Na jej widok nie wstał, tylko obejrzał ją dokładnie od stóp do głów, dał jej znak ręką, aby się do niego zbliżyła. Onieśmielona, wystraszona zbliżyła się niepewnie do łóżka.

– Jesteś dziś piękna, moja dziewczynko – powiedział, przygarniając ją do siebie. – Oboje zrobiliśmy się podobni do ludzi.

Wciąż nie podnosząc się z łóżka, zdjął z niej futro i odrzucił daleko na krzesło. Potem, bez słowa, zanim zdołała stawić jakikolwiek opór, ściągnął z niej suknię. Nie wydała z siebie ani jednego dźwięku, tylko, znalazłszy się pod kołdrą, przytuliła się do niego mocno.

– No i cóż, dobrze nam razem? Przecież nie powiesz chyba, że ci źle ze mną, przecież mnie lubisz?

– Franuś najmilszy – mówiła bezładnie, cała drżąca, – dobrze mi... myślałam o tobie tyle... marzyłam o tobie... śniłeś mi się po nocach... tak chciałam cię odnaleźć... Ale teraz... teraz... wydajesz mi się taki dziwny... taki inny, nie dlatego, że jesteś elegancko ubrany i wymyty, nie dlatego, że masz teraz pieniądze. Ale patrzysz na mnie tak jakoś dziwnie i taki jesteś ponury, zły... Czy ty się na mnie nie gniewasz, powiedz, Franuś?...

Zaśmiał się nieprzyjemnym, ochrypłym śmiechem.

Potem przez długą chwilę milczał.

– Nie gniewam się na ciebie, dziecko – powiedział po długiej chwili milczenia. – Za co miałbym się na ciebie gniewać? Gniewam się na siebie... Ale to już inna sprawa, nie będziemy o niej teraz mówili.

Wysunął się spod kołdry i w szlafroku podszedł do małej szafki w rogu pokoju. Potem wrócił znowu do łóżka i postawił butelkę z kieliszkami na nocnym stoliku.

– Napijmy się, mała – powiedział, podając jej kieliszek do ręki. – Napijmy się za powodzenie naszej przyjaźni.

Nie miała chęci pić, ale przymusiła się i wychyliła duszkiem kieliszek.

Jakieś dziwne uczucie lęku sprawiało, że robiła wszystko, co jej kazał.

– No i cóż? – pytał Przybosz, – kupiłaś sobie wszystko, co ci było potrzeba, czy chcesz coś jeszcze?

Odpowiedziała mu, że ma już wszystko, tylko futro musi spłacić do końca.

– Dostaniesz, ile będziesz chciała. Ale trzeba będzie zrobić jeszcze porządek z twoją cerą i z włosami. Jesteś zbyt blada. Nie umiesz się robić na piękną. No, i te włosy trzeba koniecznie inaczej uczesać.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem. Nie miała pojęcia, że znał się na takich sprawach, jak modne uczesanie, makijaż, odświeżanie cery.

– Ty się na tym znasz, Franuś? – zapytała ze zdumieniem. – Myślałam, że ty... że taki uczony, jak ty...

Znowu roześmiał się tym swoim nieprzyjemnym śmiechem.

– Na wszystkim trzeba się znać, moja mała, chcesz, to zaprowadzą cię jutro do salonu kosmetycznego, gdzie cię zrobią na piękność? Zobaczmy. Zacznie się dla ciebie lepsze życie. Przystaniesz tańczyć w barze „Pod Różą”, zaangażują cię na girlse. Zobaczysz, moja mała, będzie jeszcze dobrze.

Znowu wychylił kieliszek. Humor mu się od razu poprawił, śmiał się i mówił bez przerwy:

– A więc jutro w południe przyjdiesz tu do mnie i zaprowadzę cię do salonu „Stella” To najlepszy salon kosmetyczny w Warszawie. Po prostu cuda robią tam z kobietami. Zobaczysz, jaka będziesz śliczna.

Lucy przytuliła się do niego mocniej.

– Ach, Franuś, dziękuję ci za wszystko, tak bardzo dziękuję.

W jednym z największych banków prywatnych stolicy ruch osiągnął swój kulminacyjny punkt koło południa. Woźny na próżno roznosił na tacy uroczyście szklanki herbaty i stawiał je na biurkach urzędników, nie zwracali wcale uwagi na jego zabiegi, paczuski ze śniadaniami leżały nietknięte, a przed okienkami ani na chwilę nie ustawał napływ coraz to nowych klientów.

W wielkiej sali, poprzegradzanej barierami, pochylały się nad biurkami głowy młodych maszynistek, starych łysiejących buchalterów i młodszych urzędników, stukwały monotennie maszyny, gwar zmieszanych głosów wypełniał po brzegi wysoką, przegrzaną salę bankową.

Zaaferowani urzędnicy przebiegali co chwila salę z plikami papierów pod pachą i kierowali się ku drzwiom, na których widniał napis: „Dyrektor. Nie wchodzić bez meldowania”.

Na pluszem wybitych kanapach pod ścianami siedzieli klienci czekając, aż z okienka naprzeciwko wywołają ich numerek. Siedzieli obok siebie w zgodnym oczekiwaniu: jakiś starszy kupiec w wytłuszczonej kapocie, wykwintna młoda dama ze srebrnym lisem na szyi, wysoki młodzieniec w nieposzlakowanym futrze, kobiecina w chustce. Wszyscy wpatrzeni byli w okienko, nad którym widniał napis: „Kasjer główny”.

W okienku tym, o dziwo, zamiast zwykłej w takich miejscach, pooranej wiekiem twarzy starego kasjera, widniała twarz pięknej, młodej kobiety. Bywalcy tego banku nie dziwili się temu zjawisku.

Wiedziano o tym powszechnie, że piękna jeszcze, choć już zbliżająca się do czterdziestki, pani Alicja Bergowa od kilku lat, t. j. od chwili śmierci jej męża, długoletniego kasjera tego banku, pełniła znakomicie swe obowiązki głównego kasjera. Zrazu dyrekcja przyjęła młodą wdowę ze względu na zasługi jej męża, na drobną jakąś posadę, ale już w parę miesięcy potem, przekonano się o jej nieprawdopodobnych zdolnościach i znakomitym wyszkoleniu, jakie otrzymała od męża w ciągu długich lat jego pracy. Powierzano jej coraz bardziej odpowiedzialne obowiązki, aż wreszcie, gdy nie mogli znaleźć odpowiedniego człowieka na stanowisko, opróżnione po kasjerze Bergu, jej powierzyli kasę główną. Od tego czasu upłynęło już lat kilka, a pani Alicja wciąż wywiązywała się znakomicie ze swych obowiązków i zyskała sobie zaufanie zarówno banku, jak i klientów.

Wyplata szła sprawnie. Co parę minut z okienka kasy rozlegał się dźwięczny głos pani Alicji wywołujący numery i za każdym razem z pluszowej kanapki podnosił się szybko klient i biegł do okienka.

– Numer 457! – zawołała Bergowa.

Z kanapki wstał ów wysoki młodzian w nieposzlakowanym futrze i z uśmiechem wsunął

w okienko dłoń z tym numerkiem. Ale załatwienie tego klienta nie było tak szybkie, jak innych. Bergowa odliczyła mu banknoty, klient twierdził, że zaszła tu jakaś pomyłka w sumie, domagał się reklamacji w dyrekcji. Kasjerka usiłowała go przekonać, że uczyni to po godzinach biurowych, ale klient tłumaczył, że jest przyjezdny i że musi się to załatwić natychmiast. Pani Bergowa znana była z tego, że spełniała najprzychylniej jak mogła, życzenia klientów. Toteż poprosiwszy kolegę z sąsiedniego okienka, by usiadł na jej miejscu, zamknęła na chwilę okienko ku ogólnemu niezadowoleniu czekających w kolejce i wyszła na salę, kierując się ku drzwiom gabinetu dyrektora.

Wysoki młodzieniec błyskawicznym ruchem odwrócił się w stronę sali. Ale widocznie to, co tam zobaczył, uspokoiło go całkowicie, gdyż natychmiast powrócił do swej pierwotnej pozycji wyczekiwania przed okienkiem.

Cóż zobaczył takiego? Ukryty za grubym filarem stał jakiś młody mężczyzna w podniszczonym palcie. Gdy Bergowa wyszła z kasy, młodzieniec ów szybkim ruchem wyjął zza płaszcza aparat fotograficzny i dokonał jednego za drugim kilku zdjęć. Potem ukrył aparat za połą płaszcza i czekał dalej nieruchomo. Nikt w przepelnionej zaafierowanymi ludźmi sali nie zauważył tego manewru. Nikt, prócz wysokiego mężczyzny przy kasie.

Nie upłynęło i pięć minut, kiedy drzwi gabinetu dyrektora otworzyły się i piękna kasjerka wyszła stamtąd, zmierzając do swego okienka. Znowu manewr z aparatem, cichutki dźwięk i znowu kilka zdjęć uwieczniło się na błonie aparatu chudego pana, ukrytego za filarem.

– Okazuje się, że jednak ja miałam słuszość – powiedziała pani Bergowa, otwierając okienko i wychylając przez nie głowę o pięknych rudych, starannie ułożonych włosach – pan się musiał omylić. Pan dyrektor wyjaśnił...

Młodzieniec słuchał uprzejmie wyjaśnień, zgodził się na wszystko i, stokrotnie przepraszając za kłopot, oddalił się od okienka.

Oczekujący za nim klienci sarkali gniewnie:

– Przyjdzie taki, zajmie swoją osobą czas i czekaj tu – mruczał jakiś czerwony, starszy apoplektyk.

– Proszę pana – odparła wyrozumiale kasjerka, odliczając swymi pięknymi palcami stos stułotowych banknotów – każdy sądzi, że jego sprawa jest jedyna i najważniejsza. My, urzędnicy musimy się do tego przyzwyczaić.

Tymczasem wysoki młodzieniec szybkim krokiem opuścił gmach bankowy. Znalazł się na ulicy, rozejrzał się wokoło uważnie. Po chwili biegł w stronę ulicy Mazowieckiej. Tu na rogu ulicy, uważnie wpatrzony w kiosk z gazetami, stał ten sam mizerny mężczyzna, który w banku robił zdjęcia fotograficzne.

– No, jak tam? – spytał wysoki, zbliżając się do niego.

– Zdaje się, że znakomicie. Zrobiłem sześć zdjęć. Światło było co prawda kiepskie, ale myślę, że wyjdą. Postać utrwalona doskonale, a jak się to powiększy...

– Śpiesz się z wywołaniem. Stella musi mieć na jutro, jak Przyjdzie mała...

- Widziałeś ją już?
- Kogo? Małą?
- Aha.
- Nie, jutro ją „profesor Francois” przyprowadza. No, serwus.  
Podniósł kołnierz futra i zniknął za rogiem ulicy.

„Mała”, o której mówili dwaj tajemniczy mężczyźni opuszczający gmach banku, była tymczasem u szczytu szczęścia. Spełniło się to, o czym nie śmiała marzyć nawet we snach: Franek wrócił z kupą pieniędzy, bogaty, pięknie ubrany, tylko że niewesoły. Tego nie mogła mała Ludka zrozumieć. Bo jeżeli wrócił do niej znaczy, że ją kocha, ona go także kocha, pieniądze mają. Więc czego im więcej trzeba? Nie pytała o to Franka, bo spostrzegła, że pytania te wprawiają go tylko w zły humor i drażnią niepotrzebnie. Wystarczało jej to, że jest często z nią razem, że sprawił jej takie piękne rzeczy, że wolno jej przychodzić do niego do hotelu, że nawet wieczorami zabiera ją do kina i do porządnej restauracji na kolację.

Chwilami zastanawiała się nad tym, skąd ma taką kupę pieniędzy. Nawiedzały ją nawet podejrzenia, że z jakiegoś nieczystego źródła. Ale nie przerażało jej to zbytnio. Dziecko nędzy, wychowane w straszliwej ponurej kamienicy warszawskiej wśród najrozmaitszych ludzi, znała życie nie od dzisiaj i była dotychczas uczciwa po prostu dlatego, że jej się nie zdarzała okazja innego życia. W jej stosunku do Franka przeważał nad wszystkim podziw: dla jego rozumu, który uważała za bezgraniczny, dla delikatnych rąk, cichego głosu, dla tego, że nigdy nie słyszała, by przeklinał tak, jak inni. A skąd ma forszę? To już jego rzecz, ją niech o to głowa nie boli. On wie, co robi.

O tym wszystkim myślała idąc, a właściwie lecąc jak na skrzydłach do salonu kosmetycznego, którego adres ścisłała w zaciśniętej dłoni.

– Pójdiesz tam – powiedział Franek, dając jej adres – zapytasz o panią Stellę, powiesz jej, że przychodzisz od „profesora”.

– To ona była twoją uczennicą? – spytała Lucy z szacunkiem.

– Co takiego? – zdziwił się Przybosz, ale zaraz się spostrzegł i powiedział szybko i niechętnie: – Aha, – Potem ciągnął dalej. – Ja już z nią omówiłem, jak i co mają ci zrobić...

– Tak, jak ty lubisz? – spytała Lucy, przytulając się przymilnie do niego.

– Tak, i żebyś mi tam nie protestowała, rozumiesz? Oni się tam lepiej znają na tym, co ładne i modne. Nie dziw się, jak cię bardzo odmienią.

Lucy rzuciła szybkie spojrzenie do lustra, które odbijało jej chudziutką postać, włosy utlenione na kolor słomy i bladą, anemiczną twarzyczkę o niebieskich, z lekka zaczerwienionych oczach. Przeciągnęła chudą rączką po twarzy i powiedziała z nagłym smutkiem:

– To tak ci się już nie podobam wcale?

Przybosz milczał, jak gdyby zatopiony w innych myślach. Obudził się z tego zamyślenia i powiedział szybko:



– Nie, dlaczego?

I aby bardziej ją przekonać, przygarnął do siebie i pocałował w policzek.

Lucy na wspomnienie tego pocałunku promieniała wewnątrz.

„Podobam mu się, tylko widocznie wyglądam mało elegancko i dlatego chce mnie odmienić. Czemu miałabym się sprzeciwić? Ile to kobiet marzyłoby o tym, a ja mam się o to martwić?”

Przyśpieszyła kroku, gdyż już z daleka zobaczyła modernistyczny szyld salonu kosmetycznego „Stella”. Po chwili, pełna onieśmienia, pozwalała wspaniałemu szwajcarowi zdejmować z siebie swoje nowe futerko, do którego wciąż jeszcze nie miała czasu się przyzwycząić.

Szatnia „Stelli” wyłożona była grubym puszystym dywanem, który tłumił odgłos kroków, toteż Lucy nie dosłyszała, że ktoś wbiegł do szatni i dopiero, gdy podniosła głowę od swych stóp, z których służący zdejmował boty, wysokie i lśniące, takie, o jakich zawsze marzyła, zobaczyła stojącą przed nią jakąś młodą panią.

Pani ta spodobała się Lucy ogromnie. Takie nie przychodziły do baru „Pod Różą”, z takimi nie stykała się nigdy w czasie swego życia. Miała jasną i wzbudzającą zaufanie twarz, szczere, niebieskie oczy i takie śliczne, nietlenione, jasne włosy, bezpretensjonalnie od – czesane za uszy.

Ubrana była w granatowy fartuch z rękawami, który teraz właśnie zdejmowała i wręczała portierowi.

– Już pani skończyła robotę? – spytał portier.

– Na dziś skończyłam – odpowiedziała wesoło młoda pani – musi do jutra schnąć. Tylko, żeby tam nikt nie wchodził. Tu jest klucz.

W tej chwili drzwi wejściowe otworzyły się i wszedł, otrząsając śnieg z kołnierza futra, jakiś trochę zgarbiony pan w okularach.

– Michał – zawołała młoda pani – jaki punktualny!

– Bałem się, że mi uciekniesz, Elu. Cała banda czeka na nas w Ipsie. Zatrzymałem taksówkę, bo straszna zawierucha.

– Idziemy! – zawołała wesoło młoda pani i wpychając niesforne kosmyki jasnych włosów pod czapeczkę, wybiegła wraz z panem.

Portier podążył za nią ku drzwiom, by je otworzyć. Lucy wciąż nie ruszała się z miejsca, choć dawno była już rozebrana z okrycia i botów. W tej chwili gdy portier się odwrócił, zobaczyła, że na podłodze leży jakiś list, który najwidoczniej wypadł z mufki młodej pani, gdy poprawiała sobie włosy. Podniosła go szybko i sama nie wiedząc czemu, schowała do swej torebki.

– Kto to była ta pani? – spytała powracającego od drzwi portiera niedbałym tonem.

– To nasza malarka, urzędowała ten cały salon i teraz wykańcza tamte pokoje od podwórza. Proszę panią, do pani Stelli to prosto, trzecie drzwi na lewo.

Rozsunął szklane drzwi, prowadzące do salonu i Lucy ogarnęła zgęszczona atmosfera perfum i kosmetyków, gwizd maszyn, suszących włosy, zapach smarów i dym papierosów, palonych przez klientki.

Wyjęła z torebki przed chwilą kopertę i szybko spojrzała na adres:

„Wielmożna pani Elżbieta Rzecka. Warszawa, Aleja Zwycięzców 10”.

Akt oskarżenia w sprawie Gorzeckiego i Domowej zawierał kilkadziesiąt stron maszynowego pisma. Spory ten tom pozszywanych kartek, obłożonych w szary papier okładki, spoczywał na kolanach Joanny Domowej, siedzącej nieruchomo na stołku w celi więziennej. Szczupłe, nerwowe palce kobiety przebierały kartki jedną po drugiej, zaciskały się na nich, jak gdyby w nagłym paroksyźmie bólu, rwały je, a potem znowu wygładzały z uwagą i napięciem. Upłynęły już dwadzieścia cztery godziny od chwili, kiedy Joanna Dornowa powróciła z sądu, dokąd ją wezwano dla wręczenia jej tego aktu. Gdy tylko powróciła do celi, zabrała się do czytania z jakąś rozpaczliwą chciwością, z pośpiechem, graniczącym nieledwie z gorączkowym atakiem.

Zrazu, czytając, nie rozumiała nic, ani słowa. Niebieskie litery maszynopisu, układające się w dziwaczne, oficjalnym językiem skonstruowane zdania, skakały jej przed oczyma, wykonywały jakiś piekielny taniec, układały się w szeregi tak obce i zamknięte w swej treści jak gdyby pisane w obcym dla niej języku.

Powoli jednak zaczynała rozumieć, potem pojmowała coraz więcej i wreszcie ze straszliwą wyrazistością objęła myślą wszystko, całą potworność zarzucanych jej czynów.

Więc tak? Więc ona, Joanna Dornowa, miała za plecami starzejącego się męża w zamian za to, że otaczał ją wygodami i stwarzał jej bez troskie życie, zdradzać go z młodą zdobywcą serc niewieścich, z kuzynkiem Gorzeckim, który tak cynicznie sięgał po nią dłonią? Więc ona dalej miała ukartować z tymże kuzynkiem zbrodnię usunięcia ze świata jej męża Mariana, by móc potem wyjść za mąż za kochanka i z nim razem używać morańskich bogactw? Więc to dalej ona ułożyła szczegółowo plan tej zbrodni, oddalając do miasta oddane Marianowi istoty, jakimi były Józef i Rolf i namawiając męża, by poszedł z nią do strzelnicy, gdzie łatwiej można będzie strzelać bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi?

Więc to ona, Joanna, jest zbrodniarką, wyrafinowaną mężobójczynią?

Pochyliła nisko głowę nad papierami. Z oczu jej tak bardzo znużonych nie spływała ani jedna łza. Były suche i błyszczące wewnętrzną gorączką. Jedna myśl dręczyła ją bez ustanku, oplątywała coraz silniej ze wszystkich stron. Jakże się to stało, że ona, Joasia Stypniewska, ona, która samą siebie uważała za kobietę uczciwą, powoli wyrosła na zbrodniarkę?

Jakże się to stało, że nagromadziły się powoli te wszystkie fakty, z których niemal każdy oddzielnie był prawdziwy, po to, by złożyć się na taki potworny gmach kłamstwa?

Jakże to uszło jej uwagi, że nic, jaka zaczęła się snuć po jej aresztowaniu, oplątywała ją coraz mocniej zewsząd, zacieśniała się misternie, jak sieć pająka naokoło ciała ofiary?

Przez cały długi dzień i całą bezsenną noc Joanna Dornowa myślała tylko nad tym jednym. Czytała uważnie akt oskarżenia, poruszając wargami w cichym szepcie, jak wówczas,

kiedy jako dziecko chciała coś dobrze zrozumieć, czegoś się na pamięć nauczyć. Czytała o wszystkich okolicznościach, jakie towarzyszyły, według tego aktu oskarżenia, zbrodni morańskiej, rozumiała wszystko, a jednocześnie pojmowała coraz mniej.

Jak to? Więc to z tego, co ona mówiła, co mówił Gorzecki, co mówili wreszcie jej domownicy morańscy, wysnuto takie oto wnioski?

Jak to, więc to wszystko ma być prawdą i na tej podstawie mają ją sądzić? Sądzić za zabójstwo męża?

I nagle, gdy tak siedziała, nieporuszona nad papierami, które zawierały te okropne słowa, ogarnęła ją rozpaczliwa myśl: w to wszystko wierzy Stefan Kaniewski, to na podstawie jego śledztwa ułożono ten akt oskarżenia. On uważa ją za zbrodniarkę, tak samo jak prokurator, który ten akt układał, i jak zapewne wszyscy, którzy w tej chwili czytają w gazetach o zbrodni morańskiej, o jej zbrodni.

Przeszyła ją jeszcze myśl o tym, że to ona sama przyczyniła się do takiego obrotu sprawy i że gdyby wtedy nie zvaliła winy na swój nieumyślny strzał, lub gdyby przynajmniej potem wyznała wszystko Stefanowi, sprawa wyglądałaby inaczej.

Ale czyż mogła, czyż miałaby odwagę powiedzieć mu prawdę? Powiedzieć, że tylko z jego powodu obawiała się do tego stopnia skandalu, że wymyśliła takie niewinne, jej zdaniem, kłamstwo? Nie, na to nie mogła się zdobyć. Lepiej jest tak, jak się stało.

Raz jeszcze, nie wiadomo który raz, zaczęła czytać od początku. Ręce, przewracające kartki, drżały tak silnie, jak gdyby poruszał nimi wichur, kartki zlepiały się razem, rozdzielala je niecierpliwym ruchem, syciła się ich treścią, tak, jakby umyślnie poila się najstraszniejszą goryczą.

I nagle nie wytrzymała. Okrutny płacz wstrząsnął jej drobną postacią. Plik zeszytych kartek stoczył się z kolan na podłogę. Dornowa zsunęła się również na podłogę celi więziennej. Leżąc tak z rozkrzyżowanymi szeroko ramionami, z twarzą skąpaną we łzach, przytuloną do twardych desek, powtarzała wśród łkań:

– To nieprawda... nieprawda... ja nie chcę... nie mogę... ja nie zabiłam...

Ten wielki płacz przyniósł jej ulgę. Gdy minął, wstała osłabiona i chwiejąca się na nogach, ale spokojna i zdecydowana na wszystko. Przeszła przez celę i rzuciła się na prycę więzienną, którą dozorczyńni pozostawiała jej przez cały dzień otwartą ze względu na jej osłabienie po chorobie.

Leżąc na wznak na łóżku i patrząc w wybielony sufit celi, na który kładły się czarne linie cieni, padających od krat w oknie, Joanna, chwilę po chwili przemyślała cały ów okropny dzień dwudziestego maja.

Mróz malował w fantastyczne kwiaty małe szybki zakratowanego okna celi więziennej, ale gdy Joanna przymknęła oczy i przeniosła się myślą do owego dnia majowego, który tak okrutnie zaważył na jej życiu, poczuła, jak na jawie mocny i słodki zapach bzów.

Bzy zakwitły dość późno tego roku i na koniec maja przypadł ich najbujniejszy rozkwit.

Wszędzie był bez. Rano, otwierając oczy, Joanna zobaczyła na stoliku przy łóżku pęk liliowego bzu.

– To z tych krzaków koło starej stodoły – powiedziała pokojówka Magda, która właśnie wносиła na tacy śniadanie.

Joanna podniosła oczy i zobaczyła, że Magda ma przy perkalowej różowej bluzce, którą zdawały się rozsadzać jej jędrne piersi, przypiętą dużą gałązkę bzu, tym razem białego.

A kiedy wstała, był wszędzie bez. Zaglądał do okien, zwieszając się obficie w zroszonych kiściach z krzaków, rosnących pod domem: stał w wazonach po całym domu; był wpięty we włosy dziewczuch wiejskich, spotkanych po drodze, gdy po śniadaniu szła zakurzoną szosą do miasteczka na pocztę. Na poczcie stał na okienku urzędniczki, nieco zwiędły w szklanej butelce po wódce; uderzał o mętne, krzywe okienka urzędu, rosnąc w suchotniczym ogródku przed domem. Zalewał cały świat.

Znajomi witali Joannę, idącą po drodze uprzejmym „dzień dobry” i dodatkiem: „Ale dziś gorąco”. Bo od rana tego, majowego dnia wstał duszny ciężki upał, i z godziny na godzinę robiło się coraz parniej.

– Zanosi się na burzę – powiedział mąż, całując ją w policzek, gdy siadali do obiadu. I on, Marian, miał w klapie marynarki gałązkę białego bzu.

Potem, gdy leżał tam skrwawiony w strzelnicy, miał wciąż jeszcze ten kwiatek. Nie... nie, o tym nie chciała myśleć... Nie mogła...

Ale każdy szczegół tego długiego, upalnego dnia, pachnącego bzami, a zakończonego straszną śmiercią, wrył jej się w pamięć już na zawsze.

Kiedy Marian położył się po obiedzie spać w swym gabinecie, Joanna chodziła po parku i szukała na gałązkach bzu szczęścia. Szukała długo, ale nie mogła znaleźć. Wróciła do domu, Marian spał jeszcze.

– Nie trzeba go budzić – powiedziała do ciotki Gorzeckiej, która na tarasie krzątała się przy stole nakrytym do podwieczorku – zmęczył go widocznie ten parny dzień.

– Będzie z pewnością burza – powiedziała ciotka Gorzecka, patrząc na niebo, z którego tymczasem lał się wciąż duszny żar popołudnia. – To rzadkość, żeby w maju było tak gorąco.

A potem nastąpiły tak szybko te wypadki, o których tyle razy mówiła, myślała i które ze wszystkich stron opowiadali świadkowie podczas śledztwa.

Propozycja Mariana, żeby poćwiczyli w strzelaniu. Tak, Mariana, bo choć na to nie było żadnych świadków, Joanna wiedziała, że nie ona mężowi, ale on jej proponował strzelanie w pawilonie.

„Jakże to powiedział sędzia Kaniewski... Stefek... ? Że nie wiadomo, kto komu i dlaczego to zaproponował”.

Tak, nie wiadomo. Nie było świadków. Tylko to upalne niebo nad tarasem, krzaki bzu, zagląające natrętnie do szklanych drzwi salonu... Nie było nawet Rolf, bo Rolf poszedł z Józefem do miasta. Od rana był taki niespokojny. Przypisywała to zbliżającej się burzy i

sądziła, że przechadzka dobrze mu zrobi... Czy mogła wiedzieć, że to właśnie, że to, obróci się w straszliwe przeciw niej oskarżenie?

Strzelanie szło jakoś ospale i co chwila niemal Joanna proponowała powrót do domu, zwłaszcza, że w parku nagle powstały wichry podnosiły żdźbła traw i piasek z alejek, a niebo zaczęło się groźnie zasnuwać. Ale Marian nie lubił nigdy przerywać tego, co zaczął. Był tak systematyczny w zajęciach i nawet w rozrywkach. Miał zawsze ten zwyczaj traktowania jej, jak o wiele młodsze stworzenie, któremu trzeba rozkazywać, bo samo nic nie rozumie i nie wie, co trzeba robić. Tłumaczył jej wszystko łagodnie i cierpliwie, ale zawsze stawiał na swoim.

I teraz usłuchała go także. O, czemuż to zrobiła?

Znieruchomiła chwilę pod wpływem tych okropnych wspomnień. Zdawało jej się, że słyszy wyraźnie bębnienie dużych kropeł deszczu po szklanych ścianach pawilonu strzelniczego.

Słyszała swój własny głos, który mówił: „Widzisz, Marianie, już Pada. Chodźmy do domu”.

I jego odpowiedź: „Wystrzel jeszcze te dwa naboje i idziemy”.

A potem... Błyskawica, huk grzmotów, błyskawica i znowu grzmot. Długi, wstrząsający. I ta ulewa, która nagle chlusnęła tak Potężnie, przesłaniając świat całą zasłoną wody. A potem, ta wykrzywiona twarz za oknem. Twarz Gorzeckiego pełna nienawiści i ironii. Strzał! Nie wiedziała, skąd padł; w pierwszej chwili myślała, że sama jest trafiona. I nagle, ten widok... Marian na podłodze we krwi. A potem... Sama nie zdaje sobie sprawy, jak to było. Nie umie wytłumaczyć tego, jak ten człowiek po tym, co uczynił, śmiał jeszcze wpaść do pawilonu, klękać przy tym, który już nie żył i powtarzać jakieś niezrozumiałe wyrazy, z których pojęła tylko: „To nie ja... nie ja... „ Czy pod wpływem dokonanej zbrodni oszalał na chwilę?

Joanna czuje jeszcze okropny wstręt, jaki nią wstrząsnął. Słyszy swój własny głos, zmieniony nie do poznania: „Precz, precz stąd!... „

A potem? Potem do pawilonu wpadła Magda; ze strasznym krzykiem wybiegła z powrotem w ulewę, wołając ludzi, krzycząc, zawodząc...

Tak. To wszystko pamiętała Joanna dokładnie i rozumiała całą swą istotą.

Była tylko jedna rzecz, której do tej pory nie umiała sobie wytłumaczyć.

Jedna okoliczność, która dla niej samej była niejasna.

I teraz, siedząc w celi więziennej z rozłożonymi na kolanach kartkami aktu oskarżenia, zarzucającego jej uplanowanie i pomoc w zbrodni, myślała o tym właśnie; myślała z natężeniem.

Czemu, gdy przyszli ludzie i spytali ją, jak się cała rzecz stała, nie powiedziała prawdy? Czemu w obecności ciała zamordowanego jej męża, skłamała, osłaniając w ten sposób Edwarda Gorzeckiego, człowieka, którego nienawidziła z całego serca, który napastował ją tylekroć brutalnie i który zabił jej męża?

Czy powodowała nią litość dla tego człowieka, który przed chwilą klęcząc u jej stóp na podłodze strzelnicy, powtarzał jak w obłędym strachu: „To nie ja... to nie ja... „ Czy jakaś ukryta dla niego, mimo wszystko, sympatia? Nie, nie, po stokroć nie!

Więc dlaczego, zamiast pozwolić mu uciekać w park, zalany ulewą, nie zatrzymała go, nie oddała w ręce policji, albo przynajmniej potem nie wymieniła jego nazwiska? Czy grał tu rolę fakt, że był jej kuzynem? Czy żal jej było starych, wyłakanych oczu ciotki Gorzeckiej, tak podobnych niekiedy do oczu jej matki? Nie, i to nie.

Joanna nie chciała łudzić siebie samej. Chciała teraz w samotności i ciszy celi więziennej, gdy było już po wszystkim, gdy stała pod zarzutem strasznej zbrodni, zdać sobie sprawę z tego, co naprawdę skłoniło ją do kłamstwa, osłaniającego osobę Edwarda.

Ale po to, by uświadomić sobie tę całą wewnętrzną prawdę impulsu, który pchnął ją bez zastanowienia do kłamstwa, do powiedzenia: „To ja przez nieostrożność zabiłam. Tu nie było nikogo” musiała przyznać się do jednego przed samą sobą. Do okropnej myśli, która mimo woli, jak błyskawica nawiedziła ją zaraz po śmierci męża.

Gdy ktoś z ludzi nadbiegłych powiedział, ujawszy bezwładną dłoń Mariana Dorna: „Nie żyje”, Joannę ogarnął głęboki żal, ale jednocześnie przez głowę przeleciała jej myśl: „Jestem wolna”. I jednocześnie z głębi jej duszy wypłynął przed oczy obraz tego, o którym przez całe życie nie przestała myśleć, tego jedyne go człowieka, którego kochała... Stefka.

Nie, nie była to myśl. Był to raczej jakiś cień instynktownego, niezależnego od jej woli uczucia. Jest wolna, może się jeszcze spotkać ze Stefką...

Ale zaraz potem przysłała druga myśl. Stefek, człowiek na takim jak on stanowisku, nie zechce mieć nic wspólnego z kobietą, wpłątaną w skandal; kobietą, przez którą zabito człowieka. I wtedy trzecia myśl, równie szybka: nie było przy tym nikogo. Zabójca mnie nie zdradzi. Mogę zwalić to na wypadek z bronią. Przecież strzelaliśmy w owym momencie oboje... Nie będzie skandalu. Sprawa natychmiast ucichnie. Nieszczęśliwy wypadek, to nie przestępstwo...

I gdy w chwilę potem zwrócono się do niej z pytaniem, jak się cała rzecz stała, opowiedziała, ulegając jakiemuś wewnętrznemu nakazowi całą historię z drzwiami pawilonu, które popchnął wiatr nadchodzącej burzy i ze strzałem zabójczym, który nieumyślnie padł z jej dłoni.

Czy przypuszczała, że to kłamstwo, które miało odsunąć niebezpieczeństwo od niej i od Gorzeckiego, stanie się właśnie punktem wyjścia do oskarżenia ich obojga? Czy mogła się liczyć z tym, że niemy świadek, jakim była przedziurawiona od zewnątrz szyba, Przemówi potężniej, niż wszelki głos ludzki?

Nie, tego przewidzieć nie mogła. Skłamała. Może pierwszy raz w życiu skłamała tak świadomie i jakże okropnie została za to kłamstwo ukarana.

To kłamstwo, które według jej zaślepionych obliczeń, miało utorować jej drogę do szczęścia, położyło się ciężkim kamieniem raz na zawsze pomiędzy nią a Kaniewskim, stało

się punktem wyjścia do oskarżenia jej o zbrodnię.

Zatopiała dłonie we włosach i siedziała tak długą chwilę z łokciami, opartymi na kolanach.

„Jak mógł on, Kaniewski, Stefan, jak mógł uwierzyć w to, że ułożyła wraz z kochankiem zabójstwo męża? Przecież ją znał, przecież wiedział... ?”

Ale zaraz po tym wybuchu przyszedł głos rozsądku:

„Stefan nie widział mnie lat dziesięć. Wiedział, że musiałam się zmienić. Skądże mógł wiedzieć, jak się zmieniłam. Myślał, że Kocham Gorzeckiego. Nie wierzy mi. Wciąż myśli, że Kocham Edwarda. O, Boże, Boże, jakie to straszne... „

Joanna teraz dopiero jasno zdawała sobie sprawę z tego, że sieć, która ją oplątała, zacisnęła się koło jej szyi tak, że nie ma już wyjścia. Przecież nie mogła powiedzieć Stefanowi tego jednego, co było prawdą: „Stefku, skłamałam dlatego, że bałam się utracić cię raz jeszcze i tym razem bezpowrotnie, ciebie, którego kochałam nad życie”.

Nie uwierzyłby temu, pozbawionemu logiki powiedzeniu. Żaden mężczyzna na świecie nie potrafi pojąć zawiłych dróg myśli kobiety zakochanej i pragnącej zdobyć ukochanego człowieka. Nie zrozumiałby. Myślałby, że oto w tak nieudolny sposób wykręca się zbrodniarka. Uważałby ją za szantażystkę, posługującą się wspomnieniami tego, co ich niegdyś łączyło, dla ratunku swego i swego kochanka.

Nie, lepiej się stało, że nie powiedziała nic w swej obronie. Lepiej się stało, że poniosła wszystkie konsekwencje swego nieudanego kłamstwa.

Gorzecki poniesie karę za swą zbrodnię. O to się Joanna nie martwiła. Tak być musiało.

A ona? Jej życie i tak się skończyło. Skończyło w chwili, gdy raz na zawsze utraciła Stefana.

Wyciągnęła przed siebie ręce. Na przegubach dłoni widniały wyraźnie różowe jeszcze blizny.

Przymknęła powieki.

„O, czemu nie umarła na łóżku szpitala więziennego? Czemu odratowano ją?”

„Prosił ją wówczas o wybaczenie: Czy to znaczyło, że nigdy już więcej go nie zobaczy? Że nie wolno mu będzie widzieć zbrodniarki?”

Tak, jej życie skończyło się raz na zawsze, mimo, że żyje, chodzi i oddycha. Teraz już wszystko jedno, jaki będzie wyrok.

Zamknęła tom zszytych kartek, leżący na jej kolanach i odwróciła twarz ku oknu, za którym pomiędzy żelaznymi liniami krat przeświecało blade niebo zimowego popołudnia.



Lucy z bijącym sercem weszła do pokoju i spytała o panią Stellę. Utlenująca wyondulowana blondynka wyszła naprzeciw niej z uśmiechem i podała jej rękę, ozdobioną licznymi pierścionkami. Była to ręka pulchna, tłusta o krótkich palcach.

– Czym mogę pani służyć? – spytała, obrzucając dziewczynę szybkim spojrzeniem od stóp do głów.

– Przychodzę tu z polecenia profesora Przybosza. Mówił mi, że pani była jego uczennicą i, żebym się na niego powołała.

Twarz pani Stelli rozjaśniła się w uśmiechu, odsłaniającym złote plomby zębów.

– A, pan Przybosz to mój stary znajomy... Bardzo mi miło. Czym mogę służyć? Makijaż? Regulacja brwi? Przyciemnienie rzęs, włosów? – I nie czekając na odpowiedź, dodała szybko: „Chyba wszystkiego po trochu. Zrobimy z pani чудо. „ Przytknęła krótkie, ubrylantowane palce do zbyt mocno uróżowanych warg i cmoknęła w powietrze. „Powiadam pani чудо. Rodzona matka pani nie pozna. Zrobimy z pani damę. „ Przez chwilę stała, nic nie mówiąc, tylko oglądała zmieszaną dziewczynę od stóp do głów. – „Roboty będzie wiele... bardzo wiele... Bo to i figurkę trzeba oporządzić. Masażyk nie zawadzi. „ Zbliżyła się do niej, i dotykając kolejno jej brzucha, bioder, piersi i ramion, mówiła bez przerwy: „masaż bioder, ramion, karku. Włosy przemalowałabym na kolor rudy, to najmodniejszy Jcolorek, od razu doda pani innego wyrazu. Będzie patii bardziej damą. Zupełnie w innym stylu. Rude, starannie wyondulowane kędziory, oczywiście wieczna ondulacja – w uszach nosiłabym na pani miejscu kolczyki, takie złote, doda to pani zupełnie innego charakteru. Na rękach bransolety, o, takie, jak ja noszę... – zabrzączała bransoletami, pokrywającymi jej rękę, od łokcia, aż do dłoni. – No, ale to oczywiście tylko rady, żeby być w stylu... trzeba mieć swój styl, to najważniejsze. Panowie to pasjami lubią... „ – Zaśmiała się nieprzyjemnym piskliwym śmiechem. Lucy stała, nic nie mówiąc, zmieszana i zarumieniona. Dziwnie nieprzyjemne wrażenie robiła na niej ta gadatliwa, mocno wymalowana kobieta, w jaskrawoczerwonej sukni, obwieszona wisiorkami, bransoletami i innymi ozdobami. Poczła nagle jakąś dziwną niechęć i chętnie zrezygnowałaby z makijażu i wróciła do domu, ale nie mogła się już cofnąć. Zresztą Franek tego żądał, widocznie tak jak teraz mu się nie podoba. Westchnęła i spytała, czy będzie musiała czekać.

Pani Stella powiedziała, że zaraz się dowie i zniknęła na chwilę w przyległym pokoju. Poszeptawszy z kimś za drzwiami, powróciła znowu i powiedziała Lucy, że właściwą robotę mogą zacząć dopiero za godzinę, bo teraz są bardzo zajęte. Byłoby najlepiej, gdyby panna Lucy zechciała poczekać tutaj w salonie, oto ilustrowane pisma, może sobie przeglądać. Nie będzie się chyba nudziła. Lucy wstała.

– Lepiej pójdę na miasto, bo mam jeszcze coś do załatwienia. Za godzinę się stawię.

Pani Stella zaniepokoiła się trochę.

– Ale proszę być punktualną. Wszystko przygotujemy przez ten czas. Twarzyczkę zrobimy bladą, matową, jednostajnie bladą. Będzie to robiło demoniczne wrażenie, zwłaszcza przy tych miedzianych kędziorach. Usteczka bardzo mocno czerwone, i trochę większe, teraz są modne szerokie usta. Taka mocna purpurowa kresa w białej twarzy. Rzęsy ciemne i brwi zupełnie wąskie i ciemne. Szyjka, karczek, wszystko bardzo białe. Paznokcie oczywiście mocno czerwone. Najmocniejszy kolor karminu. Nad czołem maleńka grzyweczka, uszy odsłonięte. Jakie pani ma uszy? Ach, doskonale, malutkie. I takie uszki pani zasłania, po prostu grzech. Kobiety nie umieją się robić piękne. To skandal. Ubierać się pani powinna w barwy zielone. Mocno jaskrawozielone, żeby białość twarzy była silniej podkreślona.

Lucy pomyślała sobie, że ta kobieta nigdy nie przestanie mówić. W wyobraźni widziała już siebie odmienioną i rzuciła szybkie spojrzenie w lustro, jak gdyby chcąc się pożegnać ze swoją obecną twarzą. Zobaczyła mizerną twarz, ożywioną sztucznym rumieńcem, utlenione włosy, jasne oczy, o jasnych, nie przyciemnionych rzęsach, pośpiesznie umalowane, blade, niewielkie usteczka. W duchu pożegnała się ze swoim odbiciem. Zdawało jej się, że wraz z tamtą odmianą musi się coś zasadniczego zmienić w jej życiu.

Wyszła na ulicę i owionął ją mroźny podmuch lutowego południa. Właściwie nie miała nic do załatwienia, bo całe przedpołudnie poświęciła na salon kosmetyczny. Ale na samą myśl, że ma siedzieć przez przeszło godzinę i wysłuchiwać gadaniny pani Stelli, ogarnęło ją przerażenie. Miała szaloną potrzebę odetchnięcia mroźnym, świeżym powietrzem, czuła jeszcze zapach perfum, pomieszanych z zapachem lakieru do paznokci, wegetalu do włosów, w uszach brzęczał jej hałaśliwy terkot maszyny do suszenia włosów.

Idąc bez celu przed siebie, pomyślała sobie nagle, że w instytucie „Stella” właścicielka zedrze z niej prawdopodobnie skórę, i że na pewno zabraknie jej pieniędzy. Wprawdzie Franek powiedział, że sam ureguluje, ale ona uważa stanowczo, że to nie wypada. Będzie w o wiele lepszym stylu, jak sama zapłaci. Inaczej pomyślą sobie w tym instytucie, że jest taką pierwszą lepszą z ulicy... Zatrzymała się przed wystawą sklepową i otworzywszy torebkę, zaczęła sprawdzać jej zawartość. Pomiędzy drobiazgami, znajdującymi się w torebce, zwróciła jej uwagę koperta. Ach, to ten list, który zgubiła tamta pani, wychodząca z salonu „Stella”, ta miła pani, która jej się tak spodobała. Rzuciła okiem na adres. „J. Wielmożna pani Elżbieta Rzecka. Aleja Zwycięzców 10”. List był otwarty. Wyjęła arkusik z koperty. /Zapisany był męskim drobnym pismem. Nie chciała być niedyskretna, a jednak nie mogła się oprzeć ciekawości i przeczytała parę pierwszych zdań:

„Kochanie moje, nie gniewaj się na mnie. Taki ostatnio jestem niemożliwy, wiem o tym...”

Lucy znalazła się na Nowym Świecie i nie zastanawiając się wiele, wskoczyła na platformę tramwaju, jadącego w stronę Saskiej Kępy. List schowała do torebki. Sama nie

wiedziała, kiedy postanowiła pojechać do mieszkania tej miłej pani i oddać jej list. Pewnie to jakiś ważny dla niej. Od niego. Będzie go szukała. Wyglądała tak sympatycznie, że na pewno będzie jej wdzięczna, gdy go odzyska. Ale musi jej powiedzieć, że go nie czytała, że jest dyskretna.

Tramwaj skręcił w Aleję Trzeciego Maja. Na ławkach grzały się w słońcu bony z dziećmi. W wózkach przykryte ciepłymi kołdrami spały małe dzieci. Od Wisły wiał ostry wiatr. W miarę jak tramwaj zbliżał się do mostu, wiatr był silniejszy.

Lucy zadzwoniła do drzwi opatrzonej mosiężną tabliczką „Elżbieta Rzecka”. Nie czekała długo. Otworzyła jej drzwi ta sama pani, którą widziała w instytucie kosmetycznym. Była w płaszczu i futrzanej czapeczce, spod której wymykały się niesforne, jasne kosmyki włosów.

– Czym mogę służyć? – spytała, zobaczywszy dziewczynę z listem w ręku.

– Czy pani nazywa się Elżbieta Rzecka? – spytała Lucy, zarumieniwszy się z zakłopotania.

– Tak, ja – odpowiedziała trochę zaniepokojona Ela.

– Ja... znalazłam... ten list... pani go zgubiła... tam w salonie „Stella”, przy wyjściu.

Ela szybko wyciągnęła rękę po list i rzuciła spojrzenie na kopertę.

– Ach, ten list, wcale nie spostrzegłam, że go zgubiłam... Właśnie w tej chwili dopiero wracam z ulicy. Ach, bardzo pani dziękuję.

– Nie wiedziałam, czy mam go pani odnieść, ale potem... pomyślałam sobie, że to może coś ważnego... niech pani nie myśli, że go czytałam – dodała prędko, zmieszana i zarumieniona.

Ela roześmiała się. Jaki miły był jej śmiech.

– Ależ wcale nie myślę, skądżebym miała tak myśleć. A zresztą nie znamy się przecież, więc nawet, gdyby go pani przeczytała...

– A co to, to nie... ja tam nigdy cudzych listów nie czytam... Dyskretna jestem, każdy to przyzna.

Ela zdjęła płaszcz i czapczkę i otworzyła szeroko drzwi do pracowni.

– Może pani na chwilę wejdzie do mnie i ogrzeje się?

Lucy weszła. Ogarnęło ją miłe ciepło, jakiś delikatny zapach, i atmosfera tego uroczego pokoju, który tak bardzo lubili wszyscy przyjaciele Eli. Lucy sama nie wiedziała, czy ten zapach pochodził od bladioróżowych goździków, stojących na stole, czy promieniował po prostu z tych jasnożółtych ścian, pomarańczowego obrusika na stole, prostych drewnianych półeczek i kretonowego obicia na tapczanie.

– Jak tu ślicznie... jak tu pięknie u pani – wołała w zachwycie.

Ela wskazała jej uprzejmie fotel. Lucy usiadła na brzeżku, zakładając nogę na nogę i odsłaniając trochę za wysoko łydkę, w trochę za jasnych pończoszkach.

– Więc pani podniosła ten list, który ja upuściłam w salonie „Stella”? – zaczęła rozmowę,

dobrze nie wiedząc o czym rozmawiać z tą obcą dziewczyną.

– A tak, przyszłam tam właśnie i spotkałam panią przy wejściu. Pytałam woźnego, kim pani jest; powiedział mi, że dekoratorka. To dlatego pani tak ładnie udekorowała własne mieszkanie, prawda?

Ela roześmiała się. Śmieszyła ją ta dziewczyna, która z taką ciekawością rozglądała się dookoła.

– A pani także pracuje w salonie „Stella”? – spytała Ela. – Dotychczas nie widziałam tam pani jeszcze.

– Nie, ja nie pracuję... Ja przyszłam, jako klientka, mają mi zrobić makijaż.

– Czy pani jest już po makijażu, czy przed makijażem?

– Jeszcze przed, właśnie kazali mi poczekać, więc tu przyszłam przez ten czas.

– Taka pani młoda, po co pani właściwie upiększenie? – spytała Ela z uśmiechem.

– A bo proszę pani, wszystko dla mężczyzny... Ja sama to bym nie chodziła. Ale on... to jest pan Franciszek... no jeden pan. Powiedział mi, pójdziesz do salonu „Stella”, to cię zrobią na bóstwo. Więc poszłam. Ta pani Stella obiecała mi, że zrobi ze mnie piękność. Więc się bardzo cieszę.

– A pani pracuje gdzieś?

– Tańczę. Tańczę dla zarobku. W barze na Chłodnej. „Bar pod Różą”. Ale obiecują mi, że już niedługo się coś odmieni. Może zostanę prawdziwą girlsą, gdzieś w śródmieściu. Już od dawna o tym marzę.

– Tańczy pani w tym barze co wieczór. To musi być bardzo męczące.

Lucy machnęła ręką.

– Praca, jak praca. Publika nie najlepsza. Czasami, to mi się tak przykrzy, że wolałabym kamienie rąbać, niż uśmiechy stroić do tych chamów. Tango przeważnie tańczę i śpiewam. To jeszcze pół biedy, ale potem trzeba z publiką tańczyć. To już mniejsza przyjemność. Bo to często spocone i spite. No i marna zapłata. Tylko tyle, żeby wyżyć.

Ela spojrzała ciekawie na jej nowiutkie futerko i sukienkę.

Lucy podchwyciła to spojrzenie.

– Pani patrzy, że jestem dobrze ubrana. Ale to dopiero od paru dni. Przedtem chodziłam, jak ta śmieciarka. Ale teraz coś się odmieniło. Dostałam trochę pieniędzy i obsprawiłam się. Więc myślę tak sobie, że może się co odmieni na lepsze. Zawsze trzeba wierzyć. Bo człowiek biduje, biduje, a od razu coś z nieba spadnie, jak w kinie...

– Lubi pani kino? – spytała Ela z uśmiechem.

– W kinie, to się po prostu kocham. Tylko, że rzadko kiedy mogę iść, bo wieczorami pracuję. Czasami w niedzielę po obiedzie. Takie romansowe obrazy, to pasjami lubię. Są takie, co lubię ją komiczne, ale ja to nie lubię w kinie śmiać się, tylko płakać. Byłam niedawno na jednym obrazie, to tak się spłakałam, że aż cała chustka mokra była.

Podniosła się i kłaniając się Eli, zaczęła się zbliżać do drzwi przedpokoju.

– Pójdę już, bo co będę pani czas zabierała? Pani pewnie zajęta. A pani tak sama mieszka w tym ślicznym mieszkaniu?

– Sama.

– I nie smutno tak samej jednej? Nie boi się pani?

– Nie, czego mam się bać?

– Ja to bym się bała. Czasami to się umarłych boję, chociaż powiadają, że żywy człowiek więcej krzywdy zrobi jak umarły.

– A tak – powiedziała Ela ze śmiechem.

Zamykając drzwi za Lucy, zawołała raz jeszcze:

– Bardzo pani dziękuję za ten list, serdecznie dziękuję!

Lucy zbiegła pędem ze schodów, szczęśliwa z powodu spełnionego uczynku. „Jaka miła”, myślała, „jaka grzeczna. Prawdziwa pani”.

A tymczasem w salonie „Stella” przy ulicy Brackiej oczekiwano gorączkowo przybycia jegomościa, bez którego nie można było przystąpić do charakteryzacji „małej”, jak ją nazywał zarząd „Stelli”.

Południe już przeszło i Lucy miała za chwilę wrócić a fotografa ani śladu. Kiedy pani Stella i jej ruda siostra, silnie zdenerwowane, biegały od telefonu do zegara, gorączkowo oczekiwana osoba zjawiała się wreszcie.

– Ach, co pan tak długo robił do jasnej cholery? – zakłęła platynowa blondynka. „Mała” za chwilę wróci, a pana jak nie ma tak nie ma. No, dalej, szybciej proszę pokazać, co pan zrobił. Już myślałam, że jakieś zatrzymanie, że fotografie się popsęły i wszystko byłoby na nic.

Parę głów pochyliło się nad stołem, na którym rozłożone zostały duże, błyszczące zdjęcia. Jedno było z profilu, drugie en face, trzecie wreszcie wyobrażało całą postać kasjerki w ruchu, jak podążała do kasy.

– No, profil nawet trochę podobny. „Mała” ma wprawdzie nos – a końcu trochę zadarty, ale to się da zrobić... Włosy to głupstwo, wszystko z nich zrobimy. Na szczęście „mała” nosi je dość długie.

Oczy... no, tak... cera... wszystko możliwe. Ale figura... Profesor zwiódł nas... Ta „mała” jest przecież chuda, jak patyk, a ta zupełnie pełna w sobie. A do cholery, co teraz robić?

– Spokoju, spokoju – mówiła siostra. Nie denerwuj się, bo nic nie zrobimy, jak się będziemy denerwowały. Patrz tylko, nogi są podobne. „Mała” ma wyrobione mięśnie nóg przez taniec, patrz, zupełnie podobnie się rozszerzają.

– Co tam!- – zawołała ruda. – Jak tylko będzie już w naszych czasach zrobi się wszystko.

Ktoś zapukał do drzwi gabinetu zarządu.

– Proszę – zawołała pani Stella, chowając szybko fotografie.

Wszedł chłopak.

– Tam przyszła jakaś pani i powiedziała, że do pani Stelli, że – miała być za godzinę.

– A tak, tak, niech chwilę poczeka. Już idę.

Raz jeszcze rzuciwszy okiem na wszystkie trzy zdjęcia, wybiegła pani Stella z pokoju.

– Witam panią. Właśnie na panią czekam. Już wszystko przygotowałam. Od czego zaczniemy, droga pani? Chyba od włosów. Dobrze. Józek, przygotuj do mycia, robimy wieczną ondulację. Kolorek już wybrałam. A więc najpierw mycie, potem farbowanie, potem ondulacja.

Lucy posłusznie poddała się wszystkim zabiegom. Po upływie godziny włosy jej zawinięte w małe, pokudłane strączki, nabrały barwy świeżych, brązowych kasztanów. Głowa ją już bolała od tych wszystkich manipulacji, ale siedziała cierpliwie na krześle i pozwalała wszystko robić ze sobą. Jednocześnie robiono jej manikiur. Mocno czerwone paznokcie odrzynały się krwistą plamą od rąk, wybielonych specjalnym kremem. Ręce Lucy były trochę zniszczone i zaczerwienione.

Była już prawie czwarta, kiedy pani Stella oświadczyła, że na dzisiaj będzie dosyć i że jutro z samego rana rozpoczną dalszy ciąg upiększenia. Cera, oczy i masaż figury – to wszystko jutro. O ile jutro przed obiadem nie będziemy gotowe, skończymy po południu.

Lucy przejrzała się w lustrze. Zobaczyła swoją własną twarz, okoloną rudymi kędziorami i uśmiechnęła się smutno do swego odbicia w lustrze. „Co z niej zrobią jutro?” pomyślała z niepokojem. Już jest zmieniona, a po jutrzejszych zabiegach nikt jej chyba nie pozna.

Pożegnała się i opuściła zakład kosmetyczny.

– Stanowczo za młoda – powiedziała pani Stella, wracając po skończonej pracy do gabinetu, gdzie zebrał się cały „zarząd”. Będzie ją trzeba postarzyć o dobrych parę lat. Usta muszą mieć taki grymas, jak u tamtej. I drobne zmarszczki koło oczu trzeba powiększyć. Ach, gdyby przez te dwa dni mogła trochę utyć. Prawdę powiedziawszy, nasze klientki powinny przebywać u nas po parę tygodni. Musimy założyć – rodzaj sanatorium, gdzie byśmy tuczylili chude i odchudzali grubasy.

– To świetna myśl! – zauważył fotograf. – Jak się wzbogacimy założymy taki zakład.

– To wszystko dla niego, on tak chciał – powiedziała ze smutkiem. – Czego to się dla nich nie robi?

Lucy stawiała się nazajutrz punktualnie i natychmiast zaczęto pracować nad jej twarzą. Po upływie godziny oczy jej nabrały zupełnie innego blasku, pod wpływem przyciemnienia na błękitno powiek, stały się bardziej niebieskie. Cera stała się matowa i biała. Usta szerokie i mocno purpurowe. Lucy sama nie wierzyła w to, co z niej zrobili. Zdawało jej się, że to nie ona siedzi przed lustrem, ale jakaś zupełnie inna kobieta, o wiele od niej starsza, o zupełnie innym wyrazie twarzy.

– No, jakżeż? Nie podoba się pani sobie? Przecież to istne arcydzieło.

– Wie pani, że wyglądam teraz jakoś staro, o wiele starzej, niż przedtem... Strasznie poważnie...

Ależ, proszę pani, to właśnie pani typ. Pan profesor także mówił, żeby panią tak

upiększyć. I miał rację. Byliśmy teraz w Paryżu, wszystkie panie w ten sposób dają się upiększać. Wszystkie szykowne panie. Już minęła moda chłopczyc i podlotków...

Lucy, przerażona potokiem wymowy, nie oponowała.

Kiedy pożegnała panią Stellę, umówiwszy się z nią jeszcze nazajutrz w celu omówienia szczegółów zmiany figury, natknęła się w drzwiach na Elę, która spieszyła do zajęcia. Ukłoniła jej się grzecznie, ale Ela, nie poznawszy jej zupełnie, ze zdumieniem kiwnęła głową.

– Pani mnie nie poznaje? – spytała – byłam wczoraj u pani z listem.

– Mój Boże jakżeż oni panią zmienili. Przedtem podobała mi się pani więcej.

Lucy westchnęła.

W małym mieszkanku Eli Rzeckiej w blasku lampy, przysłoniętej przezroczystym abażurem, w głębokim fotelu siedział Stefan Kaniewski, z twarzą ukrytą w splecionych dłoniach. W pokoju panowało miłe ciepło i unosił się zapach czerwonych róż, więdnących w szafirowym wazonie na małym stoliku. Kaniewski milczał. Milczała też siedząca w tymże pokoju na brzegu niskiego tapczanu Ela. Milczała, ale w oczach jej skierowanych ku postaci, siedzącej bez ruchu w fotelu, malował się niepokój, graniczący z lękiem.

Wreszcie wstała, podeszła do Stefana i stając przy jego fotelu, powiedziała cicho, nawiązując do przerwanej przed chwilą rozmowy:

– Ależ Stefku, to że jesteś tak bardzo znużony i zdenerwowany tym długim śledztwem, to jeszcze jeden powód, byś teraz wziął ten urlop, który ci ofiarowują i wyjechał w góry. Zawsze tak dobrze robiły ci narty, przynajmniej na dwa tygodnie, a wrócisz jak odrodzony. Zobaczysz.

Kaniewski milczał.

– Mówiłeś sam, – ciągnęła Ela swym spokojnym głosem – że sprawa przemytu jeszcze nie dojrzała całkowicie i że możesz sobie, o ile chodzi o twoją pracę, pozwolić na wyjazd. Że nawet proponowali ci to w sądzie. Więc, doprawdy nie widzę przeszkód...

Umilkła. W pokoju zapanowała znowu cisza.

– Nie odpowiadasz mi, Stefku?

Głos Eli drżał z lekka. I nagle, w ciszy pokoju padły słowa wypowiedziane cichym, ale stanowczym głosem kobiecym. Czuło się w dźwięku tych słów, że Ela zdobyła się na wielki wysiłek, by słowo te wypowiedzieć.

– Stefku, jeżeli sądzisz, że... – zawahała się, ale zaraz mówiła dalej: – jeżeli sądzisz, że musisz mnie zabrać ze sobą... mylisz się... ja mogę zostać w Warszawie... mam robotę. A ty lepiej odpoczniesz beze mnie.

Kaniewski, nie podnosząc opuszczonej na piersi głowy, przyciągnął do siebie Elę i przemocą posadził ją na kolanach. Przytuliła się do niego z całej mocy, jak gdyby szukając w ten sposób schronienia przed okropnymi myślami, jakie ją nawiedzały.

– Taka mądra, samodzielna i doświadczona kobieta, a tak źle się wszystkiego domyśla – powiedział żartobliwie Stefan. – Kochanie, nie powinnaś, widząc mnie tak rozdrażnionym, przypuszczać, że to ma jakikolwiek związek z tobą, że oznacza to jakąś niechęć do twojej osoby. Z tobą jest mi zawsze najlepiej. Ty jesteś moim odpoczynkiem. Ale chwilami wydaje mi się, że nie mam prawa ciebie, takiej pogodnej i jasnej, zatruwać smutkami, moją neurastenią.

– Stefku, ty wiesz...



– Wiem, wiem wszystko, dziecko... nie trzeba mi mówić. Ale kiedy człowiek czuje się zmęczony i stary...

– To musi się na gwałt ratować, – zawołała szybko Ela i już jej jasne oczy śmiały się wesoło.

Objęła go ramionami, przytuliła do siebie i mówiła szybko, by nie mógł jej przerwać ani jednym słowem:

– Spakujemy dzisiaj rzeczy. Zaraz, czekaj, narciarskie ubranie jeszcze dobre, buty mam, kupię kilka par skarpetek wełnianych i nowe rękawice i dla ciebie szal. Trzeba zaraz wysmarować narty, albo lepiej tam kupimy smar... Czekaj, czekaj... Zaraz zatelefonuj do domu, żeby pani Maria cię spakowała. Jedziemy jutro wieczorem. Nie, nie mów nic. Jedziemy, prawda? No powiedz, że tak?

Kaniewski pogładził ją w milczeniu po głowie. Nie mówił jeszcze nic. |

Ale Ela, pocałowawszy go szybko w policzek, już wybiegła do drugiego pokoju.

– Wyjmuj buty! Boję się, pomóż mi Stefku, otwórz ten kuferek.

Kaniewski przeszedł się parę razy nerwowo po pokoju. Gdy Ela znowu wbiegła, powiedział z uśmiechem:

– Chodź tu do mnie, kochanie. Zatelefonujemy.

Ujął słuchawkę i nie spuszczając oczu z jej zaniepokojonej trochę twarzy, rzucił numer swego telefonu.

– To pani Maria? Tak, to ja. Proszę, niech pani wyszuka na strychu moje narty, wiązadła leżą oddzielnie na półce... po co? zaraz pani powiem... niech pani też zobaczy, czy mam dość sportowych wełnianych skarpetek i oczyści moje ubranie narciarskie... No, chyba nie po to by w tym wszystkim iść na raut do prezydenta... No, tak, wyjeżdżam... Kiedy? Jak najprędzej. Jutro... Że oszalałem i że wszystko po diable?... Może, ma pani rację, pani Mario, ale trzeba się ratować... Do widzenia pani... Niech pani wyjmie tę dużą skórzaną walizę, tę żółtą, tak... jak przyjdę do domu sam spakuję resztę... Przed czym się mam ratować? To już kiedy indziej pani powiem. Do widzenia.

Nie zdążył odłożyć słuchawki, a Ela rzuciła mu się na szyję.

– Zobaczysz, że nie pożałujesz. Takie słońce, śnieg. Pójdziemy zaraz w góry. Kochanie, jak ja się cieszę!

Uśmiechnął się do niej serdecznie. Cieszyła go jej rozradowana twarz, jej błyszczące oczy... Ale nagle, spostrzegł cień na twarzy Eli. Przytuliła się do niego mocniej i spytała cicho i z lękiem:

– Powiedz mi, Stefku, co to znaczyło, że się chcesz ratować? Przed czym się chcesz ratować? Co ci grozi?

Odwrócił twarz ku oknu i powiedział cicho i jak gdyby uroczyście:

– Spójrz, kochanie w okno. Jaki wielki śnieg pada. Będzie nam dobrze w górach. Przycisnął wargi do jej policzka i poczuł słone łzy, spływające po jasnej twarzy Eli.

- Nie trzeba płakać, kochanie. Łzy zostawmy innym. Bądźmy pogodni.
- Masz słuszość, Stefku. Ty zawsze masz słuszość.

\* \* \*

Sezon w Zakopanem był jeszcze w pełni. Właśnie w tych dniach spadł w górach świeży śnieg. Potem zaświeciło słońce i temperatura poszła szybko w górę, wznosząc się wysoko ponad zero. W południe słońce grzało tak bardzo, że trudno znieść było choćby najlżejsze okrycie. Ludzie byli opaleni jak w lecie i chwilami zapominało się, że to zima, że do wiosny jeszcze daleko.

Pierwszego dnia po przyjeździe do Zakopanego Ela i Stefan czuli się jeszcze rozbici i zmęczeni. Drażniły ich wypoczęte twarze znajomych, ich dobre, niefrasobliwe humory. Byli jeszcze myślą trochę w Warszawie, i całonocna podróż pozostawiła ślady na ich bladych miejskich twarzach. Ale już nazajutrz wszystko zmieniło się na lepsze. Pogoda wciąż była prześliczna. Ela, obudziwszy się rano, odsunęła firanki i zobaczyła nieprawdopodobnie błękitne niebo, bez ani jednej chmurki na horyzoncie. Śnieg połyskiwał oślepiającą bielą, a z daleka rysował się wyraźnie ostry kontur Giewontu i inne szczyty, pokryte białą czapką śniegu. Ela otworzyła okno, wciągnęła aromatyczne powietrze górskie. Ubierając się, myślała radośnie, że jest razem ze Stefanem, że nie będą się rozstawali przez cały dzień i jutro, pojutrze, i za trzy dni tak samo. Że Stefan nie będzie się wymawiał brakiem czasu, ważnymi sprawami, że nie będzie na niego czekała, ani telefonowała do niego. Że będą razem jedli obiad, podwieczorek i kolację, razem chodzili na spacer, jeździli na nartach i saniami na wycieczki. Do ostatniej chwili zdawało jej się, że to się nie stanie, że coś im przeszkodzi, że Stefan się rozmyśli. Nawet, kiedy siedział już w wagonie, nie mogła się doczekać, aż pociąg ruszy, bo wciąż obawiała się czegoś, jakiejś zmiany. Ale pociąg ruszył i coraz bardziej oddalał się od Warszawy. I tutaj w Zakopanem jest już jej, tylko jej, do nikogo innego tu nie należy. Tutaj go ma na własność. Pokoje ich sąsiadowały ze sobą. Przedzierał je tylko korytarz. Jadali na ogólnej sali jadalnej, przy oddzielnym stolyczku. Kiedy po raz pierwszy zeszli razem ha obiad, Ela czuła na sobie ciekawe spojrzenia pensjonatowych gości. Liczne panie obserwowały ich chciwie, szepcząc po cichu, czy są małżeństwem i co ich właściwie ze sobą łączy. Byli tacy, którzy znali z widzenia z Warszawy sędziego Kaniewskiego, inni wiedzieli, kim była Ela. Komentarzom nie było końca. Ale Ela była obojętna na wszystko. Nie wzruszali ją goście pensjonatowi, ich szept i domysły. Była ze Stefanem. Oto wszystko. Wystarczało jej to w zupełności. Hotel, w którym mieszkali, znajdował się na drodze do doliny Białego.

Na drugi dzień rano, uzbrojeni w narty, przebrani z mieszczuchów w górskich turystów, wyszli w stronę miasta i po krótkiej naradzie, dokąd się udać, wsiedli do sań i kazali się wieźć w stronę Kuźnic. Postanowili dojechać do Kuźnic, a stamtąd pójść na Kalatówki.

Na Krupówkach śnieg roztopił się pod wpływem słońca w lepkie błoto. Przejeżdżali, rozglądając się dokoła, kłaniając się przechodzącym znajomym. W Kuźnicach przypasali narty

i ruszyli pod górę. Ela wyglądała pięknie w granatowym narciarskim kostiumie, spod barwnej czapeczki wymykały się kosmyki jej płowych włosów. Krytycznym spojrzeniem obrzuciła Stefana. Stwierdziła, że wygląda dobrze, że jest dobrze zbudowany, i że mu bardzo do twarzy w sportowym ubraniu.

– Cóż mnie tak oglądasz? – spytał ze śmiechem, chwytając jej spojrzenia.

– Podobasz mi się – odpowiedziała zupełnie poważnie. – Coraz częściej dochodzę do tego wniosku.

Objął ją ze śmiechem.

– Doprawdy? Wcale nie wiedziałem. Wiesz, że ty mnie także się podobasz.

„A więc”, pomyślała nagle Ela, „dlaczego tak dręczysz mnie i siebie? Przecież to takie proste. Dwoje młodych ludzi, którzy się sobie podobają i dobrze im jest razem. To takie proste”.

Ale nie powiedziała nic, tylko zebrała siły i ruszyła szybciej od niego w górę. Dogonił ją za chwilę. W milczeniu pracowali, posuwając się coraz wyżej. Ela, zarumieniona z wysiłku zatrzymała się i spozjrzała w dół. Kalatówki lśniły w słońcu. Z daleka jakieś ciemne sylwetki ludzi przecinały dziewiczą biel jasnej, słonecznej przestrzeni.

– Boże, jak pięknie! – zawołała, – tak dawno tu nie byłam. Spójrz, Stefku. .

– Tak, istotnie pięknie – powiedział cicho.

Kiedy siedzieli przy drugim śniadaniu, głodni, zmęczeni, z zarumienionymi twarzami, nikt nie poznałby w nich wybladłych mieszczuchów, którzy poprzedniego dnia przyjechali z Warszawy. Naokoło nich, wszyscy przebrani w sportowe ubrania w barwnych czapeczkach i szalikach, rozmawiali z ożywieniem i układali plany wycieczek.

Ela spostrzegła, że Stefan zamyśla się od czasu do czasu i oczy jego nabierają jakiegoś smutnego, beznadziejnego wyrazu. Wiedziała, że coś ciąży mu nieznośnie i że właśnie to coś dzieli go od niej.

Czuła, że od jakiegoś czasu wkradło się coś pomiędzy nich. Chwilami wydawało jej się, że to tylko zdenerwowanie i przepracowanie i że tu przejdzie mu to wszystko bezpowrotnie. Ale kiedy widziała to smutne zamyślenie, opadały ją znowu wątpliwości, wtedy myślała z goryczą, że to nie już jej dawny Stefek, ale jakiś ponury, obcy pan, zamyślony nad sprawami i rzeczami jej zupełnie obcymi.

– Chciałabym, abyś zapomniał choć na dziesięć dni, że istnieje na świecie Warszawa, sąd, sprawy, akta sądowe i tyle innych rzeczy, które cię ode mnie dzielą, – powiedziała do niego, kiedy znaleźli się w pokoju po obiedzie.

Chmura przeleciała mu po czole, ale tylko na jedno mgnienie oka. Za chwilę rozpogodził się i powiedział z uśmiechem.

– Właśnie po to tu przyjechałem, kochanie... Ale to tak trudno zupełnie zapomnieć... Tyle się dźwiga ciężarów...

Wieczorem po kolacji Stefan zasiadł do partii bridża. Ela usiadła tuż obok niego, aby mu

kibicować. Z początku śledziła przebieg gry, ale już po paru minutach straciła Wątek i zamyśliła się głęboko.

Myślała o tym, jak by to było dobrze, gdyby przyjechali tu po ślubie. Byłaby panią sędziwą Kaniewską. Nie, nigdy by się tak nie nazywała. Pozostałaby zawsze sobą, Elżbietą Rzecką. Albo co najwyżej Elżbietą Kaniewską. Nie podpisywałaby się nigdy jak niektóre kobiety robią „Stefanową Kaniewską”, tak że ich prawdziwe imię i nazwisko zatracą się zupełnie. Zostanie sobą. Roześmiała się sama z siebie. O czym to ona myśli? Nigdy jej to przecież nie przychodziło do głowy, nigdy tego nawet nie dopuszczała, nie pozwalała sobie na takie marzenia. A teraz? To wina tego górskiego powietrza. 1

Doprawdy, trudno było rozróżnić, czy te świetliste skry, otaczające pełną blasków kurzawą postać Eli, zjeżdżającej krętym holwegiem z góry, były słońcem, czy też rozpalonym śniegiem. W każdym razie Ela czuła się, jak ptak, lecący na skrzydłach w jakąś wielką nieziemską jasność.

Ścieżka wiła się pod nią krętą serpentyną, pod nartami śnieg wydawał rozkoszny chrzęst, poddawał się giętko i sprężyste, zakręt, przechylenie się w bok i dalej jazda, wiatr świszczy w uszach, narty niosą w dół coraz szybciej, dech zamiera w piersiach. Ach, tak, nie myśleć o niczym... pędzić przed siebie, jak gdyby tam na końcu czekał spokój i szczęście... Gdzie Stefek? Pognał już dawno przodem... na pewno czeka już na nią w schronisku...

Za Elą jechała reszta towarzystwa: dwu panów i jedna pani, znajomi z pensjonatu. Ze schroniska mieli wyruszyć dalej. Umówione było, że Stefek pójdzie z nimi, a Ela zaczeka tych kilka godzin w schronisku. Nie czuła się jeszcze na siłach do dalszych wycieczek.

Jeszcze jeden zakręt nad brzegiem strumyka, który wśród ośnieżonych głazów toczył swe szemrzące fale, teraz wjazd na mostek... o, tak znakomicie, i oto przed Elą roztoczyła się olśniewająca w słońcu śnieżna równina. Śnieg skrzył się jak brylanty. Aż oczy bolały od tego blasku.

Na przeciwległym końcu hali, na małym wzniesieniu schronisko. Ela widziała wyraźnie swymi dalekowzrocznymi oczyma sylwetkę Stefana, wspartego na kijach i czekającego na nią.

Odbiła się o śnieg i popędziła przed siebie. Jak ptak...

Przez głowę przeleciała jej błyskawiczna myśl, którą uznała od razu za niemądrą.

„Chciałabym tak całe życie mknąć przed siebie... do niego... „

Ale odpędziła tę myśl szybko:

„Jakie to głupie takie budowanie wszystkiego na jednym człowieku. Nie wolno tak, nie wolno”.

W sionce schroniska stały szeregiem pokryte skorupą śniegu narty. Widocznie w ten piękny, słoneczny dzień nie brakło wycieczkowiczów.

Gdy Stefan pchnął drzwi, z wnętrza izby buchnęło gorąco, bijące od wielkiego rozprażonego do czerwoności pieca, gwar zmieszanych głosów, zapach bigosu i smażonej kiełbasy. Para była tak gęsta, że w pierwszej chwili nie rozróżniało się ludzi, siedzących gęsto

przy długich drewnianych stołach.

Na ławie pod oknem znalazło się miejsce dla Eli i Stefana. Reszta towarzystwa zmieściła się w drugiej izbie.

Ela zrzuciła kurtkę i szalik, zdjęła czapeczkę, na której przymarzły sopelki lodowe, przyczesła włosy rozwichrzone przez wiatr i z lubością rozprostowywała w ciepłe zmarznięte palce. Policzki jej płonęły zdrowymi rumieńcami, czoło było opalone na brąz, oczy jasne jak niebo śmiały się w rozradowanej twarzy. Roziskrzonym spojrzeniem ogarnęła Stefana, który uśmiechał się do niej serdecznie sponad talerza, pełnego gorącego bigosu.

Oczy ich mówiły wzajemnie: „Dobrze nam prawda?”.

Przy sąsiednim stole siedziało jakieś duże towarzystwo. Wysoki pan w binoklach, dość zabawnie wyglądający w narciarskim ubraniu, perorował coś głośno, reszta słuchała go z uwagą. Widocznie był wśród nich autorytetem.

– Będę zawsze twierdził, – mówił ów pan tubalnym głosem, – kończąc widocznie jakąś przedtem rozpoczętą rozmowę, – że śledztwo było kiepsko prowadzone. O Gorzeckim mówiono mi różnie, czy ja wiem, może zabił tamtego faceta, ale Dornowa podobno jest jeszcze gorsza, to przebiegła sztuka...

Ela zamarła w bezruchu, słysząc te słowa. Bała się spojrzeć na Stefana. Wreszcie podniosła ku niemu oczy. Siedział wyprostowany, z widelcem wzniesionym ku ustom i jakby zastygłym w dłoni. Oczy jego patrzyły uważnie na mówiącego w drugim końcu izby. Ela chciała coś powiedzieć, ale Stefan, jak gdyby uprzedzając to, machnął ku niej niecierpliwie dłonią i słuchał dalej.

Towarzystwo podjęło dyskusję w sprawie Domowej. Nazwisko to padało co chwila, gwar rozmów przy innych stołach zagłuszał chwilami tę rozmowę, ale potem znowu dolatywały odgłosy tej coraz namiętniejszej dyskusji.

Stefan sposepniał. Odsunął nie dokończone jedzenie i w milczeniu gryzł skórę chleba, trzymaną w dłoni. Nie patrzył na Elę. Nie podzielił się z nią ani słowem tym, o czym myślał. Tylko, gdy reszta towarzystwa, wyszedłszy z drugiej izby, zaproponowała wesoło, by ruszyć w dalszą drogę, Kaniewski powiedział:

– Nie, wiecie państwo, namyśliłem się. Wrócę z panią – tu wskazał na Elę – wcześniej do Zakopanego. Nie chciałbym jej tak długo samej tu zostawiać, a poza tym czuję się nieco zmęczony – Jak pan woli – odpowiedzieli uprzejmie tamci i wybiegli do sieni, by wyciągnąć na dwór narty.

– To się nazywa miłość. Ani na chwilę nie chcą się rozstawać – powiedział jeden z panów do swej towarzyszki, wskazując głową na drzwi, za którymi został Kaniewski z Elą.

Ela ani jednym słowem nie wyraziła zdziwienia z powodu zmiany postanowienia Stefana.

Gdy znaleźli się przed schroniskiem i Stefan nachylił się, by pomóc Eli w zapinaniu wiązań nart, nagłym ruchem przytuliła się do niego.

Kłęcząc u jej stóp, podniósł na nią oczy trochę zdziwione. Potem uśmiechnął się jak

gdyby przepaszając, i powiedział:

– Muszę być teraz z tobą, kochanie. Jak najwięcej z tobą. Nie chciałem w tej chwili zostać sam między obcymi.

Nie odpowiedziała. Ale gdy po chwili, obok siebie, ramię przy ramieniu, mknęli po łagodnym spadku roziskrzanej śnieżnej płaszczyzny w dół, czuła, jak gdyby do skrzydeł, które jeszcze przed godziną tak lekko ją unosiły, przytroczył ktoś dwa ciężary.

Mateusz Pietrzak był od lat trzydziestu woźnym w jednym i tym samym banku. Dawniej pełnił swe obowiązki w dzień w samym gabinecie dyrektorskim. Potem przenoszono go kolejno do różnych filii, wreszcie wszedł do centrali, ale na służbę nocną. Zrobiono to na własne jego żądanie. Nie mógł sypiać po nocach, a pożartym mieszkał w jednym ciasnym mieszkaniu z żoną, synem, synową i córką więc wygodnie mu było usuwać się na noc z przepełnionego domu, a wracać nad ranem, gdy wszyscy wybierali się do roboty i cały dzień spędzać w ciszy i samotności. Nocna praca była dla niego wymarzona.

Zjawiał się w banku wówczas, gdy gaszono już ostatnie światła i zamykano ostatnie drzwi. Sprawdzał wszystkie zamki, dostawał od starszego woźnego dziennego pęk kluczy od wszystkich drzwi i zostawał sam w wielkim, pustym gmachu. W małym pokoiku przy samym wejściu miał tapczan, na którym w razie wielkiego zmęczenia mógł się zdrzemnąć, w tymże pokoiku miał cały system dzwonek alarmowych, które przy najlżejszym poruszeniu mógł wprawić w ruch, alarmując najbliższy posterunek policyjny; miał też przy sobie nabity, gotowy do strzału rewolwer, no i w drugim końcu gmachu, w innej dyżurce, dwu gotowych na jego skinienie pomocników.

Mateusz Pietrzak był z natury optymistą. W głębi duszy uważał te wszystkie urządzenia i środki ostrożności za zbędne. Przecież od piętnastu lat pełnił nocną służbę, a nigdy nie zdarzyło się jeszcze żadne usiłowanie napadu, podkopu, czy włamania.

– Jestem pewien – mówił nieraz do żony – że te wszystkie historie z napadami na bank są zawsze wtedy, jak stróż nocny jest w zmowie.

– Nie gadaj tak Mateusz, bój się Boga, – mówiła żona, żegnając się zabobonnie, – bo sprowadzisz jeszcze na siebie nieszczęście.

Tego wieczora lutowego, stary Pietrzak stawiał się jak zwykle punktualnie na służbę. Prawda, że myśl miał mocno zaprzątniętą domowymi sprawami. Przed godziną młodą jego synową przewieziono do zakładu położniczego. Syn pojechał wraz z nią i obiecał zatelefonować do banku do dyżurki zaraz, jak tylko przyjdzie na świat dziecko.

– Żeby wszystko było dobrze – myślał stary Mateusz, otrząsając z kołnierza płaszcza płatki mokrego śniegu, który właśnie zaczął padać, roztapiając się, zanim doleciał do ziemi. – Pierwsze dziecko urodziło się przed rokiem nieżywe i z tego powodu w domu było wielkie zmartwienie. – Żeby tak syn, pierwszy wnuk – myślał stary.

– Jak się pan ma, panie Pietrzak? – powiedział młody woźny, ubierając się w dyżurce. – Co tam w domu?

– Synowa rodzi – powiedział Mateusz – niespokojny jestem.

– Jak rodzi, to urodzi – rzekł sentencjonalnie młody woźny, przyglądając/sobie przed

lustrem wąsiki. – O to nie ma się co martwić. Do widzenia, panie Pietrzak. Drzwi zamknęły się za odchodzącym. 1

Pietrzak zaczął swą zwykłą wędrówkę po gmachu. Przechodząc z sali do sali, zapalał kolejno światła, oglądał każdy kącik, a potem wychodząc, gasił skrupulatnie i zamykał drzwi na jeden z pęku kluczy, które trzymał w ręku.

W gabinecie dyrektorskim zatrzymał się dłużej, wytrząsnął popiół z popielniczki na biurku, mrużąc, że „baby”, sprzątające coraz więcej się opuszczają, potem pieszczotliwie przeciągnął dłonią po skórze dyrektorskiego fotela i ruszył dalej.

Gdy tak szedł z jednej sali do drugiej, miewał chwilami dziwne uczucie. Oto zdawało mu się, że pusty gmach się zaludnia, że przed okienkami kasy stoją kolejki ludzi, że na krzesłach przed szeregami maszyn do pisania i liczenia zasiadają urzędniczki w ich czarnych fartuszkach, że słyszy monotony stuk maszyn i gwar głosów ludzkich. I jeszcze jedno. Zdawało mu się, że w ciszy nocnej zmartwychwstają jak gdyby wszystkie troski, jakie w dzień przynoszą ludzie do tego gmachu. Widział węzłowate zgrubiałe ręce, liczące przy okienku złotówki, podejmowane z książeczki oszczędnościowej, ostatnie złotówki... Słyszał zatroskany głos pytający urzędniczki: „To już wszystko, proszę pani?” i obojętną odpowiedź z okienka: „Kto następny?”. Widział zgarbionych ludzi, starszych już wiekiem, niegdyś zamożnych, przed którymi w pas kłaniali się dyrektorowie banku, a którzy teraz wchodzili do gabinetu dyrektora, by pokornie prosić o przedłużenie terminów wekslowych, czy zdjęcie grożącej licytacji. Widział wzgardliwy uśmiech pana dyrektora i słyszał jego głos mówiący: „Mateuszu, jak przyjdzie ten pan, proszę mówić, że mnie nie ma. – Panie dyrektorze? Ten pan, przecież jeszcze przed kilkoma laty... – próbował oponować. – Przed kilkoma laty był bogaty, a teraz nie ma mnie dla niego. Zrozumiano? – Mateusz widzi wyraźnie w pustym przedsionku zgarbioną postać starego interesanta i jego żalorny uśmiech, którym stara się przejednać jego, woźnego... przecież, on nic nie może...

Z kolei stary woźny wszedł do kasy. Uważnie obejrzał wszystkie rygle, zamykające ten cenny pokój. W wyobraźni widział za zamkniętymi żelaznymi drzwiami wielkiej kasy stosy szeleszczących banknotów i okrągłych srebrnych monet. Dużo tego, bardzo dużo!

I znowu, stary Mateusz westchnął ciężko. Rozmyślał o tym, ileż to krwi i potu ludzkiego przylepiło się do tych banknotów, jaką męką są one zdobywane, jakim pożądaniem otoczone.

Powłócząc nogami, opuszczał kasę. Zgasił światła, przekręcił klucze i wracał do dyżurki.

Tu zapalił lampkę na małym stoliku, wyjął z kieszeni fajkę, nabił ją tytoniem i długo ciągnął, zanim zapalił. Wtedy wydobył złożoną w czworo gazetę, ale długą chwilę nie zaczynał czytania, tylko siedział nieruchomo, myśląc.

Bo przed oczyma zobaczył bladą z niepokoju twarz syna, skurczone bólem rysy młodej synowej i usłyszał głos żony, która mówiła: – Idź stary do roboty. Janek ci zadzwoni, jak wszystko się skończy. Ale to może jeszcze potrwać i do jutra.

Powoli rozwijał Mateusz gazetę i włożywszy na nos okulary, zagłębił się w czytaniu,



czujny na każdy odgłos, dochodzący z ulicy.

Nagle, przejmującą ciszę gmachu przeciął ostry dźwięk dzwonka telefonicznego. Dzwonił telefon tuż obok niego w dyżurce. Starego aż poderwało.

– To z pewnością Janek. Czyżby już urodziła?

Zerwał się z miejsca i ujął słuchawkę.

Był tak przekonany, że telefonują z lecznicy i że to Janek zawiadamia go o przyjściu na świat wnuka, iż ujmując słuchawkę drżącą dłonią, omal że nie powiedział:

– Syn czy córka?

Ale omylił się. Głos, który odezwał się w telefonie nie był głosem syna. Był to kobiecy, nieznanemu mu całkiem głos.

– Czy to bank? – spytała owa kobieta.

– Tak, dyżurny przy telefonie.

– Ach, pan Mateusz? Czy tak?

– Tak, odpowiedział zdumiony stary. – A kto mówi?

– Tu nowa służąca pani Alicji Bergowej.

– Ach, pani kasjerki?

– Tak jest. Pani Bergowa pyta, czy będzie mogła za jakąś godzinę przyjść do banku, bo ma pilne rachunki w kasie. Chciała sama uprzedzić, żeby pan Mateusz jej otworzył.

Służbisty Mateusz kłaniał się przy telefonie.

– A, ma się rozumieć. Otworzę. Ja nigdy nie zasypiam. Pani kasjerka wie.

– Tak, tak – odpowiedział głos – i dlatego kazała mi uprzedzić pana. Więc za godzinę.

Zakładając słuchawkę, spojrzął stary Pietrzak na zegar, wiszący na ścianie. Wskazywał godzinę dziesiątą.

„To już przypiliła robota, że w nocy chce aż przychodzić” – pomyślał.

Ale nie dziwił się zbytnio. Bergowa była niesłychanie pracowita i sumienna. Więc nic dziwnego, że jeżeli robota tego wymagała, przychodziła i po nocy.

Wrócił do czytania rozpoczętej gazety. Ale jakoś mu nie szło.

Litery skakały przed oczyma, nie przestawała zaprzętać go myśl o przyszłym wnuku.

„Trzech Pietrzaków: ojciec, syn i wnuk, jakby to było pięknie” – myślał, pykając fajeczkę. W pewnej chwili spostrzegł, że nie zabrał ze sobą tytoniu. Był zły. Całą noc bez palenia, a papierosa także nie ma.

– Diabli nadali.

Zegar tykał głośno na ścianie. Na ulicy było cicho. Bank leżał przy spokojnej uliczce, po której nie kursowały tramwaje, ani autobusy. Toteż po dziesiątej wieczorem słychać było niemal kroki każdego przechodnia, nie mówiąc już o zajeżdżającym samochodzie.

Pietrzak niespokojnie chodził po ciasnej dyżurce. Wreszcie, nie mogąc się opanować, schwycił słuchawkę i wymienił numer telefonu lecznicy, który wziął na wszelki wypadek od syna.

– Czy mogę prosić do telefonu pana Jana Pietrzaka?... Tak. , przyjechał z żoną przed dwiema godzinami... tak...

Czekał z zamierającym tchem, zegar tykał na ścianie, w sąsiednim domu ktoś długo i mocno dzwonił do bramy.

Wreszcie – głos Jana w telefonie.

Uspokoił starego. Nie, nie ma powodu do obawy; wszystko normalnie. Ale ma jeszcze długo trwać. Najwcześniej nad ranem. Tak, zawiadomi ojca zaraz.

Głos syna był zgnębiony i drżący. Ale Mateusz nie dziwił się temu. Przypomnił sobie, co przeżywał, gdy żona rodziła mu dzieci.

Zegar tykał. Nagle zazgrzytał, zaszemrał i zaczął powoli bić jedenastą.

„Bergowa powinna tu być” – pomyślał stary woźny. „Już godzina minęła”. Ale minęło jeszcze pół godziny, a zapowiedzianej kasjerki nie było.

„Może się rozmyśliła. Zawsze kobieta” – pomyślał Pietrzak I właśnie zamierzał przedrzemać się trochę na tapczanie, kiedy przy drzwiach wejściowych rozległo się ciche pukanie.

„Aha, jest”.

Stary wstał, zapalił światło w przedsiönku, i przez założony łańcuch wyjrzał na ulicę.

Za drzwiami stała Bergowa. Blask pobliskiej latarni padał na jej przepyszne rude włosy, wysuwające się z pod kapelusza, kołnierz karakułowego futra przysypany był padającym wciąż śniegiem.

– Moje uszanowanie pani kasjerce – powiedział Pietrzak otwierając drzwi – spodziewałem się już szanownej pani od pół godziny.

– Byłam w teatrze, panie Pietrzak – odpowiedziała Bergowa – a przy tym jestem przeziębiona.

– A, tak, słyhać w głosie. Pani kasjerka zachrypnięta – zauważył Mateusz i pośpieszył, by zdjąć z niej futro. Wiesząc okrycie, pomyślał: „Zmieniła podszewkę. Tamta była czarna, a ta brązowa. Widocznie się wytarła”.

Tymczasem Bergowa wydobyła z torebki papierośnicę i wyjęła sobie papierosa.

– Ma pan Mateusz ognia? – spytała.

Podał jej zapalki. W zamian poczęstowała go papierosem. Wziął z wdzięcznością. „Już po zmartwieniu”, pomyślał. „Papieros spadł mi jak z nieba”.

– Tu „są klucze, proszę pani – powiedział, odczepiając z pęku klucze od pokoju kasowego. – Czy pani kasjerka będzie długo pracowała?

– Może z godzinę. Wychodząc, oddam wam klucze – powiedziała, oddalając się w kierunku kasy.

Mateusz wrócił do dyżurki. Zapalił papierosa i zaciągnął się nim mocno. Myśli jego krążyły wciąż koło syna i synowej. Poczł dziwne znużenie w całym ciele.

„To ten niepokój tak mnie zwala z nóg”, pomyślał i wyciągnął się na tapczanie.

Żegar wybił poważnie dwunastą.

Sen spadł tak niespodziewanie i gwałtownie na starego Mateusza Pietrzaka, jak jastrząb, spadający na swą ofiarę. Dziwny to był sen. Mieszały się w nim obrazy mętne, rozpluwające się, a jednocześnie przeraźliwie wyraźne.

Żaloszny jęk cierpiącej synowej, troska na twarzy syna, maleńki upragniony wnuk. , trzeci Pietrzak... a potem, błysk latarni ulicznej na rudych włosach kasjerki, śnieg padający wielkimi, cichymi płatkami na opustoszałą ulicę... brzęk pęku kluczy... gdzie klucze?...

Stary chciał się podnieść, żeby zobaczyć, co się dzieje z kluczami.

Przez sen przypomniał sobie, że wzięła je pani kasjerka... Uspokoił się... Opadł na nowo na tapczan, ale w głowie mu dziwnie huczało... Uspokajał samego siebie, że to zdenerwowanie domowe...

Nagle skrzypnęły drzwi jego dyżurki, usłyszał kroki. Podniósł ociężałe powieki i zobaczył przed sobą Bergową. Twarz jej rozpluwała mu się jakoś dziwnie w słabym blasku lampki, płonącej pod sufitem. Usłyszał jej głos mówiący:

- Oto, klucze panie Pietrzak...
- Odchodzę, sama zamknę drzwi...

Potem skrzyp drzwi i cisza, dziwna cisza, dzwoniąca w uszach milionem dzwonek.

I nagle, nie wiedział po jakim czasie, nastąpiło przebudzenie. Dziwne przebudzenie. Pietrzak usłyszał jakiś stuk dochodzący jak gdyby z głębi gmachu Usiadł na tapczanie. Ogarnęło go przerażenie. Spał? On, Pietrzak, spał? On, który chwalił się zawsze, że sen w czasie służby nie istnieje dla niego? Jakiś stuk, jak gdyby ktoś monotonicznie kuł młotkiem. Pietrzak spojrział jeszcze, wciąż pół leżąc na tapczanie, na ścienny zegar, wiszący wprost niego i zobaczył, że wskazówki stoją na wpół do czwartej. Przeraził się. Przypomniał sobie nagle z całą wyrazistością, że była tu pani kasjerka, była tu koło dwunastej, brała klucze, tak, ale przecież odniosła... W przerażeniu namacał ręką klucze, leżące przy nim na stoliku. Odetchnął z ulgą. Chwała Bogu, były na miejscu. Musiała wyjść, gdy spał i klucze zostawiła... Więc wszystko w porządku?... Nie.

Bo oto z głębi gmachu doleciał ten sam dziwny stuk połączony z brzękiem. Pietrzak wytrzeźwiał całkowicie. Zerwał się na równe nogi, schwycił rewolwer i latarkę. Ruszył ku drzwiom. W ustach miał smak piołunu, nogi mu dziwnie ciążyły. Ale szedł.

Jedna ciemna sala, druga, trzecia... Chwilami stawał i nasłuchiwał... Tak, nie ulegało wątpliwości... stuk pochodził ze strony kasy... Pietrzak wstrzymał oddech. Szedł dalej. Może to przywidzenie... Narobić alarmu? Nie, najpierw musi sam się przekonać... Jeszcze nigdy to mu się nie zdarzyło... Może to przywidzenie... Może na ulicy ktoś hałasuje... Naprawiają bruk...

Za drzwiami, wiodącymi do kasy, przystanął, serce łomotało mu w piersiach jak szalone. Zza drzwi nie dochodził żaden najmniejszy dźwięk. Uspokoił się. Widocznie to było przywidzenie... jeszcze z tego dziwnego snu, tak ciężkiego, że ciąży mu na piersiach jak

zmora.

Otworzył drzwi.

I z ust wydarł mu się okrzyk. W pokoju kasowym było trzech ludzi. Na twarze ich padał blask latarki, trzymanej przez jednego z nich. Dwu operowało przy wielkiej, żelaznej kasie. Błękitny, baśniowy płomień rozdzierał czarność metalowej powierzchni kasy.

– O Jezu – wydarło się z ust Pietrzaka.

W tej chwili poczuł, że na głowę spada mu coś ciężkiego, że całe jego ciało wali się na podłogę, przyciśnięte jakimś bezmiernym ciężarem. Ostatkiem sił usiłował się podnieść. I wtedy zobaczył, tak, wyraźnie zobaczył, jak tamci otwierają okno, wysokie okno, wiodące na cichą ulicę.

– W porządku? – powiedział jeden.

– Tak, mam wszystko. Wiejemy.

– Stary narobi alarmu?

– Nie, ma dość, nie widzisz?

Pietrzak słyszał to wszystko i nie mógł się poruszyć, nie mógł wydać nawet jęku. Widział, jak tamci jeden za drugim wdrapali się na okno, ciągnąc jakiś ciężki wór i nie mógł się poruszyć. Zniknęli... Za oknem padał śnieg. Wtedy Pietrzak zaczął się najwyższym wysiłkiem czołgać ku drzwiom, po podłodze. Już dosięgnął! drzwi uchylonych, już był na podłodze ciemnej, wielkiej sali biurowej. Czołgał się dalej. Co chwila musiał się zatrzymywać, by nabrać tchu, lub otrzeć krew lepkiem strumieniem spływającą mu po oczach i ustach. Czołgał się dalej. Straszliwa to była wędrówka przez ciemne sale uszpiętego gmachu, straszliwe czołganie się po podłodze.

Jak długo to trwało, nie wiedział. Ale wreszcie dowlókł się do dyżurki. ' I wtedy gasnącym gestem przyciskał wszystkie dzwonki alarmowe. Straż... Policja... Poli...

Co to?... jasny dzień... Poranek?... Pietrzak otwiera oczy. Leży na tapczanie wciąż w swojej dyżurce. Nad nim jakieś obce twarze. Mundury. Słyszy trąbki zajeżdżających samochodów, gwizdki policjantów. Alarm, alarm. Więc już jest policja? Chwała Bogu. Chwała Bogu. W głowie czuje tępy ból... Jakieś wielkie rozplywające się obrazy.. Śnieg pada, rude włosy pani kasjerki...

– Czy może pan mówić? – jakaś wąsata twarz nachyla się nad nim.

„Ależ tak, może”.

– Była tu pani kasjerka... tak o dwunastej... brała klucze... potem zasnąłem... pierwszy raz panie komisarzu... na służbie...

– Już dobrze, dobrze, chcecie wody?

Zęby dzwonią o szkło szklanki, jakiś dziwny dreszcz na plecach. Czarne płatki przed oczyma...

I nagle do świadomości dociera ostry dzwonek telefonu.

„To syn z lecznicy. Muszę wiedzieć... wiedzieć... „,

– To... do mnie... proszę mi dać słuchawkę... do mnie... – bełkocze stary.

Przyciskają mu słuchawkę do ucha, jakieś troskliwe dłonie trzymają ją mocno. Sam by upuścił. Taki jest słaby. Cóż dziwnego? Umiera...

Radosny głos syna w telefonie:

Ojczy, przyjeżdżaj natychmiast. Syn...

– Słuchawka wypada z martwych rąk.

Syn, trzeci Pietrzak...

Głowa opada na poręcz tapczanu. Świat gaśnie przed oczyma...

– Nie żyje – mówi surowy głos jakiegoś wysokiego pana w szczelnie zapiętym futrze.

\* \* \*

Pani Alicja Bergowa położyła się tego wieczora bardzo późno spać. A raczej nie późno, tylko wcześniej, gdyż goście, którzy przyszli do niej na bridża rozeszli się nad ranem, około godziny trzeciej. Pani Alicja po ich odejściu, krzątała się jeszcze dość długo po mieszkaniu, gdyż lubiła przede wszystkim porządek. Służąca już spała od paru godzin, więc sama wyniosła do kuchni filiżanki po herbacie i kieliszki po likierze, wyniosła także popielniczki z niedopałkami papierosów w mieszkaniu. Okna w gabinecie, gdzie zwykle grywano w karty, otworzyła szeroko; mroźne powietrze schyłku zimy odświeżyło zaduch pokoju. Złożywszy stolik do kart, rozpoczęła się rozbierać i dopiero wtedy spostrzegła, że jest już bardzo późno i że za 4 godziny będzie musiała wstać, gdyż przed dziewiątą rano musi już być w banku, przy pracy. Przeszła do łazienki, umyła się i szybko się rozebrawszy, położyła do łóżka.

Alicja Bergowa zajmowała czteropokojowe mieszkanie na ulicy Wilczej. Mieszkała tu jeszcze za życia swego męża, wówczas, kiedy jeszcze nie pracowała w banku. Po śmierci męża nie przeprowadziła się, pozostała w tym samym mieszkaniu; mały pokój, znajdujący się po prawej stronie przedpokoju, odnajmowała jakiemś młodemu urzędnikowi, który płacił jej regularnie i prawie przez cały dzień był nieobecny. Pozostawały jej trzy pokoje.

Pani Alicja była zawsze ze wszystkiego zadowolona, zarówno z pracy w banku, jak z mieszkania i kółka znajomych, którzy ją często odwiedzali. Lubiała namiętnie grywać w karty, znana była wśród swoich znajomych jako doskonała bridżystka, to też chętnie przychodzili do niej znajomi, by w jej miłym towarzystwie spędzić przy kartach wieczór. Tego właśnie wieczoru zasiedzieli się trochę dłużej niż zwykle. Pani Alicja, która prowadziła bardzo systematyczne życie, myślała właśnie o tym, że będzie nazajutrz przy pracy niewyspana, ale pocieszając się, że odeśpi te godziny po pracy, zasnęła głęboko.

Nie wiedziała, jak długo spała, ale z głębokiego, smacznego snu obudziły ją jakieś hałasy. Z początku leżała, nie otwierając oczu, ale kiedy hałasy stawały się coraz głośniejsze, otworzyła oczy i usiadła na łóżku. Usłyszała głos służącej Stasi i jakieś męskie podniesione głosy, które usiłowały ją przekrzyczeć.

„Jezus Maria, co się stało?” – pomyślała przerażona – „pewnie złodzieje się włamali albo

pożar. Co ta Stasia tak lamentuje? Pewnie wykradli moje karakułowe futro”.

Narzuciła szlafroczek i wybiegła *do* przedpokoju. Oczom jej przedstawił się następujący widok: Stasia na wpół ubrana zalewała się łzami, wołając bez przerwy.

– Moja pani niewinna moja pani miała gości, późno odeszli, nigdzie nie wychodziła do żadnego banku.

Obok niej stało trzech mężczyzn, jeden w mundurze policjanta i dwaj cywilni.

– Niech się panienka uspokoi – powiedział wysoki cywil ze spiczastą bródką – pani nam sama wszystko wyzna... A oto i pani.

– Co się stało? – spytała Bergowa. – Była bardzo blada, rozwiane, płomiennorude włosy podkreślały jeszcze kredową bladość tej twarzy. – – O tym, co się stało, szanowna panie wie pewnie lepiej od nas – odpowiedział drugi cywil, niższy od tamtego. – Proszę się ubierać i pójść z nami do komisariatu.

– O, Jezu! – płakała Stasia, – nasza pani po nocy do komisariatu. Co też panowie...

– Stasiu, proszę cię, bądź cicho – rzuciła szybko Alicja i zwracając się do stojących mężczyzn, dodała:

– Panowie mi wytłumaczą łaskawie, co się właściwie stało i w jakim celu mam z nimi pójść do komisariatu.

Wysoki z bródką zbliżył się do niej i powiedział spokojnie.

– Dziś w nocy nastąpiło włamanie do kasy banku, w którym pani pełni funkcję kasjerki. Stary dozorca Pietrzak został ranny w walce z bandytami i zmarł z ran, wyznawszy przed śmiercią, że przed dwunastą pani przyszła do banku i zażądała od niego kluczy.

– Ale... to jakieś nieporozumienie, to niemożliwe, ja nigdy nie pracuję w nocy... byłam w domu... mogę mieć świadków... miałam gości, dopiero o trzeciej wyszli, niech się panowie dowiedzą od moich gości, którzy tu byli, mogę udowodnić.

Spojrzeni po sobie porozumiewawczo.

– Radziłbym, aby pani nie zaprzeczała, to najgorszy system, jest pani przecież rozsądną osobą – powiedział wysoki cywil, – stary woźny Pietrzak, który panią zna od tylu lat, zeznawał przecież, że z panią rozmawiał, że wziął od pani papierosa, że prosiła go pani o klucze, mówił także, że pani służąca przedtem telefonowała do niego, uprzedzając, że pani przyjdzie do banku po północy.

– O, jak Boga żywego kocham! – zawołała Stasia. – że to niby ja dzwoniłam do niego? Ja... Przysięgam na wszystkie świętości, że pani dziś miała gości i nigdzie nie wychodziła.

– A o której panienka się położyła? – pytał niższy cywil.

– Poszłam spać, to może dwunasta była, jak tylko zmyłam po kolacji, a państwo to jeszcze siedzieli i grali, jak się położyłam.

– A więc wszystko w porządku – zauważył wyższy z bródką do dwóch towarzyszków. – Jak panienka się położyła i zasnęła, pani Bergowa wyszła – z domu. Goście zaproszeni byli umyślnie, dla zmylenia śladów, po to żeby mieć alibi.

– Ależ to niemożliwe, to się musi wykryć – mówiła Bergowa bez tchu. – Pietrzak musiał bredzić przed śmiercią, to nie byłam ja... przecież mnie wszyscy znają w banku, to po twarzy, każdy wiedział, jaka ja jestem, jak mi można zaufać...

– Niech się pani ubierze, mówić będziemy gdzie indziej – zawołał niższy cywil, dużo mniej delikatnie od wysokiego.

Po chwili Bergowa ubrana w futro i kapelusz, śmiertelnie blada wyszła z domu w towarzystwie trzech mężczyzn i głośno lamentującej Stasi, której także kazali się zabierać razem ze swoją panią.

– O, Jezu, na co nam zeszło, taka pani, żeby do więzienia szła, o Jezu najmilszy!

Wszystko wskazywało na winę kasjerki Alicji Bergowej. Przedśmiertne zeznanie Mateusza Pietrzaka, który opowiedział, jak wręczył jej klucze; znaleziony przy umierającym niedopałek papierosa, który był zaprawiony środkiem usypiającym, były dość jaskrawymi dowodami.

A jednak niewinność tej kobiety okazała się z błyskawiczną niemal szybkością. Na żądanie jej zawezwano do komisariatu trzech panów, którzy poprzedniej nocy grali u niej w bridża. Były to wszystko znane w Warszawie osobistości; jeden z dyrektorów banku, gdzie pracowała i gdzie dokonano właśnie włamania, pewien wysoki urzędnik ministerialny oraz wybitny adwokat. Wszyscy ci panowie jednogłośnie, nie uprzedzeni przez nikogo zeznali, że począwszy od ósmej wieczór do trzeciej nad ranem grali w bridża domu Bergowej i że uroczą ich gospodyni przez cały ten czas nie tylko, że nie opuszczała mieszkania, ale nawet nie przyjmowała żadnych telefonów. Oczywiście” więc się stało, że to jakaś łudząco podobna do Bergowej kobieta wprowadziła w błąd starego dozorcę nocnego i wpuściła włamywaczy w czasie, gdy staruszek zasnął pod wpływem narkotycznego papierosa.

Bergową oraz jej służącą wypuszczono z komisariatu i oto znowu przed policją stanął mur nieprzebytej zagadki.

W godzinę potem, całe miasto nie mówiło o niczym innym, jak o tajemniczym włamaniu do kasy bankowej.

Zachrypnięte głosy małych gazeciarzy wykrzykiwały sensacyjne tytuły:

„Rudowłosa dama wprowadza kasjarzy!” „Tajemnica kasy bankowej”. „Tajemnica zatrutego papierosa”. „Kto jest sobowtórem rudowłosej kasjerki?”.

Na rogach ulic przechodnie formalnie wrywali sobie jeszcze ciepłe, wprost spod prasy numery gazet. Zaczytywano się w nich po kawiarniach i cukierniach, mówiono o każdym szczególnie po domach prywatnych.

Popołudniowe wydanie gazet przyniosło nowe szczegóły:

Sprawę powierzono znakomitemu sędziemu śledczemu, znanemu ze sprawy Joanny Domowej, Stefanowi Kaniewskiemu, którego w tym celu odwołano z urlopu, jaki spędzał w Zakopanem.

Pociąg Zakopane – Warszawa zbliżał się całą parą do Krakowa. Pozostały już w tyle oślepiające w blasku słonecznym góry i pagórki.

Im bardziej pociąg zbliżał się do Krakowa, tym bardziej równą stawała się okolica.

W przedziale drugiej klasy siedzieli Ela Rzecka i Stefan Kaniewski.

Ela była smutna. Tak bardzo cieszyła się myślą o tych dwu tygodniach, a tymczasem po upływie sześciu dni już koniec.

Właśnie powrócili z dwudniowej wycieczki w góry i śmiertelnie znużeni odpieli oblepione śniegiem narty przed domem, by w ciężkich buciorach przejść po schodach do sypialni i spać, spać, za wszystkie czasy, gdy gospodyni dogoniła ich zdyszana na schodach.

– Panie sędzio, panie sędzio – wołała – przed pięcioma minutami przyniesiono depeszę dla pana.

Kaniewski zatrzymał się i niedbale wyciągnął dłoń po depeszę. Serce Eli biło mocno. Nie lubiła, jak prawie wszystkie kobiety, depesz. Tkwił w niej jakiś przesąd u tak wielu zakorzeniony, że depesza jest zawsze zwiastunem nieszczęścia. Patrzyła więc z niepokojem w twarz Stefana, który przy słabym świetle padającym z lampy z dołu, czytał krótką depeszę.

„Skomplikowane włamanie do Banku. Panu powierzamy śledztwo. Prosimy Przyjechać natychmiast. Prezes sądu”.

– Muszę zaraz jechać – powiedział szybko sędzia, wyciągając zegarek.

– Jechać? – Ela aż jęknęła.

Milcząc, podał jej depeszę. Czytała ją i jak przez sen słyszała głos gospodyni:

– Jest blisko dwunasta w nocy. Nie ma pan już teraz żadnego pociągu, najwcześniejszy jutro rano do Krakowa.

– Czy dostanę stamtąd połączenie samolotem?

– Zdaje się, że tak.

– Więc jadę jutro rano. Proszę, niech pani mi przygotuje rachunek.

Cały był już myślami przy tej nowej sprawie.

– Skomplikowane włamanie do banku... cóż to może być? – mruzczał.

Ela szła, milcząc, obok niego na górę.

W pewnej chwili dotknęła jego rękawa i powiedziała nieśmiało:

– Stefku, jadę z tobą. Nie chcę zostać tutaj sama.

– Jak chcesz, malutka – powiedział wesoło. – Powietrze górskie znakomicie ci co prawda robi, wyładniałaś, o ile to jeszcze możliwe, ale skoro wolisz ze mną jechać, to tylko moja wygrana.

Zatrzymali się jeszcze na krótką chwilę przed drzwiami ich pokojów i Stefan, spojrzawszy



uważnie w twarz Eli, powiedział w formie pociechy:

– Widzisz, taki to już mój los i takie moje wszystkie wakacje.

Uśmiechnęła się do niego z przymusem.

I teraz właśnie, pociąg dojeżdżał do Krakowa, gdzie mieli zamówione dwa miejsca w samolocie, odlatującym po południu do Warszawy.

Stefan miał na kolanach olbrzymi stos wszelkich możliwych gazet z opisami wczorajszych wypadków. Wiedział już o wszystkim. O rudej damie zrobionej na kasjerkę, o papierosie usypiającym, o rozpruciu kasy i wyniesieniu kilkuset tysięcy gotówki, o śmierci starego Pietrzaka z rąk bandytów. Każdy szczegół rozważał po wiele razy, półgłosem zwracając się do Eli:

– Dziwne, dziwne – mówił kręcąc głową – to jakaś dobrze zorganizowana szajka... ta kobieta musiała być piekielnie podobna do Bergowej, skoro taki stary wytrawny dozorca dał się oszukać...

Ela wzięła jedną z gazet. Pociąg huczał, trzeszczał, brzęczał i stukał. Gazeta w ręku Eli chwiała się nieznośnie. Mimo to; Ela odczytała uważnie każdy szczegół niezwyklej sprawy.

Odwróciła szeleszczącą kartę i zobaczyła na drugiej kolumnie fotografię głowy jakiejś kobiety. Podpis brzmiał:

„Alicja Bergowa długoletnia kasjerka bankowa, pod której postać podszyła się nieznana bandytki”.

Ela zmarszczyła czoło. Nie mogła sobie przypomnieć, skąd zna 'tę twarz kobiecą. Przecież niedawno rozmawiała z jakąś młodą kobietą do tej podobną, jak gdyby w przejściu, ale gdzie? Gdzie?

Natychmiast po przyjeździe do Warszawy, gdy Kaniewski podążył do sądu, Ela znalazłszy się sama w swym mieszkaniu, ujęła słuchawkę, by zatelefonować do Michała Anczewskiego.

Nie umiała sobie samej wytłumaczyć, jakie żywi dla tego człowieka uczucia. Ale coraz częściej łapała się na tym, że tęskni do jego obecności, że dałaby wiele za to, by się z nim zobaczyć. Gdy podczas rozłąki, krótszej czy dłuższej ze Stefanem, myślała o nim, ogarniał ją zawsze szarpiący niepokój. Z Michałem było przeciwnie: wystarczyło jej przypomnieć sobie o jego istnieniu, by nadszedł na nią głęboki spokój. Przed Michałem nie potrzebowała niczego ukrywać; przed Stefanem tyle ukrywała ze swych stanów uczuciowych; z Michałem mogła mówić o wszystkim, zalić się na wszystko, wysłuchiwać jego rad. A najważniejsze było to, że do Michała mogła zawsze dotrzeć, słuchał uważnie każdego jej słowa; a Stefan? Tak, wierzyła, że interesuje się jej osobą, ale wiedziała także, że ma stokroć ważniejsze od niej sprawy i że gdy taka sprawa zaczyna go zaprzętać, ona Ela odchodzi na ostatni plan. Wtedy to, między nią a Stefanem stawał jakiś mur nie do przebycia.

Niekiedy sądziła, że dzieje się to dlatego, że są zbyt mało razem. Ale teraz podczas tych sześciu dni spędzonych z nim wspólnie, przekonała się, że to wcale nie o to chodzi. Po prostu Kaniewski miał jakiś swój wewnętrzny, męski świat, z którym Ela nie miała nic wspólnego i

do którego nie miała żadnej drogi.

Z tym większą radością czekała na spotkanie z Michałem i natychmiast po przyjeździe zatelefonowała do niego.

– Ela? Czy to możliwe? Już? Cóż tak prędko?

Radość bezmierna dręczyła w głosie Michała, była balsamem na udręczone serce Eli. A jednocześnie, jak bolesny cierń, ukłuła ją myśl: „Stefan nie potrafiłby się tak ucieszyć z mego przyjazdu”.

– Czy pozwolisz, że wpadnę zaraz do ciebie? – pytał Michał – tyle mam ci do powiedzenia... Pozwalasz? Ach, jak to dobrze. Będę za kwadrans.

Wpadł do jej mieszkania jak burza i ta wysoka, trochę nieporadna jego postać, dobre oczy za szklami okularów, ciepły uśmiech miłych ust, były dla Eli odpoczynkiem i radością.

Doprawdy, nie wiedzieli od czego zacząć rozmowę. Ela musiała mu wszystko opowiedzieć o Stefanie. O tym, że był miły, dobry i serdeczny, że starał się myśleć tylko o niej, że walczył ze swymi posępnymi urojeniami, ale że mimo wszystko budził się w nim jakiś obcy, daleki człowiek, który stawał pomiędzy nią a nim nieprzebytą przegrodą.

– Najgorzej było, gdy otrzymywał gazety z Warszawy. Chciałabym wierzyć w to, że tak bardzo absorbują go sprawy zawodowe, ale czuję, o, Michałku, czuję to głęboko, że to jeszcze nie wszystko, że jest w tym coś, jakaś...

Zatrzymała się. Jak gdyby ten wyraz właśnie nie chciał jej przejść przez gardło. Ale przemogła się i dotykając palcem dłoni Michała, spoczywającej na poręczy fotela, powiedziała cicho i z głębokim zawstydzeniem:

– ... kobieta.

Michał, zamiast odpowiedzi, wziął jej rękę w swoją i długo ją gładził.

– Elu, powiedział wreszcie – powinnaś pamiętać o jednym...

O tym, że życia nie warto rozdrabniać w maleńkich, gryzących nas troskach, że nie wolno truć się powoli złymi myślami, że nie ma gorszej rzeczy, jak taki ukryty nurt troski i że powinnaś tę całą sprawę postawić jasno wobec pana Stefana. Albo tak, albo inaczej. Takie życie jest niemożliwe. Takie życie zrobiło z ciebie, zawsze promiennej i pogodnej, jakąś żalną, smutną, zatroskaną dziewczynę. Jesteś warta czegoś lepszego.

Powiedz mi, Michałku – spytała Ela, nie odpowiadając wprost na jego słowa – dlaczego się tak dzieje, że z tobą jest mi zawsze dobrze i spokojnie, a z nim się dręcę, choć to jego właściwie kocham?

Twarz Michała skurczyła się, jak gdyby w przypiływie nagłego bólu, ale odpowiedział spokojnym, opanowanym tonem:

– To są tajemnice tego nienormalnego stanu, który nazywamy miłością, Elu.

Potem roześmiał się po swojemu, trochę smutno i trochę szyderczo, i bez żadnego wstępu, powiedział:

– A co byś powiedziała, Elu, gdybym ci zaproponował...

Urwał, gdyż Ela podniosła na niego swe nieprawdopodobnie jasne oczy rozblęśnięte jakąś szczególną ciekawością.

– Cóż byś mi zaproponował, Michałku?

Patrząc uporczywie w podłogę i końcem buta rysując jakieś kółka na dywanie, powiedział szybko i bardzo cicho:

– ... żebyśmy się pobrali, Elu... Nic nie mów, nic. Wiem, że mnie nie kochasz... ale lubisz mnie przecież, a ja ciebie... – roześmiał się swym niskim, miłym śmiechem – ja ciebie także dość lubię... Ty mogłabyś to traktować jako, czy ja wiem – konieczną amputację, po której organizm wyzdrowiałby zupełnie. Zresztą, nie musisz mi teraz odpowiadać, tylko chciałbym, żebyś wiedziała o istnieniu tej możliwości i wzięła ją pod uwagę. To wszystko. Nie, lepiej nie mów teraz nic. Dobrze?

Podniósł oczy na milczącą Elę i zobaczył, że siedziała głęboko wsunięta w fotel z dłońmi opartymi na poręczach. Wstrząsnęła się pod jego wzrokiem, uśmiechnęła do niego i już chciała coś powiedzieć, gdy Michał przemówił całkiem innym tonem:

/- – A cóż mówi pan Kaniewski o tym zuchwałym włamaniu? Jacy sprytni chłopcy musieli tę sprawę urządzić. Sobowtóry, legalne wejście z kluczami, wręczonymi przez dozorcę, ho, ho, jak kryminalna powieść!

Ela posłusznie zaczęła mówić o tej sprawie. Wyznała też Michałowi, że twarz Bergowej widziana na fotografii w gazecie, wydaje jej się dziwnie znajoma, ale nie może sobie przypomnieć skąd, choć męczy się już dziś od rana. \

Po upływie pół godziny Michał wyszedł I. przy pożegnaniu nie wrócił do poruszonego przedtem tematu.

– Jutro zatelefonuję, jak wypoczniesz po podróży. Może pójdziemy razem do teatru? Do widzenia, Elu.

– Do widzenia.

Ela po jego odejściu stanęła przy oknie. Patrząc na Wisłę, pokrytą płynącymi krami i na roztaczające się nad rzeką jasne, prawie już wiosenne niebo, powtarzała suchymi wargami:

– Konieczna amputacja... amputacja...

Lucy, czyli Ludka Kozuch sam nie wiedziała, jak się to wszystko stało. Kiedy przyszła do salonu kosmetycznego „Stella” i wyszła stamtąd tak dziwnie podniecona, ogarnęło ją przykre uczucie jakiegoś niepokoju. Uczucie to wzrosło wówczas, kiedy ta nieznajoma malarka, która jej się tak bardzo podobała, panną Rzecka, mijając ją w przedsiionku, powiedziała:

– Po cóż pani to zrobiła? Przecież dawniej wyglądała pani ładniej.

Myślała o tych słowach, idąc po ulicy, ale pocieszała się tym, że zrobiła to przecież dla niego, dla Franka li że jemu na pewno się spodoba.

Tymczasem zawód przyszedł znacznie prędzej, niż się tego spodziewała. Franek bynajmniej nie zachwycił się jej wyglądem. Gdy przyszła do niego do hotelu, zrazu cofnął się od progu, jak gdyby jej nie poznał, potem roześmiał się jakimś dziwnym, szyderycznym śmiechem i w śmiechu tym powtarzał:

– Bardzo dobrze, znakomicie, bardzo dobrze.

– Więc podobam ci się, Franuś? – spytała, przytulając się do niego.

Odsunął ją delikatnie.

– To nie o to chodzi teraz – powiedział sucho i wyjąwszy z pugilaesu jakieś fotografie, porównywał je długo z wyglądem Lucy.

To, co potem nastąpiło, było dla Ludki koszmarnym snem. Dawniej nie przypuszczała, że mogłoby jej się coś podobnego przytrafić.

Franek uprzedził ją, że będzie musiała zrobić coś dla niego i jego przyjaciół. Prosił ją, by mu przyrzekła całkowite posłuszeństwo. Wytłumaczył jej, że jeżeli zrobi to, czego będzie trzeba, wyjedzie potem za granicę, jak wielka pani. Dostanie pieniędzy na doskonałe hotele, zobaczy Paryż, a może nawet Amerykę.

– Z tobą, Franuś, z tobą? – pytała, zajęta tylko jedną myślą.

Zamyślił się ponuro i powiedział cicho:

– A może i ze mną. Kto wie? Na razie pojedziesz sama, a ja tam potem przyjadę.

„Zgodziła się, musiała się zgodzić. Była zresztą już tak dalece we władzy tego człowieka, że nie wyobrażała sobie zerwania z nim. Co by było, gdyby nie chciała się zgodzić na jego propozycję, gdyby z nią zerwał, zostawił ją teraz, tak zmienioną pod każdym względem. Nie miała przecież już nawet własnej, dawnej twarzy, ani własnych włosów. Co zrobiłaby teraz sama jedna? Wrócić do baru „Pod Różą” na ulicę Chłodną? Nie, nie mogłaby teraz już marznąć w ubogim paletku, chodzić w dziurawych, przemakających pantofelkach, kłaść się nad ranem do łóżka tak zmordowana, jak gdyby ją ktoś całą noc prał, budzić się głodna i czekać o głodzie aż do zmroku, gdy w barze dadzą jej kotlet z kapustą. I nie widzieć Franka, nie słyszeć jego głosu, nie czuć jego opieki. Nie, nie, nie! Tego już nie może”.

Całą swoją istotą czuła Lucy, że wciągają ją w coś okropnego, ale przymykała na to oczy i szła na osłep wpatrzonej jedynie w czarne, palące, niespokojne oczy Przybosza.

A on? Był dla niej wciąż łagodny, perswadujący, ale stanowczo żądał swojego.

– Za godzinę przyjdą tu moi przyjaciele – powiedział jej owego dnia, gdy przyszła przemieniona w rudą damę. Będą żądali od ciebie różnych rzeczy. Słuchaj ich uważnie. Ja uprzedzę cię, co będziesz miała do roboty.

I usiadłszy przy niej na pluszowej kanapie hotelowego pokoju, spokojnie, jak nauczyciel uczennicy, wyłożył, jakie zadanie ją czeka.

Ludką wstrząsnął dreszcz. Jak to? Włamanie do banku? I to ona ma wpuścić kasiarzy? A jak plan się nie uda? Jak dozorca pozna, że ona nie jest kasjerką? Jak zawoła policję?

– Nie pozna – powiedział Franek spokojnie. – Patrz, to fotografia kasjerki. Czy nie jesteś zupełnie ta sama?

Wziął ją za ramię i postawił przed lustrem, do ręki wtykając jej fotografię. Patrzała rozszerzonymi ze strachu oczyma. Patrzała i nie wierzyła samej sobie. Tak, ta fotografia była bez wątpienia fotografią jej, w teraźniejszym stanie jej twarzy.

I nagle ogarnęła ją całkiem inna myśl.

– Franuś – powiedziała cicho – więc ty nie dlatego, że ci się podobałam, to wszystko... tylko po to, że ci byłam potrzebna... Franuś?

W głosie jej brzmiała rozpacz.

– Cicho, cicho, mała – powiedział ze smutkiem Przybosz – co ty wiesz, dziecko?

Nie mówił nic więcej, ale jej wystarczył jego serdeczniejszy, cieplejszy ton, by godziła się na wszystko.

Przybosz zapewnił ją jeszcze, że robota nie będzie „mokra”, że kasiarzy trzeba tylko wpuścić, a potem samej wyjść spokojnie na ulicę, że paszport zagraniczny będzie już przygotowany razem z biletem i zaraz ją wyślą za granicę.

– A potem i ja tam przyjadę – powiedział na zakończenie – i odnajdę cię.

– Będziemy już zawsze razem, Franuś?

– Tak, zawsze razem.

Odetchnął z ulgą. Dla niej, nędznego dziecka przedmieścia warszawskiego, istoty od dzieciństwa otrząskanej z nędzą i przestępstwem, ta cała sprawa nie przedstawiała się tak okropnie. Po prostu trzeba zdobyć pieniądze, a przy tym nikogo się nie zabija, bo robota nie będzie „mokra”, więc cóż się martwić?

I przyjaciele Franusia byli z niej ogromnie zadowoleni. Była pojętna, posłuszna i każdy ich rozkaz spełniała z radością.

– Szemrany chłop ten „profesor” – mówił jeden ze współników, opuszczając w towarzystwie dwu drabów hotel po naradzie z Frankiem i Ludką. – Wybrał dziewczynę, że o lepszej nie można marzyć. Choćby jutro można przystąpić do roboty.

Ludka czuła, że są z niej zadowoleni i sprawiało jej to przyjemność, jak dobry stopień

pojętej uczennicy.

To, co potem nastąpiło, było robione jak przez sen. Długie szczegółowe i staranne ubieranie jej w ów śnieżny, lutowy wieczór w tylnych pokojach zamkniętego salonu „Stella”, taksówka, którą pojechała na róg pewnej ulicy, spotkanie na tym rogu z Frankiem, który jeszcze po raz setny powtarzał jej instrukcje; dzwonek przy sieni bankowej, który tak przeraźliwie głośno rozbrzmiał wśród ciszy samotnej uliczki, stary woźny, papieros, którym go poczęstowała, a potem ta okropna wędrówka przez ciemnie sale bankowe z kluczami w ręku... strach... okropny paraliżujący wszystko strach... a potem otwarcie wysokiego ciężkiego okna i tamci trzej, którzy wskoczyli cicho i zwinnie, jak duże czarne koty. Potem była już wolna. Wchodząc do dyżurki, sprawdziła, że dozorca śpi i mamrocze coś przez sen, położyła klucze, tak jak jej kazano i cicho wyszła na pustą ulicę...

I dopiero wtedy zaczęło się najgorsze...

Zrobiła wszystko, co jej Franek kazał, wszystko dla niego, a za to miała się z nim za chwilę rozstać i wyjechać sama w taki świat, może na zawsze. Teraz dopiero objęła ogrom tego, co zrobiła. A co, jeżeli dozorca obudzi się wcześniej? Zawołają policję? Strzelanina, zginą ludzie... Przez nią? Tak, przez nią...

Pędząc piechotą, zgodnie z instrukcją, przez ciemne, uśpione ulice nocnej Warszawy do umówionego mieszkania, Ludka umierała ze zgrozy, myśląc o tym, co uczyniła.

Ale to, co ją czekało, było jeszcze gorsze. W umówionym mieszkaniu nie zastała Franka. Zamiast niego było dwu jego „przyjaciół”, którzy wręczyli jej w milczeniu paszport na nazwisko Zofii Szuster, opatrzone wizami oraz bilet na pociąg, który wyjeżdżał o ósmej rano do Paryża. Dali jej też notes z adresami, pod które miała się zgłosić w Paryżu oraz pieniądze.

– Prześpisz się tutaj – powiedział jeden z nich – spisałaś się dobrze. Należy ci się odpoczynek, a rano jazda na dworzec. Do tego czasu nie wyjaśni się jeszcze, że prawdziwa kasjerka jest niewinna, więc nikt nie będzie ciebie 'szukał. Możesz być spokojna.

Lucy, przerażona, wysłuchiwała tego przemówienia i zdobyła się na pytanie:

– A Franek? Gdzie on jest?

– „Profesor”? Nie bój się. Nic mu nie będzie^

– Ale... czy... czy go jeszcze zobaczę?

Roześmieli się.

– Na amory nie ma czasu. On się nie może z tobą zobaczyć. Żebyś go tylko nie szukała sama, słyszysz?

Ostatnie słowa powiedziane były groźnie. Ohydna twarz nachyliła się nad nią blisko.

– Ale on obiecał, że... przyjedzie tam za mną... czy panowie nie wiedzą... ?

– Jak obiecał, to przyjedzie – powiedział jeden z drabów obojętnie i wyszedł z pokoju. Wychodząc, rzucił jej przez ramię:

– Twój bagaż jest w przedpokoju. Nie zapomnij wziąć walizek:

I oto teraz Lucy, a właściwie, biedna, znękana Ludka Kożuch siedziała sama skurczona w

przedziale drugiej klasy, bezpośredniego pociągu Warszawa – Paryż. Nie, nie nęciła jej wcale perspektywa zwiedzenia krajów, które kiedyś wydawały jej się niedoścignionym marzeniem. Była sama, rzucona w obcy, daleki świat.

Za oknami wagonu zmieniała się już dwukrotnie noc na dzień, zmieniały się też kraje, zmieniał język, jakim przemawiali wchodzący do przedziału pasażerowie. Ludce to było obojętne. I tak żadnego z tych języków nie rozumiała, więc cóż za różnica, jak mówili? I tak każdy z nowych przybyszów wydawał jej się jakimś zakonspirowanym wrogiem, przebranym policjantem, który za chwilę spyta ją grzecznie:

– To pani wpuściła kasiarzy do banku? To pani?

Były chwile, że pragnęła, aby tak się stało. Że wołała wrócić, nawet zakuta w kajdany, ale wrócić do Warszawy. Ach, ileżby dała za to, by znaleźć się nagle w przepelnionej parą i zapachem malin ubogiej izdebce jej matki na Starym Mieście, by widzieć jak matka powoli i z rozmysłem ociera z czerwonych, wielkich dłoni z mydlin, otrząsa ręce w balię i, zwracając się ku niej otyłym ciałem, pyta:

– Lucyna, a nie zjadłabyś czego?

Ach, dokąd to, dokąd zaprowadziła ją ta głupia miłość?

Pociąg trząsał, huczał, trzeszczał, stukał, kołysał potężnym cielskiem na szynach i pędził w świat, plując czerwonymi snopami iskier. Każda chwila, każde poruszenie kół, każdy zgrzyt oddalał Ludkę coraz bardziej i już na zawsze od tego, co było jej bliskie, zrozumiałe, swoje, a pchał ją w jakiś straszny, bezlitosny, podły i obcy świat.

Ludka wcisnęła głowę w pluszową poduszkę kanapy kolejowej. Poczowała wdzierający się do jej nozdrzy przykry zapach węgla i już miała wybuchnąć płaczem, gdy zjawili się w przedziale dwaj konduktorzy i donośnym głosem czegoś od niej żądali.

Podniosła pełne łez oczy na nich i zrozumiała z ich cudzoziemskiej mowy tylko jedno słowo: Paris.

Więc dojeżdżają? Żądali widocznie biletu. Wydobyła go z eleganckiej, skórzanej torebki, którą dostała na drogę, skinęli głowami i odeszli.

Ludka wyjrzała na korytarz. Pasażerowie zbierali się do wyjścia: ubierali się, pakowali ręczne bagaże. Poszła za ich przykładem, a potem, stojąc przy oknie, patrzyła na wielkie odrapane tylne ściany domów przedmieść paryskich, na olbrzymie niezrozumiałe dla niej plakaty, na których litery układały się w wyraz: „Saint Raphael quinquina”, „Bebe Cadum”, „Cinzano”.

Każda z tych liter padała na jej serce, jak bezmierny ciężar.

Czuła, że cokolwiek nastąpi, jest zgubiona, zgubiona na zawsze.

Gdy pociąg z hukiem zajechał pod długą, ciemną halę Dworca Północnego w Paryżu, gdy drzwiczki wagonów otworzyły się z trzaskiem, by wypuścić rozradowany tłum pasażerów, z przedziału drugiej klasy wyszła, zgarbiona pod ciężarem nieszczęścia, drobna postać kobieca. Tragarz niósł za nią wykwintne skórzane walizki, na sobie miała pięknie skrojony kostium

podróżny, ale gdyby ktoś uważnie spojrział jej w twarz, przeraziłby się. Przeczytałby w tej twarzy najwyższy krzyk bólu i rozpacz.

Kobieta minęła długie lady, zavalone bagażami, przeszła koło kas kolejowych, przecisnęła się pomiędzy hałaśliwym tłumem paryskim i wydostawszy się na plac przed dworcem, skierowała się do dorożki samochodowej.

Długo i mozolnie odczytując z notesika jakiś adres, wyjąkała go szoferowi.

Samochód ruszył za długim szeregiem jadących przed nim wozów. Ludka Kozuch zniknęła w odmęcie wielkiego Paryża.



Przychodzi po zimie jeden taki dzień, kiedy już po przebudzeniu człowiek czuje, że jest jakoś inaczej. Dachy na przeciwległych do jego okien domach w ciągu jednej nocy z białych stały się czarne i lśniące, woda grubymi kroplami kapie z okapów, tworząc błyszczące łyzy w jasnym blasku słońca. Wróble ćwierkają ostro i zaczepnie.

Wraz z otwartym oknem wpada fala powietrza, niosącego jakieś dalekie zapachy czarnych, wilgotnych pól rozoranej ziemi.

W ten pierwszy ciepły dzień marcowy, ma się wrażenie, że wiosna przysła już na dobre. Nie pamięta się o tym, że jeszcze nieraz wróci mróz, śnieg i długie tygodnie ślot. Jest się rozradowanym pierwszymi oznakami wiosennego dnia.

Na ulicy nogi jakoś dziwnie ciężą, zimowe okrycie uciska ramiona, a futro, które jeszcze wczoraj wydawało się „całkiem dobre”, pokazuje nagie, zdradliwe, rude, wyleniałe miejsca.

W taki właśnie dzień rankiem, Ela Rzecka opuściła mieszkanie i piechotą szła ku miastu przez most Poniatowskiego.

Wielkie kry płynęły powoli na Wiśle, która w tym roku wyjątkowo wcześniej „puściła”. Pod jej stopami chodniki obsychały szybko z topniejącego śniegu, małe kopczyki śniegu, którymi obramowana była z dwu stron jezdnia mostu, zapomniały już całkiem o swym pierwotnym białym kolorze: były czarne i żałosne. Wielkie otwarte wozy magistrackie zgarniały to, co niedawno jeszcze było śniegiem, a teraz stało się lepkiem błotem i odjeżdżały, zostawiając puste miejsca.

Ela szła szybko ku miastu. Była tego dnia specjalnie podrażniona. Przed chwilą rozmawiała z mieszkaniem Stefana i dowiedziała się od gospodyni, pani Marii, że „pan sędzia pojechał do sądu, bo dzisiaj sprawa Domowej”.

Że też ona, Ela, mogła o tym zapomnieć? Przecież o tej sprawie mówili wszyscy wokoło. Termin jej od dawna był wyznaczony na dzień 12 marca, czekano na ten termin niecierpliwie, jak na największą atrakcję.

Sprawa tajemniczego włamania przy udziale sobowtóra kasjerki do banku, zajmowała, co prawda Warszawę ogromnie, jak romans kryminalny w jaskrawej okładce. Ale gdy płynęły dni, a mimo starannego śledztwa nie ujęto jeszcze sprawców, o banku zapomniano szybko.

Za to sprawa Domowej – ta nie przestawała interesować ludzi ani na chwilę, zarówno ze względu na jej podkład psychologiczny, na posmak erotyczny, jak na urodę oskarżonej i stanowisko oskarżonego. z Ela miała przecież specjalne powody do pamiętania o terminie tej sprawy. A właśnie zapomniała, że to dzisiaj.

Może stało się tak dlatego, że Stefan unikał ostatnio starannie poruszania tego właśnie tematu i że nie dalej jak wczoraj wieczorem, rozstając się z nią przed jej domem, gdzie

odprowadził ją po teatrze, powiedział:

– Jutro będę miał rano zajęcia. Zatelefonuję do ciebie koło piątej po południu.

To było wszystko. Czemu nie powiedział: „Jutro mam proces Domowej, któremu chciałbym się przysłuchać”. Mógłby przecież dodać, że sprawa ta interesuje go jako jedna z jego spraw. Nie zrobił jednak tego. On, który dawniej Eli opowiadał tak wiernie o każdej swej sprawie.

Ela postanowiła więc pójść do sądu sama. Ma przecież prawo. Rozprawy są publiczne. Wiedziała, że niełatwo jest dostać się na ten sensacyjny proces i że trzeba mieć przepustkę. Ale w tym pomoże jej Michał. Dowiedziawszy się w mieszkaniu Stefana, że jest na sprawie, zatelefonowała natychmiast do Michała, który obiecał za pół godziny stawić się przed gmachem sądu na Miodowej z przepustką dla Eli.

– Jesteś prawdziwym aniołem, Michałku – powiedziała Ela.

Roześmiał się wesoło:

– Jesteś chyba jedyną osobą na świecie, która widzi przy mnie skrzydła anielskie – odpowiedział Michał – więc za pół godziny będę na Miodowej.

I teraz Ela szła powoli przez most, patrząc na wzburzone wody Wisły, lśniącej w marcowym słońcu i pełna była niepokojem.

Ogarnęły ją nagle wątpliwości, że może postępuje źle, nie uprzedzając Stefana i idąc sama na sprawę. Może będzie niezadowolony, ujrawszy ją wśród publiczności? Może sprawi mu tym ból? Ale trudno. Czują, że chęć ta jest silniejsza od niej. Że musi zobaczyć tę kobietę, która przyprawiła ją o tyle bezsennych nocy. Musi się przekonać na własne oczy, czy rzeczywiście jest tak piękna, tak niepokojąca urodą, o której pisali i mówili wszyscy: wszyscy, prócz Stefana Kaniewskiego. Tak, przypominała sobie najwyraźniej, że on, który rozmawiał przecież tyle razy z Domową podczas śledztwa, nigdy ani słowa nie mówił Eli o jej urodzie, a pytania w tym względzie zbywał jakimś krótkim zdaniem.

Ela czuła, że musi zobaczyć w jednej sali tę Domową i jego, Stefana. Musi się przekonać, choćby serce miało jej wyskoczyć z piersi, choćby miała umrzeć tam z żalości, jak Stefan patrzy na tę kobietę. Optymistyczna jej natura podsuwała jej natychmiast przypuszczenie: „A może właśnie tam na miejscu przekona się, że to tylko urojenia i że Stefan interesuje się nią zawodowo i tylko zawodowo?”

U zbiegu Nowego Świata i Alei Trzeciego Maja, Ela wsiadła w tramwaj, jadący w stronę sądu. Gdy wóz znalazł się na Miodowej, musiał się zatrzymywać co chwilę, taki tam panował natłok samochodów, dorożek i taksówek.

Jakiś pan, siedzący naprzeciw Eli, powiedział, wskazując przez szybę na ten natłok:

– To wszystko jedzie tę zbrodniarkę w sądzie oglądać.

– Jakie to ludzie dziś są, moja pani – powiedziała jakaś jejmość w odpowiedzi na tę uwagę – jak by żywym ogniem przypiekali, też by szli patrzeć.

– Należy jej się, należy przypiekanie – powiedziała jej sąsiadka w chustce na głowie. –

Żeby z kochankiem razem męża zakatrupić, to już trzeba dobrą być zbrodniarką.

Tramwaj zatrzymał się przed gmachem sądu.

Ela wysiadła i natychmiast znalazła się w morzu głów stłoczonych przed sienią sądową. Kilku policjantów i pokaźna liczba woźnych sądowych z trudem robili porządek w tym tłumie, przepuszczając tylko za przepustkami. Na schodkach obślizgłych od błota popychali się, tłoczyli, bili łokciami zaciętrzewieni, czerwoni i zgrzani, gorzejący z ciekawości ludzie.

Potrącana, szturchana, popychana, znalazła się Ela wśród morza głów ludzkich i torując sobie drogę, znalazła jakimś cudem wolne krzeselko, z boku pod ścianą. Usiadła i zaczęła się rozglądać dokoła. Z początku nie mogła odróżnić nic, dookoła niej siedzieli wszędzie ludzie, stali w przejściach, czekając na miejsce, klócili się, wyrwali sobie krzesła. W nozdrza jej uderzył zapach okryć ludzkich, ocierały się o nią futra, płaszcze, gdzieś z tyłu dolatywała nieprzyjemna woń potu, zapach tłumu, zwartej ludzkiej masy.

Ela myślała, po co ci wszyscy ludzie tutaj przyszli. Przecież tylko nieliczni związani byli w jakiś sposób z oskarżoną, obroną lub sędziami. Większość przygnała tu ciekawość, żądza sensacji, pragnienie oglądania „pięknej Domowej”, pochwalenia się przed przyjaciółmi, że ją widzieli na własne oczy.

Po dłuższej chwili Ela zaczęła odróżniać poszczególne twarze w tłumie i przedmioty, znajdujące się na sali sądowej. Uderzyła ją dziwnie nędzna atmosfera tej sali; wszystko wydawało jej się ubogie, szare, małe. Zdawało się Eli, że znajduje się gdzieś na głębokiej prowincji, w jakimś prowincjonalnym urzędzie. Po raz pierwszy od wielu lat znajdowała się na rozprawie. Pamiętała, że kiedyś jako mała dziewczynka była w sądzie, zabrana przez służącą, która zeznawała w tak zwanej „pyskówce” jako świadek. Ale to było już bardzo dawno, miała wtedy osiem lat. Od tego czasu nie była w sądzie. Był to dla niej zamknięty, obcy jej, daleki świat – świat Stefana Kaniewskiego. Bała się trochę tej atmosfery, ogarniała ją niesamowitym niepokojem. Teraz siedząc na twardym krzeselku, skulona, zawinięta w futro, odczuwała coś w rodzaju rozczarowania. Wyobrażała sobie, że będzie tu bardziej uroczyście, wspaniale...

Przy bocznym stole zebrali się dziennikarze z różnych pism i szybko rozkładali papier, pióra i ołówki. Ela знаła paru z nich z widzenia, niektórych osobiście. Dziennikarka z „Ilustrowanego Gońca” rozmawiała żywo z jednym z adwokatów. Ela przypomniała sobie, że Michał wspomniał jej kiedyś, że ci ludzie mają się ku sobie. Spojrzała na twarze ludzi. Były przeważnie rozgorączkowane, ciekawe, pełne zainteresowania. Szepty i rozmowy stawały się coraz głośniejsze.

Ela pomyślała sobie, że tłum ludzki jest czymś okrutnym i bezwzględny. Przecież wśród tych ludzi znajdują się na pewno bliscy oskarżonej, przecież jej najbliżsi przeżywają teraz właśnie chwile niewypowiedziane ciężkie. Jakież to potworne, że tyle osób jest świadkami ich mąk, tyle obojętnych, żadnych sensacji osób. Wielki krucyfiks na stole sędziowskim dziwnie klócił się z nastrojem sali. Przeważały kobiety, a właściwie nie kobiety tylko kobietki.

Umalowane, w pięknych futrach, zagadane, zaplotkowane, siedziały jak w sali teatralnej, w oczekiwaniu podniesienia w górę kurtyny. Biła od nich mocna woń perfum i jakiś nieuchwytny zapach dobrze wypielęgnowanych ciał. Obok nich młodzi ludzie – tak zwane bubki, uganiające się za ploteczkami i sensacjami, zbyt dobrze ubrani, wypomadowani i wyświeżeni. Prócz tego typu ludzi widziała i innych. I tu przeważały kobiety. A więc obok dobrze ubranych kobietek widziała babiny w czarnych salopkach i wyrudziałyh czarnych kapelusikach, jakieś kobiety w chustkach, niektóre z dziećmi na ręku, robotników – zapewne z fabryki w Moranach, służące, ubrane w odświętne niedzielne suknie – i wiele innych osób. Parę rzędów przed Ela siedziała jakaś starsza dama, czarno ubrana, co chwilę wycierała chusteczką oczy.

„To pewnie ktoś z rodziny”, pomyślała Ela. „Jakież to straszne. Ile trzeba przecierpieć w życiu. Oczekiwanie na wyrok sądowy, oczekiwanie na wynik niebezpiecznej operacji... „

Kiedyś, kiedy jeszcze studiowała, przysięgała sobie po zdaniu ostatecznych egzaminów, że już nigdy nie będzie zdawała w życiu żadnego egzaminu. Ale potem, kiedy stała się naprawdę dorosła, zrozumiała, że właściwie przez całe życie zdajemy jakiś egzamin, że zawsze oczekujemy jakiegoś rezultatu, który czasami jest wyrokiem śmierci lub życia. Wyrok śmierci! Mój Boże, te twarze pełne zawziętości i nienawiści i ten Chrystus rozpięty na krzyżu. Czy to możliwe, aby ludzie emocjonowali się na takim procesie jak w teatrze, czy możliwe, aby żądni byli ludzkiej krwi? Nawet jeśli zawiniła, to także?.. „

– Kiedyż się już zacznie? – mówiła za jej plecami jakaś rozkoszna damulka o utlenionych loczkach w karakułowym futrze, pachnącym perfumami Guerlin – po cóż każą nam tak długo czekać... Czy widziałaś Garlickiego z „Codziennego Głosu”? No, ten przystojny, przy stole dziennikarzy. Kłaniał mi się. No, patrz, ten...

– E, dajże mi spokój... Chcę tylko widzieć Domową. Taka jestem ciekawa, czy rzeczywiście taka ładna jak mówią, bo ludzie lubią przesadzać. Mówiła mi Wanda, która widziała jej fotografię, w chwili, gdy wsiadała do karetki więziennej, że ma krzywe nogi, ale powiadam ci, kompletnie krzywe.

Ela, nie odwracając głowy, słuchała każdego słowa. Z boku, po prawej stronie, trzy damulki w salopkach gadały bez przerwy.

– Miałam tu obok sprawę, rozumie pani o trzepanie dywanów, byłam świadkiem, więc sobie myślę, może mnie tu wpuszczą... ale nie chcieli, więc im powiedziałam...

– Powiadam pani – przerwała druga – że tylko chcę doczekać, żeby tej zbrodniarce w twarz spojrzeć, tak bym jej plunęła w twarz, tak bym jej do słuchu powiedziała parę słów, bo ten sąd to się tylko z nią bawić będzie, a według mnie, to od razu bez sądu skazać taką... /

Ela poczuła się tu nagle strasznie obco. Pragnęła zobaczyć choć z daleka Stefana, który tu na tym gruncie był przecież u siebie. Przypomniała sobie, jak to w dniu premiery Michała, siedziała obok Stefana w teatrze i wtedy on był jakiś dziwnie przygnębiony i obcy, a wszyscy dokoła byli jej dobrymi przyjaciółmi, czuła się tam, jak u siebie.

Przez salę przeszedł szmer.

– Dornowa, . Domowa – słycać było ze wszystkich stron.

Pod eskortą dwu policjantów na salę sądową weszła drobna, szczupła kobieta.

Eli wystarczyło jedno spojrzenie, rzucone na oskarżoną, by wiedziała już wszystko. Tak, była piękna. Nie było przesady w tym, co o niej mówiono. Była więcej niż piękna: miała urok, coś nie dającego się określić, a szarpiącego za serce.

„Ta kobieta z pewnością zrobiła wrażenie na Stefanie” – taka była pierwsza myśl Eli.

Z trudem oderwała wzrok od Domowej, która rzuciwszy zalęknione i szybkie spojrzenie na przepelnioną rozciekawionymi twarzami salę, usiadła na ławie oskarżonych i natychmiast spuściła oczy na splecione na kolanach dłonie. Siedzący przed Domową adwokat Zalewski, który Eli wydał się dziwnie zmieniony w fałdzistej todze, odwrócił się ku oskarżonej i pochyłony nad nią, długo jej coś opowiadał. Skinęła kilka razy swą kształtną główką, a potem znowu patrzyła na swe dłonie.

Ela zaczęła się znowu przyglądać sali. Dopiero teraz szukała wzrokiem Stefana. Nie spostrzegła go dotychczas, a pewna była, że znajduje się już w sądzie. Przesunęła więc wzrokiem po ławach dziennikarskich, na których już rozpoczęła się praca. Ołówki i wieczne pióra biegały po papierze. Piszący podnosili co chwilę głowy, patrzyli na siedzącą na wprost nich oskarżoną i pisali.

„Piszą zapewne: „na salę wprowadzono oskarżoną, jest czarno ubrana, spokojna, siedzący przed nią obrońca, mecenas Zalewski... „ – pomyślała mimo woli Ela.

I nagle, gdy tak błędziła wzrokiem po natłoczonych głowach ludzkich, drgnęła, coś się w niej załamało, coś jęknęło jak rozbity dzwon.

Zobaczyła Stefana. Siedział przed drewnianą barierką, oddzielającą publiczność od sądu, na ławce, na której siadają po złożeniu zeznań świadkowie. Od Domowej oddzielała go tylko pusta przestrzeń posadzki. Siedział sztywno wyprostowany, jak gdyby nieobecny na tej sali. Patrzył nieruchomo w jeden punkt. Punktem tym była ława oskarżonych. Patrzył nieruchomo, ale wyraz jego twarzy był pełen tak bolesnego naprężenia, że Ela zadrżała. Jakże dobrze znała ten bolesny rys koło jego ust, który pojawiał się w chwilach największego naprężenia jego duszy, w chwilach, gdy był jednocześnie czymś do głębi rozczulony i poruszony. Elę zawsze wzruszał ten wyraz jego twarzy, ale dotychczas ona i tylko ona wywoływała u niego takie stany. A teraz tak właśnie patrzy na tamtą, obcą kobietę... Na oskarżoną Domową.

W jednej chwili wszystkie przypuszczenia, wszystkie odganiające w ciągu wielu długich tygodni z takim trudem podejrzenia, wszystkie dręczące ją w czasie bezsennych nocy obawy, stały się rzeczywistością. Ela wiedziała już, że przecucia jej nie myliły. Że przyczyną zmiany stosunku do niej była tylko ta kobieta.

Ale ta pewność, zamiast ją doprowadzić do wybuchu rozpacz, raczej ją uspokoiła. „Przynajmniej teraz wiem, przynajmniej wiem całą prawdę” – powtarzała sobie w myślach.

Jednocześnie naszło ją inne uczucie. Żal jej się zrobiło Stefka na myśl o tym, jak bardzo

musi się dreńczyć, czując, że to on zaprowadził tę kobietę na ławę oskarżonych, że była chwila, kiedy miał jej los w swym ręku i że nic dla niej nie uczynił... Patrzyła jeszcze wciąż w twarz Stefana, utkwioną z takim napięciem w błdziutkiej twarzyczce Domowej, gdy poczuła, że ktoś delikatnie dotyka jej ramienia. Obejrzała się. Koło niej stał Michał.

– Elu – szepnęła cicho – czy nie sądzisz, że lepiej by było, gdybyś nie zostawała na tym procesie?

Podniosła na niego oczy i zobaczyła, że i on wpatruje się w Stefana i że on widzi to samo, co ona. Fala rumieńca zalała jej policzki. Wstyd jej się zrobiło, ze swego upokorzenia. Nie zdążyła odpowiedzieć Michałowi na jego pytanie, gdy on dodał:

– Panu Kaniewskiemu może być bardzo przykro, widząc cię tutaj... Czy nie chciałabyś mu tej przykrości oszczędzić?

Więc Michał wiedział wszystko. Przecztał swoją niezwykłą intuicją, zrozumiał bez jednego słowa wytłumaczenia. Poczuła do niego głęboką wdzięczność za to, że nie trzeba mu nic mówić.

Jednocześnie zaczęła się zastanawiać nad słowami Michała. „Stefanowi będzie przykro... „ Ależ tak, tak. Prócz śmiertelnego lęku o tamtą kobietę, prócz wyrzutów sumienia, które go drenczą, będzie jeszcze przeżywał niepokój o nią, o Elę. Bo przecież wie, że mu jeszcze na niej zależy, że jest przywiązany...

„Nie, to przynajmniej mu jestem winna... Tego muszę mu oszczędzić” – pomyślała gorączkowo.

Wstała z takim trudem zdobytego krzesła i biorąc Michała za rękę, powiedziała szybko:

– Chodźmy stąd, Michałku. Prędko, zanim sąd wejdzie.

Ludzie wokoło ze zdumieniem patrzyli na parę, opuszczającą widowisko, zanim się jeszcze rozpoczęło.

– Musiało się jej słabo zrobić – mówiła jakaś kobieta.

– Cóż dziwnego, taki zaduch...

Ela i Michał z trudem torowali sobie drogę ku wyjściu, przeciskając się niemal łokciami przez ciżbę.

Gdy byli już przy drzwiach, rozległ się uroczysty, drewniany głos woźnego sądowego:

– Proszę wstać, sąd idzie.

I zaraz potem usłyszeli huk odsuwanych krzeseł i rumor nóg wstających z ław.

Ela nie odwróciła nawet głowy. Szybko wysunęła się na korytarz i biegła na dół po schodach, schodzonych przez tysiące stóp.

Ołówki i wieczne pióra rozbiegały się po notatnikach dziennikarzy przy stole prasowym. Sędziowie spokojnie i jak gdyby leniwie zasiadali w swych fałdzistych togach za długim stołem, na którego środku wznosił się krucyfik. Drobną kobietą na ławie oskarżonych podniosła w tej chwili głowę. Spojrzała na sędziów, potem odwróciła z wolną twarzą w stronę publiczności.

I wtedy spojrzenie jej napotkało utkwiony w nią wzrok dwojga szarych oczu, wzrok nieruchomy, bolesny.

Podniosła nieświadomym ruchem ku górze brwi, jakby ze zdziwieniem i po wargach jej przeleciało coś na kształt powitalnego uśmiechu.

W tej krótkiej chwili, przed rozpoczęciem właściwej rozprawy, kiedy w sali sądowej, zatłoczonej ludźmi było tak cicho, jak gdyby nie było w niej żywej duszy, każdy z obecnych zajęty był swoją osobą i swoimi sprawami.

Przewodniczący z pewną ciekawością wpatrywał się w postać Domowej, dziwnie maleńką za plecami adwokata Zalewskiego.

Prokurator Kordzewicz, gdyż on to był oskarżycielem publicznym w sprawie Gorzeckiego i Domowej, wodził po sali swymi oczyma ukrytymi za szklami binokli. Szukał wzrokiem żony, która wyswieżona i wyondulowana zajęła miejsce wraz z przyjaciółką w jednej z dalszych ław. Kordzewicz pomyślał przelotnie, ale nie bez lęku, że w domu będzie z pewnością awantura, bo „czyż to widziane rzeczy, żeby żona prokuratora nie miała przyzwoitego miejsca na sprawie?”...

Dwaj pozostali sędziowie rozmawiali o czymś szeptem za plecami przewodniczącego, robiąc najwyraźniej uwagi o publiczności na sali.

Adwokat Zalewski pilnie przerzucał akta, najwidoczniej zdenerwowany. Za jego plecami oskarżony Gorzecki, nieposzlakowany wygolony i jak gdyby uprzejmie uśmiechnięty, spoglądał porozumiewawczo na Dornową, której nie widział już od tyłu tygodni.

A ona? A Joanna? Od chwili, gdy wzrok jej spotkał się z utkwionym w nią spojrzeniem Kaniewskiego, zgasła i jakby jeszcze bardziej się załamała. Posłała mu łzawy uśmiech i zaraz potem, nie odpowiadając na gest Gorzeckiego, ani na żadne ze spojrzeń, rzucanych jej od stołu sędziowskiego i z sali, spuściła głowę. Tak trwała przez długie godziny procesu, cicha, zrezygnowana i jak gdyby na wszystko, co ją otaczało, obojętna.

Przewodniczący rozpoczął czytanie aktu oskarżenia. Z początku wszyscy śledzili uważnie przebieg tego czytania i poprzez gąszcz urzędowych słów i paragrafów doszukiwali się obrazów, składających się na przebieg faktów w okropny dzień zabójstwa. Ale powoli monotony głos przewodniczącego przemienił całe opowiadanie w jakieś suche sprawozdanie, którego nie sposób było wysłuchać do końca. Głos ten szemrał jednostajnie, chwilami wznosił się i chwilami opadał. Padały tu okropne wyrazy, niosące krew i śmierć, wyrazy o zbrodni, popełnionej na człowieku, który swą osobą jakoby przeszkadzał dwojgu ludziom w miłości i małżeństwie; wyrazy, kreślące przygotowania do tej zbrodni, czynione przez kobietę, która człowiekowi temu zawdzięczała opiekę, dobrobyt i nazwisko; wyrazy, opowiadające o szaleńczej miłości, jaką ta kobieta obudziła w kuzynie. Ale te wszystkie straszne, bolesne i zbrodnicze fakty ginęły w monotonii głosu przewodniczącego. Większość publiczności, która zebrała się na tej sali dla sensacji, nie potrafiła z gąszczu słów wydobyć sobie tych sensacyjnych wyrazów. Trwała więc jak gdyby w bezruchu, czekając, aż to przeminie, by

dorwać się do chwil ciekawszych.

Tylko przy stole prasowym słuchano uważnie każdego słowa i ołówki i pióra szybko biegały po papierze jak w klasie, gdy nauczyciel zbyt prędko dyktuje dyktando.

Płynęły długie chwile, a przewodniczący wciąż czytał. Dornowa nie podniosła przez cały czas głowy. Znała nieledwie na pamięć każdy wyraz tego strasznego oskarżenia. Nie rozstawała się przecież z tym stosem kartek, zapisanych maszynowym pismem w ciągu długich, samotnych godzin w więziennej celi. Wbiła sobie do głowy każdy wyraz oskarżenia jak gwóźdź, który bolał i piekł w żywym jej ciele. Nie podnosiła więc głowy. Tylko w pewnej chwili...

W pewnej chwili, przez szczelnie zamknięte wysokie okna sali sądowej, wpadł jasny promień słoneczny. Jeden z tych pierwszych promieni wiosennych, które wpadłszy przez szybę do pokoju, sprawiają wrażenie, że na dworze panuje już niepodzielnie wiosna i które każą się dziwić, że do okien zaglądną jeszcze nagie konary drzew zimowych.

W tej chwili Joanna podniosła głowę i spojrzała w okno. Wyciągnęła nawet nieznacznie dłoń, by poczuć ciepło tego promienia. I wtedy pamięć, która objawia się człowiekowi w zagadkowy sposób, podsunęła jej niemądre wspomnienie. Ujrzała siebie jako małą Joasię w pensjonarskim fartuszkach, w sztywno splecionych warkoczach, jak stoi na środku klasy i deklamuje wiersz Konopnickiej „Przed sądem”: „Blady, wychudły, z oczyma jasnymi... „ Tak i w tym wierszu było właśnie o promieniu, który przez okna sali sądowej wpada na głowę oskarżonego „Jakby Bóg gładził włosy jego płowe... „ Wargi Joanny poruszyły się bezwiednie: „Jakby Bóg... „ Z jakim przejęciem deklamowała wówczas ten wierszyk o biednym sierocie w „bezlitosnej sali sądowej łez ludzkich głodnej... „

A potem nagle napłynęło inne wspomnienie, także z tym związane. Pewien prześmieszny wieczór, tam wysoko na rue d'Assas, na paryskim poddaszu. Siedzieli wtedy ze Stefką cały wieczór przy oknie, deklamując wiersze, znane sobie z dzieciństwa. Mówili je szybko, przekrzykując się wzajemnie, nieledwie bez tchu, by pokazać jedno przed drugim, że pamiętają, że umieją. I właśnie, gdy Joanna deklamowała z przejęciem „Przed sądem”, Stefan chwycił ją w ramiona i przerwał jej pocałunkami. „Czekaj, czekaj” – wołała ze śmiechem. – „Przerwałeś mi w najładniejszym miejscu. Czekaj... „i chyba tylko promyczek ten złoty, co mu przez okna upadał na głowę... „ I w zduszonym pisku dodała wśród jego pocałunków: „Jakby Bóg gładził włosy jego płowe... „

Promień słońca zgasł szybko i w sali sądowej zapanowała ta sama co przedtem, szara, nieruchoma atmosfera. „Myśl ludzka to zabawna rzecz”, pomyślała Joanna. „Jeden promyk słońca i takie wspomnienia... „

Adwokat Zalewski odwrócił się ku niej i o coś zapytał. Odpowiedziała machinalnie, a podnosząc ku niemu twarz, ujrzała raz jeszcze na drugim planie za jego plecami w fałdzistej tozde Stefana. Nie patrzył teraz na nią. Głowę miał pochyloną i podpartą na dłoni. Patrząc na niego, nie poznałoby się teraz, po co tu przyszedł. Robił wrażenie sędziego śledczego, który



przez ciekawość przyszedł na sprawę badanych przez niego oskarżonych. To wszystko.

Głos przewodniczącego, z lekka ochrypliły od długiego czytania, dźwięczał coraz ciszej i coraz bardziej monotownie.

Wreszcie umilkł. Na sali zapanowała krótka cisza.

– Teraz nastąpi badanie świadków, niech się pani nie denerwuje – powiedział cicho adwokat Zalewski.

Joanna skinęła w milczeniu głową.

Publiczność, tłumnie zebrana na sali, była chwilami rozczerowana. Spodziewała się bardziej interesującego przebiegu rozprawy. Po wysłuchaniu nużącego aktu oskarżenia, nastąpiło przesłuchanie świadków. Świadkowie oskarżenia zeznawali długo i nie zawsze interesująco. Pięknie uperfumowane damy ziewały potężnie i szeptały z przyjaciółkami. Oskarżona Dornowa siedziała wciąż z nisko pochyloną głową tak, jak gdyby każde zeznanie spadało na nią, jak nowy cios. Zdawać się mogło, że ta drobna kobietka nie zniesie tylu walących w nią ciosów, że to niepodobieństwo, aby jedna, słaba kobieta, mogła aż tyle znieść.

Zeznawał służący Józef. W odświętnym garniturze, z wypomadowanymi wąsami! stał ze splecionymi rękami, najwidoczniej silnie zdenerwowany i przestępował z nogi na nogę.

– Nazwisko?

– Józef Plichta.

– Wiek?

– A... będzie już sześćdziesiąty.

– Zawód?

– Służyłem za lokaja. Od dwudziestu lat w Moranach.

– Proszę opowiedzieć wszystko, co świadek wie o owym tragicznym dniu, kiedy to wasz pan został zamordowany.

Józef zaczął opowiadać. Drżącym głosem, zacinając się, przerywając, opowiadał tak, jak pamiętał.

– ... Parno było i na burzę się zbierało... Mnie to przy tym nieszczęściu nie było... Bo tak: pani mnie po obiedzie zawołała i Józefie, powiada, możecie wyjść, Józefie, i spieszyć się także nie potrzebujecie... macie dosyć czasu. Pójdźcie do miasteczka, bo trzeba załatwić różne rzeczy...

– Czy często pani posyłała was do miasteczka?

– No, tak bardzo często to znowu nie, ale zdarzało się.

– Co tydzień?

– No, czasami co tydzień, ale czasem i rzadziej. Czasami przez miesiąc siedziałem, chyba, że sam chciałem pojechać coś dla siebie załatwić...

– Ach, tak. A właśnie tym razem tylko pani was posyłała, czy także i pan?

– Tym razem to tylko pani. Pan położył się spać po obiedzie. Nieboszczyk pan zawsze się lubiał trochę położyć po jedzeniu.

– A co było z psem, czy świadek dobrze pamięta, co pani mówiła o psie?

– A jakże, powiedziała, że biedaczysko ma za mało ruchu, żeby go wziąć ze sobą. Więc zabrałem.

Po sali przeszedł szmer.

– A czy wasza pani często was prosiła, żebyście z psem szli na spacer?

– No, nie można powiedzieć. O psa zawsze dbała. Ale częściej Magda Pękalanka wychodziła z nim. A bardzo często to sama pani, albo pan nieboszczyk spacerował z Rolfem.

– Czy Rolf jest czujnym psem, czy szczeka ęa każdego, kogo nie zna?

– O, to mądre psisko.

– Czy gryzie?

– Zdarza się, że gryzie. Kiedyś to pogryzł jedną dziewczynę ze wsi, to ją do takiego instytutu musieli odwieźć, co jej tam zastryk robili.

– A czy świadek może nam powiedzieć, jak częstym gościem był w domu państwa Dornów pan Gorzecki?

– O, pan Gorzecki to był jak z rodziny. Często przyjeżdżał. Czasami na krótko, czasami nawet na parę miesięcy zostawał.

– A kiedy po raz ostatni był pan Gorzecki w Moranach?

– Zaraz po świętach Wielkiej Nocy, to będzie ostatni raz. Potem już go w Moranach nie widziałem.

– A owego nieszczęsnego dnia?

Józef wzruszył ramionami.

– Ja go tam nie widziałem. Chyba, że się gdzie ukrył. Starsza pani, to niby jego matka, pani Gorzecka, haftowała w swoim pokoju na górze, kiedy ją zawołali, że to nieszczęście się przydarzyło.

– A powiedzcie mi jeszcze, jak państwo ze sobą żyli? Czy w zgodzie? Czy nigdy kłótni między nimi nie było? Przecież tyle lat mieszkaliście razem z nimi – Kłótni nigdy żadnych nie było. Nieboszczyk był spokojny człowiek, nigdy głosu nie podnosił, nawet na ludzi. Jak coś przeciw komu miał, cicho mu powiedział. A pani... Zatrzymał się. Trochę zalęknione spojrzenie rzucił na skuloną drobną postać w czarnej sukience. – ... Pani dobra była... Nie kłóciła się... Czasami tylko trochę smutna. Czasem bywało, że sobie gdzieś trochę popłacze po kątach. „Przykrzy mi się, Józefie” – mówi – „pojechałabym gdzieś trochę, bo mi się czasem przykrzy”.

– Czy skarżyła się świadkowi, że jej źle z mężem?

– Nie, tego nigdy nie mówiła. Ale kto ma takie dobre oczy jak ja i kto tyle lat w jednym domu mieszka, sam to zobaczy. Jak kobieta szczęśliwa z mężem, to przecie nie płacze i nie mówi, że się jej przykrzy, choćby nie wiem, gdzie mieszkała.

Po Józefie zeznawała Magda Pękalanka. Jej dorodna postać, hoża, rumiana twarz, odświętny niedzielny strój wzbudziły ogólną sensację.

Ubrana była w granatową wełnianą suknię, czarny płaszcz z kołnierzem, naśladowującym skunksy, na głowie miała jaskrawoczerwony, aksamitny kapelusz z piórkami. Robiła wrażenie, jak gdyby sąd i tłumnie zebrana publiczność nic jej nie obchodzili. Nie była ani trochę zmieszana, twarz jej miała wyraz pewny siebie, a nawet arogancki.

Podparła się rękami pod boki i mówiła głośno i wyraźnie, z lekka akcentując wyrazy z chłopska.

– Imię i nazwisko.

– Magda Pękala.

– Wiek?

Magda zastanawiała się chwilę.

– Będzie dwadzieścia, tak mówią rodzice.

– A jak jest w metryce?

– W metryce to stoi, że się urodziłam w 1913 roku.

– No, to macie dwadzieścia trzy lata.

– Zajęcie?

– Służę we dworze.

– Co możecie powiedzieć o pani i panu?

– Pan nieboszczyk to był bardzo dobry. – A pani?

– Pani także.

– To dlaczego mówiliście, że tylko pan?...

– A bo jak kto jest w służbie, to zawsze woli pana... Bo pan mniej się wtrąca do gospodarstwa...

Na sali zaczęto się śmiać.

– A jak to było owego dnia, kiedy pan został zabity?

I znowu widmo owego fatalnego dnia wypłynęło na salę. Znowu czas się cofnął i nastał upalny, parny, duszny majowy dzień w Moranach.

Zeznania domowników domu Dornów w Moranach sprawiały oskarżonej Joannie Domowej niewymowną przykrość bez względu na to, czy były pomyślne, czy wrogie dla jej sprawy. Miała oto uczucie, że jakieś obce, brutalne ręce otworzyły ściany jej zaciszego domu i wyrzuciły na zewnątrz przed oczy rozciekawionej gawiedzi wszystko to, co się w ich zaciszu w ciągu długich lat kryło.

Mieszkając w ciągu dziesięciu lat w cichym domu morańskim, Joanna wiodła tryb życia na pozór opanowany i spokojny. Nikt nie wiedział, co się działo w jej duszy, nikt, nawet ten chłodny i poprawny mąż, żyjący u jej boku. Tak się jej przynajmniej zdawało. I oto przyszło jedno zdarzenie, jeden wystrzał z rewolweru, który zmaćił raz na zawsze całe jej życie, przewrócił je, zmienił zasadniczo i co gorsza pokazał je całemu światu.

Gdy w dusznej, przepełnionej tłumem sali z ust starego służącego padły wyrazy o tym, że widział często jej łzy, Joannę ogarnęło uczucie zdziwienia. Nigdy nie podejrzewała

dotychczas, że osobą swą zwraca uwagę kogoś z domowników. Ale nie był to jeszcze koniec jej zdziwienia, każde następne zeznanie przynosiło jakąś niespodziankę. Zawsze uprzejma i pogodna Magda tu, nagle w sali sądowej, wydawała jej się dziwnie obca i wroga. Przez krótką chwilę jej zeznań, wydała się Joannie nagle całkiem inną istotą, niż ta, z którą przez lat kilka stykała się w swoim własnym domu.

Zastanowiły ją też dziwnie podejrzliwe pytania adwokata, skierowane do Magdy i dotyczące jej stosunku do zmarłego Dorna. Po raz pierwszy do serca Joanny wkradło się wątplenie. W pytaniach adwokata i wymijających odpowiedziach Magdy, zrodziło się jakieś ziarno podejrzania: jak to, czyżby Marian i ta prosta dziewczyna? Z natężeniem zaczęła przypominać sobie Joanna każde spojrzenie, rzucone przez męża na pokojówkę. Ta myśl dręczyła ją, ale nie napełniała rozpaczą. Wszystko było jej teraz obojętne, wobec nieszczęścia, które na nią spadło, wobec faktu, że siedzi teraz oto na ławie oskarżonych, sądzona o zadanie śmierci mężowi. A zwłaszcza wobec tego faktu, że jedyny człowiek, na którym jej zależy, człowiek, który mógłby być całym jej życiem, również wierzy w jej winę.

Przed drewnianą barierką, oddzielającą salę od stołu sędziowskiego, stawał jeden świadek za drugim. Wszystko bliscy, dobrze znajomi Joannie ludzie.

Bliscy, a w tej chwili tak dalecy, tak obcy, tak straszni w gorliwości odsłaniania wnętrza jej domu.

Przymknęła powieki. Była zmęczona, tak bardzo zmęczona tym, co z nią od tyłu miesięcy robiono, zmęczona tą nieustanną szarpaniną. Przez głowę przebiegła jej myśl: „Czemu to nie można przywołać raz jeszcze prawdy tego, co się stało? Całej prawdy w jej wszystkich szczegółach, nie skażonych przez ludzką pamięć, ludzką wolę i ludzkie usta?”

Spojrzała z ukosa na Gorzeckiego, który tuż obok niej siedział na ławie oskarżonych. Twarz jego była nieruchoma, jak wykuta z kamienia. „Co sobie myśli ten człowiek, z którego powodu wplątałam się oto w rzeczy tak straszne?” I nagle, po raz pierwszy od chwili, gdy usłyszała odgłos morderczego strzału w pawilonie ogrodowym, Joannę przeszła dziwna myśl: „A co, jeżeli to nie Gorzecki zrobił? Jeżeli komponując sobie ową wersję, która go ochraniała, rzeczywiście mówiłam częściowo prawdę? Co, jeżeli jest jeszcze jeden ukryty przed oczyma wszystkich prawdziwy zabójca?” Myśl ta przyszła nagle, na skutek jej rozmyślań o tym, czemu to Gorzecki tak uporczywie wypiera się udziału w zbrodni, mimo że wszystko świadczy przeciw niemu. Ale odrzuciła ją szybko jako niemożliwą.

Przecież zaraz po wystrzale nadbiegła Magda, musiałyby więc spotkać prawdziwego zabójcę, gdyby taki był i uciekł? Ale Magda nie widziała także i Gorzeckiego, więc...

Dornowa podniosła głowę. Zdawała sobie sprawę z tego, że pograżyła się w rozmyślaniach, podczas gdy przed sądem zeznawał właśnie jakiś świadek Gorzeckiego. Monotonne pytania sędziego i krótkie zaleźnione odpowiedzi świadka odbijały się jej o uszy, ale nie zostawiały żadnego głębszego śladu. Znowu poczuła szalone, bezbrzeżne znużenie. Poczwała, że jeden z sędziów patrzy na nią badawczo. Spojrzała ku niemu i odwróciła

niechętnie głowę. Od chwili, kiedy spadło na nią to wielkie nieszczęście, przyzwyczała się już do spojrzeń ludzkich drapieźnych, ciekawych, ironicznych, drwiących, karcących a niekiedy pełnych współczucia.

Sędzia, który patrzył tak bacznie na Domową, siedział z lewej strony przewodniczącego. Był to blondyn, o krótko przystrzyżonych wąsikach, tęgawy, w średnim wieku. Jeden z sumiennych, spokojnych i obojętnych urzędników. Widok tej pięknej i pełnej uroku młodej kobiety, która w pewnej mierze zależała teraz od niego, od jego przeświadczenia, jego woli i jego wyroku, budził w nim szczególne uczucia. Nigdy jeszcze takich uczuć nie doświadczał. Zdawał sobie jasno sprawę z tego, że takie uczucia musiały ogarniać panów na widok pięknych niewolnic. Zdawał sobie także sprawę z tego, że powtarza w myśli w sposób dość dziecinny: „Ode mnie, od tego co ja powiem, zależy w tej chwili całe życie tej pięknej, młodej kobiety, kobiety, o której łaski ubiegało się zapewne w życiu dziesiątki mężczyzn na stanowiskach, mężczyzn, posiadających władzę i pieniądze”. Ta myśl była mu przykra, a jednocześnie w specjalny sposób mu pochlebiała.

Joanna nie wyczytała tego wszystkiego ze skierowanych na nią oczu. Odwróciła głowę. Jeszcze kątem oczu widziała głowę prokuratora, pochyloną nad stołem i jego rękę, bawiące się nerwowo ołówkiem, widziała także pióro sekretarza, spisującego protokół, jak biegało szybko po papierze, twarz przewodniczącego, zwróconą ku zeznającemu świadkowi. Bała się tylko spojrzeć w stronę publiczności, by nie zobaczyć znowu Stefana. Czuła, że ten widok ją osłabi ostatecznie.

Ale w tejże chwili z rozmyślań, w które coraz więcej wpadała, zbudził ją głos przewodniczącego, który donośnie powiedział:

– Świadek Anna Przyboszówna.

Hanka Przyboszówna była jednym ze świadków, których zażądał obrońca Domowej, adwokat Zalewski. Wypytyując Joannę, jakie były w Moranach osoby, które można by zaliczyć do miejscowej inteligencji, dowiedział się o osobie nauczycieli i mimo że Joanna twierdziła, iż nauczycielka bywała u niej rzadko i niewiele do sprawy dorzuci, Zalewski spodziewał się, że jednak jej zdanie coś zaważy.

Hanka Przyboszówna dostała więc pewnego lutowego dnia na wsi wezwanie na świadka. We wsi nie dziwiono się temu wcale, gdyż wiele osób miało już te same papierki, jak mówił stary Józefy, „po – wiestki”.

Hance wezwanie to sprawiło dużą przykrość. Nie była w Warszawie od czasu, gdy w tak tragiczny sposób opuściła miasto, pojawiwszy, że brat już raz na zawsze dla niej stracony. Nie była i nie pragnęła wcale tam przyjeżdżać. Prócz tego przerażała ją perspektywa sądu, bała się widoku biednej Domowej, którą – była o tym w głębi duszy przekonana, – skrzywdzono strasznym oskarżeniem o zbrodnię.

Ale trudno. Nic nie można było poradzić. Przyjechała do miasta na dzień przed sprawą i mając całe popołudnie wolne, pomyślała, czy nie mogłaby go zużyć na dowiedzenie się

czegoś o bracie. Może jednak coś się zmieniło. Może wstydzi się tego, co między nimi zaszło i dlatego się do niej nie odzywał. Przypomniała sobie tę mizerną dziewczynę z dancingu na Chłodnej i postanowiła pójść do baru „Pod Różą”. Jeżeli Ludka nic nie wie o Franku, to nie będzie już więcej go szukała.

Ale w barze powiedziano jej, że Lucy już od paru miesięcy tu nie pracuje.

– Z niej teraz wielka dama, hoho – powiedział gospodarz – rozjeżdża samochodem we wspaniałych futrach. Jeden ją stąd zabrał i damę z niej zrobił. Szykowny facet.

To nie Franek – pomyślała smutnie Hanka, i przed oczyma jej przesunęła się straszna, zarośnięta twarz pijaka i nędzarza. Takim był teraz jej brat Franuś, gdzie mu tam do szykownego pana.

Wyszła na ulicę Chłodną i idąc w kierunku Elektorальной myślała:

– A ta Ludka tak niby go kochała, tak była przywiązana i poszła z pierwszym lepszym, szykownym.

Ogarnął ją głęboki smutek, który nie opuszczał jej cały ten wieczór i cały następny ranek, kiedy szła do sądu na sprawę.

Widok przepelnionej publicznością sali, uroczystego sądu w togach, a nade wszystko widok Joanny Domowej, tak zmienionej i tak maleńkiej w ławie oskarżonych między dwoma strażnikami, zrobił na Hance przejmujące wrażenie. Ta pani Dornowa, która w pałacu morańskim wydawała się jej nieskończenie ważną, niemal najważniejszą na świecie osobą, tutaj była jakimś łachmanem ludzkim, biedactwem drżącym i skulonym.

Spojrzała ku niej ze współczuciem i zobaczyła, że Dornowa uśmiecha się do niej na powitanie. Odpowiedziała jej jasnym uśmiechem na swej szczerzej, poczciwej twarzy.

A potem nastąpiły pytania, zadawane przez sędziego, pytania, na które Hanka starała się odpowiadać szczerze, ale z rozważnym skupieniem, nie chcąc ani jednym słowem szkodzić pani Domowej, którą tak bardzo lubiła. Opowiadała więc o swych wizytach we dworze, o tym co na wsi mówiono o Dornach.

– Kto najczęściej, rozmawiał z panią o domu Domów?

Hanka namyśliła się chwilę, a potem powiedziała:

– Chyba Magda Pękalanka, która była tam pokojówką. Wpadała dość często do nas.

– Do kogo, do „nas”? – spytał sędzia – czy pani nie mieszkała sama?

Hanka na krótką chwilę zmieszana się, a potem powiedziała:

– Przyjeżdżał do mnie dość często mój brat z Warszawy, Franciszek Przybosz.

– Ach tak, – powiedział sędzia – i do niego również przychodziła panna Magda?

– Tak, mój brat uczył ją, była bardzo chętną do nauki.

– A gdzie jest teraz brat pani?

Hanka zaczerwieniła się gwałtownie aż po korzenie jasnych włosów.

– Nie wiem, proszę sądu, – powiedziała z bólem – nie widziałam go już od kilku miesięcy.

– I nie pisuje do pani?

– Nie.

Przewodniczący zwrócił się do oskarżonej Domowej:

– Czy pani znała Franciszka Przybosza, brata nauczycielki?

Dornowa podniosła głowę ze zdziwieniem.

– Nie, nie widziałam go nigdy, panie sędzio.

– Mój brat nie bywał we dworze, – powiedziała Hanka szybko – wiem tylko, że znał pana Dorna, bo często chodził do cukrowni.

Z zakłopotaniem splotła swe duże, zaczerwienione dłonie na zniszczonej szubce. Była zła na siebie, że wymieniła imię brata. Po co jego płać do tej całej sprawy?

Sędzia zadał Hance jeszcze kilka pytań, kilka pytań padło ze strony adwokata i prokuratora Kordziewicza, po czym powiedziano jej:

– Jest pani wolna.

Hanka odwróciła głowę i odchodząc spojrzała raz jeszcze na Domową. Ale tym razem nie uchwyciła jej spojrzenia. Dornowa była tak zatopiona w myślach, że nie spojrzała na nią.

Patrząc uporczywie na własne dłonie, pomyślała oto Joanna coś dziwnego: że przesuwa ją przed jej oczyma wszyscy jej znajomi, wszyscy ludzie, z którymi spotykała się w życiu. „Przyszli wszyscy, jak na mój pogrzeb”, myślała z głębokim smutkiem. „Bo też jestem na własnym pogrzebie”.

I po chwili, przeleciało jej przez głowę pytanie:

– Kto w tej wielkiej pełnej ludzi sali żałuje mnie naprawdę?

Przewodniczący wymawiał już nazwisko następnego świadka.

\* \* \*

Joanna sama nie wiedziała, jak to się stało. Codziennie, wychodząc ze swej celi na sprawę, przemierzając długi dziedziniec więzienny, wsiadając do zamkniętej karetki samochodowej, obiecywała sobie, że będzie dzielna, że ani na chwilę nie stanie się widowiskiem dla żądnych sensacji tłumów. Gdy wysiadała na podwórzu sądowym, gdy widziała trzymane z daleka przez policjantów, a tłoczące się coraz bliżej, gromady ciekawych, rosła w niej jakaś dumna zaciętość, która kazała jej przysięgać sobie po stokroć, że nie pokaże po sobie nic, że nie okaże żadnego wzruszenia na twarzy.

W sali sądowej, gdzie śledziły ją beczelne oczy obcych ludzi, gdzie siedzący na wprost niej dziennikarze notowali każde drgnienie na jej twarzy, trzymała się dzielnie.

Raz tylko oczy zaszklily jej się łzami, gdy ujrzała wpatrzona w siebie nieruchome źrenice Stefana, ale była to jedna chwila. Ogarnął ją jakiś obojętny spokój, który, była pewna, nie opuści jej do końca sprawy. Wszystko to, co działo się wokół niej, przepływało mimo, jak wielkie fale koło okrętu, który płynie swoją własną drogą.

I nagle, to zemdlenie...

Zeznawała stara ciotka Gorzecka. Była jednym z późniejszych świadków, gdyż z powodu

niedyspozycji przyjechała z Moran dopiero w tydzień po rozpoczęciu procesu.

Sam już widok tej staruszki, która niekiedy przypominała jej nieżyjącą matkę, wzruszył Joannę. Gdy ciotka Gorzecka, trzęsąc się cała z płaczu, utkwiała spojrzenie swych zaczerwienionych oczu w ławę oskarżonych, na której Joanna siedziała obok jej jedynaka, Dornowa musiała użyć całej siły woli, by się nie rozpląkać.

Ale to, co potem nastąpiło, było straszniejsze. Stokroć straszniejsze. Stara pani Gorzecka, która na pierwiastkowym śledztwie tak dzielnie broniła Joasi, dopóki nie wmieszano w tę sprawę jej syna, teraz zmieniała się zasadniczo. Od chwili, gdy dowiedziała się, że jej Edzia oskarżono o zabójstwo, przemieniła się w lwicę, broniącą swego maleństwa. Zapomniała o wszelkich względach dla Domowej, z której gościnności i dobroci tyle lat korzystała. Wiedziała tylko jedno. Przez tę kobietę jej jedynak został wplątany w straszliwą sprawę, wplątany niewinnie, gdyż Gorzecka wierzyła słowom swego chłopca, który podczas wszystkich widzeń zapewniał matkę, że to jakaś okropna pomyłka i że on nie zabił Mariana Dorna. Zdawało się biednej, przerażonej staruszce, że gdy zostanie dowiedziona wina Domowej, tym samym jej syn będzie oczyszczony i nie wahała się oskarżać Joasi z całą bezwzględnością.

Na pytanie przewodniczącego o charakter Domowej, Gorzecka odpowiedziała:

– Panie sędzio, Joanna była bardzo kapryśna, miała chwile, gdy wpadała w gniew i urządzała awantury. Dla męża też nie zawsze była dobra...

Adwokat Zalewski dal znak, że chce zadać pytanie.

– Na śledztwie mówiła pani – ' rzekł patrząc w akta – że oskarżona Domowa „nie potrafi skrzywdzić muchy”, a teraz mówi pani całkiem coś odmiennego. Jakże to się stało, że pani tak zmienia zdanie?

Gorzecka, nie patrząc w stronę adwokata, gdyż za jego plecami widniała przecież bledziutka twarzyczka Joasi, powiedziała szybko:

– Nie pamiętam, żebym tak mówiła...

– Ach, nie pamięta pani... – rzekł znacząco Zalewski.

– A na czym polegał zły stosunek oskarżonej do męża? – ciągnął dalej przewodniczący.

Gorzecka stała chwilę jak gdyby zakłopotana, potem powiedziała powoli:

– Czy ja wiem na czym? Ot, po prostu nie kochała go nigdy.

– Skąd pani wie, że go nie kochała?

Joanna poczuła ostry fizyczny ból w okolicy serca. „Boże”, szepnęła do siebie suchymi wargami „Boże, tylko nie to... „

Ale stara Gorzecka ciągnęła dalej, rada, że wpadła na temat, który jej zdaniem osłabi możliwość winy syna.

– Joasia nie kochała Mariana. Wyszła za niego za mąż z musu, po bankructwie jej ojca Stypniewskiego, kiedy została z matką w ciężkim położeniu. Dorn kupił Morany, był absolutnym panem tych dwu kobiet... A że oświadczył się o Joasię...



– Czy oskarżona mówiła kiedykolwiek, że wyszła za mąż za Dorna z musu?

– Mówić nie mówiła, ale ja i tak wiedziałam. Joasia miała przedtem narzeczonego, którego kochała i z którym zerwała dla małżeństwa z Dornem.

Kroplisty pot zrosił czoło Joanny. Splotła palce tak mocno, że aż zatrzęszczały w stawach. „Nie, nie, szeptała. To się nie może stać... Ona nie powie... „ Tymczasem staruszka chwilę trzęsła głową, jak gdyby sobie coś przypominając, a potem dodała:

– Kto tam wie, może to i tamtem wrócił i zabił...

– To nie należy do rzeczy – rzekł przewodniczący. – Niech pani mi lepiej powie, kto był tym narzeczonym, którego oskarżona rzuciła dla Dorna?

Staruszka milczała. W sali panowała przejmująca cisza. Joasia słyszała tylko oszalałe bicie własnego serca. Zdawało jej się, że serce to rozkołysało się w jej piersi jak dzwon, jak potężny dzwon, który za chwilę rozsadzi całe jej, ach, jakże słabe i znużone ciało... Nie, nie, trzeba się trzymać.

Gorzecka podniosła głowę i z zakłopotaniem spojrzała najpierw na sędziów, potem na prokuratora, potem na adwokata Zalewskiego. Wszyscy wpatrywali się w nią ze skupieniem.

– Nie wiem... – powiedziała wreszcie niechętnie – nie pamiętam jego nazwiska... to tyle lat... był studentem w Paryżu, kolega Joasi, zaręczyli się tam, w Moranach nigdy nie bywał. Mówiła mi siostra Stypniewska, matka Joasi, że dopiero po ślubie z Dornem, córka powiedziała jej, że tamtego człowieka kochała i że nigdy go nie przestanie kochać, nawet będąc żoną Dorna. Stąd to wiem.

– Czy oskarżona korespondowała może z owym byłym narzeczonym?

– Tego nie wiem, może i korespondowała. Dostawała dużo listów...

– Az synem pani korespondowała? – spytał nagle prokurator Kordziewicz, unosząc się nieco na krześle.

Ale odpowiedzi Gorzeckiej na to pytanie Joanna już nie dosłyszała. To wielkie, bijące w jej piersi serce, zawładnęło nią całkowicie, biło już w jej gardle, w pulsach, w skroniach, w głowie, w całym jej ciele, zalewało ją jakąś przemożną ciepłą falą. I nagle świat pociemniał jej w oczach. Sala sądowa, twarze, wpatrzone w jej twarz, zawirowały jej jak w jakimś szatańskim pędzie coraz szybciej i szybciej. Głosy mówiące dolatywały już jak przez jakąś dziesiątą ścianę. Zsunęła się w ciemność.

W tej chwili ołówki i pióra dziennikarzy zanotowały szybko suche zdanie: „Oskarżona Dornowa zemdląca. „

Sąd uznał za stosowne zarządzenie wizji lokalnej w Moranach. Chodziło o ustalenie miejsca w ogrodzie, w którym znajdował się pawilon strzelniczy, otoczenia tego pawilonu, sposobu umieszczenia szklanych drzwi i tym podobne szczegóły. Oboje oskarżonych, Gorzecki i Dornowa mieli jechać wraz z całym składem sądu na miejsce.

Joanna, dowiedziawszy się o tej decyzji, doznała wstrząśnienia. W teraźniejszym stanie jej nerwów, kiedy jak tylko mogła, zamykała się w maskę obojętności, każda zmiana była dla niej czymś wysoce niepożądanym. Bała się wzruszeń na widok miejsc, w których przeżyła tyle lat tak spokojnie, bała się owej podróży do domu rodzinnego w towarzystwie obcych, wrogich jej ludzi.

Toteż gdy owego ranka, wyznaczonego na drogę, dozorczyń przyszła do niej, by się ubierała, czyniła to niechętnie i jak gdyby ospale.

Krótką drogą w zamkniętej karetki na dworzec, potem szybkie przejście wśród zaciekawionych tłumów, zebranych przed wejściem na peron, i oto znalazła się Joanna w przedziale kolejowym w towarzystwie dwu funkcjonariuszy policji. Przez uchylone drzwi widziała, jak przez korytarz przechodzi Gorzecki i znika w sąsiednim przedziale, potem widziała sędziego przewodniczącego z małym neseserem w ręku, prokuratora Kordziewicza, który głośno i z rozdrażnieniem pytał: „Więc gdzie mamy siadać?”, wreszcie drzwi jej przedziału otworzyły się i wszedł adwokat Zalewski. Przywitała go serdecznie. Od czasu gdy toczyła się sprawa przyzwyczała się do jego zimnej, jak gdyby ironicznej twarzy, nauczyła się czytać w jego bladych oczach prawdziwe oddanie sprawie, a nade wszystko nabrała zaufania do jego wielkiego rozumu. Zalewski z niebywałym taktem odnosił się do oskarżonej. Nie uraził jej nigdy zbyt ostrym słowem, umiał zawsze w porę dodać jej otuchy, był powściągliwy, ale gdy trzeba tego było, serdeczny. Przyzwyczała się więc do tego, że jego widok wśród tylu obcych ludzi sprawiał jej ulgę i wrażenie spotkania z kimś bliskim.

– No i jedziemy, – powiedział z uśmiechem Zalewski, – czy nie trzeba pani czego tu w przedziale? Przyniosłem pani trochę pism ilustrowanych, żeby się pani czas nie dłużył.

Spojrzał przez okno i powiedział jeszcze:

– A pogodę mamy piękną, prawdziwie wiosenną.

Dornowa również spojrzała przez okno i powiedziała z bladym uśmiechem, przez który przeglądały wstrzymywane łzy:

– Tak... W Moranach będzie dziś pięknie...

Adwokat położył swą dłoń na jej ręce.

– Niech pani się tylko tym na miejscu nie denerwuje. Chodzi przecież tylko o ustalenie pewnych szczegółów topograficznych, drogi, którą mógł umknąć zbrodniarz. Da Bóg, że ta

ekspertyza lokalna da nam dobre wyniki. Tylko głowa do góry.

Dornowa uśmiechnęła się znowu z wdzięcznością.

– Panie mecenasie – powiedział jakiś głos na korytarzu – gdzie pan się podziewa?

– Jestem tutaj – odpowiedział Zalewski i wyszedł na korytarz, zamykając za sobą drzwi przedziału.

W tej chwili pociąg zakołysał się, zgrzytnęły hamulce, zabrzęczały łańcuchy i Joanna, spojrzawszy w okno, zobaczyła, że budynki stacyjne powoli uciekają w tył. Pociąg ruszył.

Dornowa oparła się o poduszki przedziału i przez chwilę przerzucała w zamyśleniu pisma, przyniesione jej przez Zalewskiego. Spostrzegła, że wybrał tylko te, w których nie było wcale mowy o jej procesie. Była mu za to wdzięczna. Przejmującą przykrość sprawiała jej każda jej fotografia, ujrzana w gazecie.

Chwilę przerzucała kartki, ale zaraz potem ośwładnęły ją z taką siłą jej myśli, że nieledwie zapomniiała, gdzie się znajduje.

Z natężeniem przypominała sobie najstraszniejszą dla niej dotąd chwilę procesu. Gdy po przerwie, którą zarządzono z powodu jej nagłego omdlenia, wróciła do sali, nastąpiło pytanie, które po zeznaniu jej ciotki Gorzeckiej było nieuniknione. Prokurator zadał je takim tonem, jakby dopiero teraz dorwał się do nowego zbrodniarza i współnika. Pytanie brzmiało:

– Czy oskarżona mogłaby nam powiedzieć, kto był tym człowiekiem, z którym była zaręczona przed ślubem z Dornem i o którym pamięć zachowała przez całe życie?

Ach, ileż trzeba było spokoju, ile opanowania, by na to pytanie odpowiedzieć tak, by nie wzbudzać żadnych podejrzeń i by, broń Boże, nie padło nazwisko Kaniewskiego. Tylko nie to! Tylko nie to!

I w tym momencie niebezpieczeństwa dla człowieka, którego kochała całą swą istotą, Joanna, słaba, znękana i śmiertelnie znużona kobieta stała się niemal bohaterką. Po raz pierwszy od czasu rozpoczęcia sprawy skłamała. Uśmiechnęła się niedbale i powiedziała ze spokojem:

– Ten, z którym byłam zaręczona, mając lat niespełna dwadzieścia? Wybacz pan sędzia; doprawdy, nie wiem o jaki młodzieńczy, przelotny flircik chodziło mojej ciotce... Byłam studentką w Paryżu, miałam wielu kolegów. O jednym mogę zapewnić: nie widziałam tego mego niby narzeczonego przez cały czas mego małżeństwa z Dornem i doprawdy zapomniałam, że taki istniał. Jakież to może więc mieć znaczenie dla tej sprawy?

Mówiła to powoli i wyraźnie, jak gdyby od niechcenia, a w głowie jej tkwiła jedna myśl uparcie: „Tylko nie spotkać wzroku Stefana w tej chwili... w chwili, gdy się go tak oto, publicznie wypiera”.

Te niedbale słowa oskarżonej odniosły pożądany skutek. Przeszono mówić o tajemniczym narzeczonem, widocznie uznając, że to jakaś przesada starej Gorzeckiej, pragnącej odwrócić uwagę od winy syna.

Ale jeszcze teraz Joanna, wspominając ten incydent, pod wpływem wewnętrznego

wzburzenia, kulila się na ławce przedziału kolejowego, jak gdyby wstrząsana potężnym dreszczem.

Stare drzewa parku morańskiego były zawsze przyjaciółmi Joanny. Gdy biegła wśród ich wysokich grubych pni, jako mała, rozhukana dziewczynka o sterczących niesfornych warkoczykach; gdy potem koła w ich bezpiecznym cieniu swe urojone pensjonarskie smutki i marzenia. Gdy wreszcie jako dojrzała już kobieta, dotknięta srogim ciosem życia, pozostała wśród nich, zdawało jej się że zawsze patrzyła na nie rankiem i wieczorami, wiosną, gdy okrywały się zielenią, latem, gdy szumiały na wietrze, jesienią, gdy płonęły barwami i przez całe długie miesiące zimowe, gdy obnażonymi konarami były w zamknięte szyby okien jej zacisznego domu.

Drzewa morańskie. Myślała o nich często w czasie tych długich, straszliwych miesięcy, spędzonych w więziennej celi. Myślała niekiedy, że gdyby za kratami zamiast skrawka niedościgniętego nieba, rozciągniętego nad dachami warszawskich kamienic ukazały się ich ramiona, czułaby ulgę.

A teraz gdy w tak niezwykłym otoczeniu stanęła przed bramą, zamykającą park jej rodzinnego domu, gdy ujrzała z daleka delikatną, żółtawą jeszcze zielen pokrywającą gałęzie jej starych przyjaciół, serce w niej zadrżało i jak gdyby zamarło. Poczula jakiś dziwny prąd, przesywający jej ciało, miała to niewytłumaczone uczucie, że wstyd jej przed tymi drzewami bardziej niż przed oczyma ludzkimi, że drzewa te patrzeć na nią będą ze zgrozą. Oczy jej napelniły się perlistymi łzami, tak jak w chwili, gdy pociąg dojeżdżał do Moran i poprzez zasłonę z migocących łez przywitała swój rodzinny dom.

Krzaki bzu rosnącego gęsto przed gankiem, pokryte były już gęstą szatą zielonych listeczków. Joanna, wchodząc na stopnie ganku, po których tyle razy stapały jej stopy, pomyślała mimo woli, że w zeszłym roku o tej porze jeszcze te krzaki były nagie: wysoka strzelista topola, której gałęzie zaglądały wprost do okna jej sypialni na pierwszym piętrze już także jaśniała delikatną zielenią. Joanna odwróciła na jej widok głowę. O jakże straszny był dla niej widok sądu, zasiadającego przy dużym stole jadalni, tego stołu, przy którym jak daleko sięgnęła pamięcią, panią była jej matka, a potem ona sama. Jakże bolesny był dla niej widok obcych, oficjalnych ludzi, chodzących po jej domu.

Adwokat Zalewski odczuwał ten jej nastrój. Zbliżył się do niej, siedzącej nieruchomo pod oknem i powiedział cicho i z uśmiechem, którym prosił niejako o wybaczenie:

– Nie trzeba się niczym przejmować. Chodzi tylko o ustalenie pewnych szczegółów, które mogą nam pomóc zamiast zaszkodzić.

Joanna skinęła w milczeniu głową. Nie mogła mówić. Czowała, że ani jeden wyraz nie wydostanie się teraz przez jej zacisnięte gardło. Oczami pełnymi łez wodziła po ścianach jej domu, jakby prosząc by one wzięły ją w obronę, by one, które wszystko słyszały, zaświadczyły...

Potem wstała powoli, gdy sąd zajęty przy stole przygotowywaniem papierów do badań nie

zwracał na jej zachowanie uwagi, i wyszła przed dom.

W nozdrza uderzył ją zapach wilgotnej ziemi, płynący od zoranych pól, ten nie dający się określić głęboki, jak samo życie, zapach wiosny. Biło od niego siłą pękających na drzewach pąków, siłą soków, które oto znowu krążą w martwych drzewach, siłą zielonej trawy, torującej sobie drogę poprzez czarne podziemne korytarze, siłą młodości. Joanna przymknęła oczy, jak pod wpływem bólu. I w tej chwili stało się coś niespodziewanego.

W wielkich susach i podskokach biegł aleją ogrodową wprost ku niej pies Rolf. Trzymano go na łańcuchu, by nie rzucił się na przyjezdnych, nieznanym mu ludzi. Ale Rolf tak długo szarpał łańcuch, tak się szamotał, że aż zerwał go i teraz biegł bez tchu, biegł oszalały, nieprzytomny... do pani. Przez długie miesiące szukał jej na próżno po opustoszałym domu, po opuszczonych ścieżkach parku i sadu, po których tylekroć z nią wędrował. Szukał jej i pana. Nie było ich. Byli jacyś obcy ludzie, nieznanym mu dotąd, ludzie o odpychającym dla niego, tak dalekim od domowej swojskości, zapachu. Został mu tylko jeden Józef, ale ten nie rozumiał jak gdyby jego pytających psich spojrzeń, nie słyszał jego tęsknego zawodzenia, nie umiał mu ulżyć w jego nieszczęściu.

I oto nagle, to nieprawdopodobne, to niebywałe, to oszalamiające szczęście. Pani! Jakże tu nie zerwać najmocniejszych łańcuchów? Jakże nie przebiec w ciągu jednej niemal sekundy wilgotnych, wiosennych alejek parku, jak nie przypaść do tych drogich, wytęsknionych kolan swojej pani?

Joanna poczuła na swych piersiach miękki, ale mocny ucisk zabłoconych psich łap, na policzku poczuła ciepły i ostry dotyk psiego języka. Na szyi kudłate ciepło jego puszystej wilczej sierści... Szczekał krótkimi, urywanymi szczęknięciami, wył, piał po prostu, nieledwie śpiewał. Śpiewał hymn tęsknoty, przywiązania, miłości.

Joanna objęła dłońmi głowę psa. Nikt jej tak tutaj nie witał. Nikt tak się nie cieszył. Teraz dopiero potężny szloch, który zbierał się w jej piersi od chwili, gdy tak oto powróciła do swego domu, wybuchnął z całą siłą.

– Rolf... piesku... – powtarzała wśród łkań – Rolf, kochany, patrz, twoja pani wróciła... wróciła... Psinko...

Szlochała, pochylona ku wspinającej się ku niej postaci psa, szlochała tak, że aż bezsilna przysiadła na stopniach ganku, opierając głowę o kolumnę ganku, na której wiatr wiosenny poruszał zeschłe, zeszłoroczne pędy dzikiego wina.

Przez głowę przeleciała jej dziwna myśl, że całe niemal oskarżenie jej opierało się na tym, że owego dnia odesłała Rolfa do miasta.

Czemu to zrobiła? Czemu nie był wtedy przy niej? Może wszystko byłoby inaczej. Ogarnęła raz jeszcze ramionami tulące się do niej, podskakujące ciało wielkiego psa i czuła, jak jego wilgotny język scałowuje łyzy, które strumieniami płyną jej po policzkach.

Mieszkając przez tyle lat w domu morańskim, Joanna nigdy nie zastanawiała się nad tym, ile minut potrzebuje człowiek na przebiegnięcie z oficyny do pawilonu strzelniczego w parku,

jak długo trwa droga przyśpieszonym krokiem z ganka do oficyny, a potem do ogrodu, na jaką odległość słychać głosy rozmów, prowadzonych w pawilonie.

Teraz dopiero, podczas straszliwej dla niej męki, zwanej wizją lokalną na miejscu zbrodni, ujrzała na własne oczy to wszystko, co było jej bliskie, znajome i powszednie, ujęte w jakieś zdania, zamykane w jakąś bezlitosną klamrę suchych cyfr.

Szeroko otwartymi oczyma patrzyła na eksperta, biegnącego ze stoperem w rękę wilgotną alejką parku morańskiego, wiodącą do strzelnicy. Szeroko rozwartymi oczyma przyglądała się temu, jak musztrowano Magdę Pękałankę, każąc jej pokazywać, jak szybko szła do strzelnicy, posłana przez panią Gorzecką z okryciem dla pani Domowej. Jak we śnie szła za tymi ludźmi, którzy kazali jej po dziesiątki razy pokazywać miejsce, na którym leżała okrwawiona głowa jej męża; miejsce, w którym stał Gorzecki, drzwi odepchnięte wichrem nadchodzącej burzy. Widziała, jak oglądali, węszyli, szukali, niczym gończe psy. Słyszała, jak mówili coś o niedokładnościach pierwszego śledztwa, zrobionego przed sprowadzeniem władz warszawskich, przez miejscową policję. Kilka razy padło też nazwisko Kaniewskiego, ale wymawiane zawsze z wielkimi pochwałami.

– Ten nigdy nic nie zaniedba – mówił z uznaniem przewodniczący do prokuratora Kordziewicza, który oparty o ławkę ogrodową, stojącą tuż przed strzelnicą, w zamyśleniu oglądał własne obuwie z przyklepionymi do niego grudkami błotnistej, wiosennej ziemi.

Joanna, stojąca o kilka kroków od nich, odwróciła głowę. Wzrok jej padł na gęste krzewy, rosnące wokół pawilonu, a pokryte teraz delikatną koronką zieleni. W uszach jej brzmiały wyrazy: „Ten nigdy nic nie zaniedba”. I po raz pierwszy od początku tej sprawy zbudziło się w niej coś na kształt żalu do Stefana. Tak, nic nie zaniedbał, by wplątać ją w tę straszną sprawę, w której nie było przecież ani odrobiny jej winy. Był sumiennym urzędnikiem, spełnił swój obowiązek do końca.

Odwróciła głowę jeszcze bardziej i ujrzała Gorzeckiego. Stał oparty o pień wielkiego dębu, który rozpościerał swe bezlistne jeszcze konary nad dachem pawilonu. Był bardzo blady, ale spokojny. Joanna spojrzała na niego i ogarnęło ją nowe, nieznanne dotychczas uczucie. Przez te wszystkie dni, kiedy siedziała obok tego człowieka na ławie oskarżonych, prawie o nim nie myślała. Zapomniała, jak gdyby o jego obecności. Był dla niej tylko tym, który wplątał ją w okropną sprawę, był zabójcą jej męża. Ale teraz? Nagle olśniła ją myśl. A może Gorzecki doprawdy nie jest winien? Przecież człowiek tego co on, nieco awanturniczego typu, miałby chyba odwagę przyznać się do zbrodni, popełnionej z namiętności i w uniesieniu? Więc czemu zapiera się tak uparcie? Czyżby był niewinny? Spojrzała na niego nagle innym wzrokiem. Gorzecki odczuł widocznie to jej spojrzenie na sobie, gdyż podniósł opuszczoną na piersi głowę. Ale nie zdążył odpowiedzieć jej spojrzeniem, gdyż właśnie do niego zwrócił się przewodniczący.

– Czy mógłby pan nam odtworzyć drogę, którą przebył pan owego dnia, podchodząc tu do pawilonu i następnie się cofając?

Gorzecki wyprostował się i powiedział niechętnym, znużonym głosem:

– Owszem, panie sędzio. Z łatwością.

Ruszył przed siebie, a za nim cały skład sądu. Szli alejką, którą wówczas szedł Gorzecki, zatrzymali się przed szklanymi drzwiami pawilonu, stanęli tuż za progiem.

– Stąd widziałem państwa Dornów, stojących w pawilonie. Nie mogli mnie słyszeć, bo wzmagająca się wichura i szum drzew głużyły moje kroki... – mówił Gorzecki. – Tu zobaczyła mnie Joanna Dornowa... o, tutaj stałem... I w tej chwili padł strzał.

– Skąd to, według pana, padł ów strzał? – zapytał z ironią w głosie Kordziewicz, patrząc na przewodniczącego porozumiewawczo, jak gdyby dziwiąc się obłąkanemu uporowi, z którym oskarżony trzyma się tego nieprawdopodobnego kłamstwa.

Ale Gorzecki, udając, że nie słyszy tej nuty w głosie prokuratora, ciągnął spokojnie, oglądając się za siebie i wskazując gęste zarośla, otaczające pawilon.

– Sądzę, że ten, kto strzelał, musiał się tam ukryć.

– I nie obejrzał się pan za siebie? Nie szukał pan zabójcy?

– Nie. Pierwszą moją myślą było wpaść do pawilonu, zobaczyć kogo ranił ten strzał... A potem myślałem już tylko o tym, by Joanna Dornowa nie sądziła, że to ja zabiłem jej męża.

– No i o ucieczce – dorzucił Kordziewicz.

Gorzecki spojrzał na przewodniczącego i nie zwracając znowu uwagi na słowa prokuratora, powiedział, jak gdyby niezależnie od jego pytania:

– Uciekłem, bo tak mi kazała pani Dornowa. Wypędziła mnie. Nie wierzyła moim słowom. Tylko o tym pamiętałem w owej strasznej chwili...

Gdy zapadł wieczór, badanie nie było jeszcze całkiem skończone. Postanowiono przenocować w Moranach, a rankiem skończyć wizję i wracać w południe do Warszawy.

Tak się więc stało, że Joanna tę noc spędziła we własnej, zacisznej sypialni morańskiej. Po raz pierwszy od wielu miesięcy położyła się do swego łóżka i zamknąwszy oczy, mogła sobie wyobrazić, że nic się nie stało, że wszystko jest po dawnemu i że zaraz w sąsiednim pokoju zaskrzypią kroki powracającego do domu Mariana.

Ale okropna rzeczywistość nie dała jej tych złudzeń ani na chwilę.

Zasypiając, przeżyła jakąś dziwną wizję. Zdawało się jej, że jest małą dziewczynką i że surowa nauczycielka zadaje jej trudne arytmetyczne zadanie: „Ile kroków dzieli dom od pawilonu strzelniczego, gdzie popełniono zbrodnię, jeżeli głos, idący z szybkością... „

Joanna jęknęła.

Już od paru tygodni Warszawa była pod znakiem procesu Domowej. Nadeszły pierwsze dni kwietnia i po paru dniach deszczów wiosna wybuchła ciepła i słoneczna, nabrzmiały wilgotne pączki na parkowych drzewach, osuszyły się chodniki.

Skończyło się przesłuchiwanie świadków. Prokurator Kordziewicz przygotowywał się do swojej mowy. Publiczność czekała na przemówienia prokuratora i obrońcy, jak na dwa ostatnie akty widowiska, które już powoli zaczynało wszystkich nużyć. Coraz częściej słyszało się: „kiedy już nareszcie się skończy, już mamy dosyć tej sprawy, czas, żeby ludzie przestali się zajmować wciąż tym samym”.

A główni aktorzy tego widowiska? Skoro publiczność była już zmęczona, cóż się musiało dzieć z tymi, czyje losy się ważyły? Cóż się działo z kobietą, której intymne sprawy wywlekane były przed publicznością, chciwie słuchającą każdego nowego szczegółu. Cóż się musiało dzieć z tą drobną, wątłą kobietą, która po tylu miesiącach więzienia, śledztw i innych moralnych tortur musiała tutaj siedzieć, wystawiona na ciekawe spojrzenia obojętnych ludzi? Cóż się musiało dzieć z jej biednym, udręczonym sercem, kiedy, patrząc na ukochanego przez siebie człowieka, myślała o tym, że to on przygotował śledztwo, on wszystko starannie ułożył, on myślał, że jest winna...

Joanna Domowa, siedząc na sali sądowej, w czasie przemówienia prokuratora Kordziewicza, miała dziwne wrażenie. Zdawało jej się, że to wcale nie ona tu siedzi, że ona, dawna Joasia, już dawno umarła, skończyła się, a że tu na ławce, w czarnej sukni, ze spuszczoną głową, siedzi jakaś dziwna kukła, jakaś martwa lalka, manekin, poruszający się za pomocą mechanicznej sprężynki. Kiedy adwokat Zalewski zwracał się z czymś do niej, odpowiadała mu jakimś gestem, uśmiechem, poruszeniem ręki, lub kiwnięciem głowy i wtedy myślała sobie, że to właśnie ta mechaniczna lalka poruszyła się i uśmiechnęła, za pomocą naciśniętej sprężynki. Kiedy ścigały ją ciekawe spojrzenia publiczności, miała wrażenie, że patrzą wcale nie na nią, na Joannę, żonę Mariana Dorna, tylko na manekina, wystawionego na publiczny widok.

„Mogę robić i mówić, co mi się podoba, bo to wcale nie ja, bo to nie mnie skazą, tylko manekina... „

Słowa prokuratora Kordziewicza dochodziły do niej jak z oddali, głos jego, mocny, podniesiony, grzmiący głos rozbrzmiewał donośnie po całej sali, ale Joanna tylko od czasu do czasu chwytiała pojedyncze zdania. Siedziała w jakimś dziwnym półśnie, półomdleniu, z którego tylko co parę chwil budziła się. Wtedy słyszała grzmiący głos, który obwieszczał tłumnie zebranej publiczności, że kobiety tego typu, co ona, są najniebezpieczniejszym zjawiskiem. Że byłoby o wiele lepiej, gdyby to, co zrobiła, uczyniła po prostu bez obłudy I



spychania winy na kogo innego. Że plan zbrodni był perfidnie przez nią uplanowany, w celu pozbycia się niepotrzebnego, niekochanego męża, za którego wyszła za mąż jedynie dla jego majątku. Że zbrodnia, uplanowana na zimno wraz z kochankiem, jest jedną z najwstrętniejszych zbrodni. Że gdyby sama zabiła w uniesieniu, w kłótni, wina jej byłaby o wiele mniejsza. Że wszelkie argumenty, iż Gorzecki nie jest jej kochankiem, są jedynie wykrętami. Gorzecki, według prokuratora, był jedynie narzędziem w jej ręku. Najlepszym dowodem jest wysłanie tego dnia służby przez Dornową, usunięcie psa, przygotowanie gruntu do zbrodni. Nadawanie sobie pozorów niewinności, świętości, rzuca nieprzyjemne światło na postać oskarżonej. Takie typy kobiet bywały właśnie najniebezpieczniejszymi w historii kryminalistyki...

Dornowa przymknęła oczy i zdawało jej się przez chwilę, że siedzi na cenzurowanym. Przypomniało się jej, jak kiedyś, przed laty, kiedy jako mała dziewczynka bawiła się ze swymi rówieśnikami w cenzurowanego, siedząc samotnie na fotelu, czekała, co też to na nią wymyślą złego lub dobrego. A potem ze Stefanem, siedząc na Montparnassie przy kawiarnianym stoliku, wypisywali sobie na karteczce wszystkie swoje zalety i wady. Pamięta jak dziś, że Stefan jako naczelną jej zaletę wypisał – „prawdomówna”, a dziś jej nie wierzy i już nigdy nie uwierzy, że jest istotnie prawdomówna.

„Dziś siedzę znowu na cenzurowanym”, myślała, „teraz bawią się w znajdowanie moich wad, potem będą szukać moich dobrych cech charakteru”.

Ale prokurator jeszcze nie kończył. Rozwijał przed słuchającą w milczeniu publicznością tak żywo i przekonująco obraz uplanowanej zbrodni Domowej do spółki z Gorzeckim, przedstawiał w tak barwnych, plastycznych słowach życie młodej, znużonej żony u boku starego, niekochanego męża, jej wzrastającą miłość do młodego, uroczonego kuzyna, pod bokiem starego męża, który niczego się nie domyślał, opisał tak dosadnie samą Domową, która pod pozorami słodczy charakteru, kryła wulkaniczny temperament, opisał jej bujną młodość, kilkakrotne zaręczyny, zrywane z powodu jej zmienności i kapryśności – że nie tylko publiczność, ale w końcu i ona sama, Dornowa, uwierzyła w możliwość istnienia takiej kobiety. Zdawało się jej, że podczas gdy ona siedzi tu jako martwa kukła, taka przewrotna, pełna kipiącego charakteru, Dornowa istnieje naprawdę, że doprawdy uplanowała tę zbrodnię do spółki z kochankiem, naprawdę chciała się pozbyć starego męża, za którego wyszła jedynie dla pieniędzy.

Adwokat Zalewski w czasie druzgocącej mowy prokuratora posyłał jej od czasu do czasu porozumiewawcze uśmiechy i uspakajające ruchy ręką. Kaniewski przez cały czas nie spojrzał na nią ani razu. Kiedy z boku starała się dojrzeć wyraz jego twarzy, widziała jedynie jego kamienną maskę. Siedział nieporuszenie na miejscu, nie patrząc ani na sąd, ani na publiczność, ani na nią.

„Czy i on uwierzył w istnienie tej obcej kobiety, stworzonej przez prokuratora, na podstawie śledztwa, zeznań świadków i wszystkich innych dowodów? Czy i on uwierzył w

istnienie tej demonicznej, pełnej szalonego temperamentu i chęci używania kobiety?”

„Przez dziewięć lat żyła z nim pod jednym dachem, wydawała jego pieniądze, jeździła za granicę bawiła się i używała tylko dzięki niemu. Ale i to jej się widocznie sprzyrzyło. Taka kobieta jak ona musiała w pełni używać życia. Zaprażyła kochanka. I wtedy sięga po to, co było najbliżej. Przystojny, światowy kuzynek był tuż pod ręką, więc nie namyślając się wiele, zaczyna pod mężowskim dachem romans. Służba zeznawała przecież, że dawniej narzekała na życie w Moranach, że wielokrotnie wspominała o tym, że jej się przyrzy... Otóż na te nudy znalazło się lekarstwo. Ale stary mąż staje się wkrótce zawadą. O ileż by było lepiej, gdyby go nie było, gdyby umarł. Myśl o zbrodni kielkuje długo w duszy tej przewrotnej kobiety. Nie odważa się jednak dokonać tej zbrodni sama. Kochanek jej, człowiek słaby i chwiejny, planuje z nią razem tę zbrodnię. Strzelanie do celu może być świetnym pretekstem nieszczęśliwego wypadku. I rzeczywiście, pierwsze zeznania Domowej podają jako przyczynę nieszczęśliwy wypadek. Aby ochronić kochanka, który był jej narzędziem, bierze winę na siebie i pozoruje wypadek. Ale prawda wykrywa się. To nie był nieszczęśliwy wypadek. To była uplanowana na zimno zbrodnia”.

– Moja pani, moja pani – jaka to straszna kobieta – powiedziała głośnym szeptem jakaś babina na sali. – Żeby tak wszystko obmyśleć. To trzeba chyba nie mieć serca.

Reszta mowy prokuratora przeszła mimo uszu Joanny, jak dalekie echo jakichś gromów, które nie były w stanie w nią uderzyć. Nawet żądanie długotrwałego więzienia za moralne spowodowanie oraz współnictwo zbrodni nie zrobiły na niej głębszego wrażenia. Była spokojna i tak nieruchoma, że siedzący przed nią Zalewski kilka razy obejrzał się na nią z lękiem.

Po przemówieniu prokuratora przewodniczący zarządził krótką przerwę.

– Czy nie zechciałyby pani posilić się nieco, przerwa potrwa z pół godziny? – spytał adwokat Zalewski Domową, która, jak gdyby nie słysząc, że rozprawa została przerwana, trwała wciąż nieruchomo na swym miejscu.

Potrząsnęła przecząco głową. Nie odpowiedziała nic. Wargi jej były suche i zaciśnięte, oczy błyszczące.

Z głębi opustoszałej w tej chwili sali śledziły ją uważnie oczy Kaniewskiego. Nie podchodził do niej w ciągu tych wszystkich strasznych dni. Nie chciał zwracać uwagi otoczenia i nie chciał w niczym utrudniać jej położenia. Zdawało mu się, że czuje ciężące na nim straszliwe brzemie nienawiści tej kobiety. Chwilami pragnął nawet, by mu jakoś tę nienawiść okazała.

Teraz, patrząc na jej zmienioną twarz, na straszną mękę, malującą się w jej oczach, pomyślał:

„Co to za szczęście, że wszystko się już kończy. Chyba nie wytrzymałaby tego dłużej... „

Podniósł dłoń do rozpalonego czoła i pomyślał jeszcze:

„I ja także... i także... „

Zataczając się, jak pijany, opuścił duszną salę. Chciał oderwać się trochę od tego, co przykuwało go w ciągu długich tygodni do tej sali sądowej.

Na korytarzu ujrzał wysoką postać prokuratora Laut.

– I ja tu zajrzałem – powiedział Laut do sędziego – chcę posłuchać przemówienia Zalewskiego. Lubię obronę tej bestii. Zdolny...

– Zarządzono przerwę na pół godziny – powiedział Kaniewski, a głos z trudem wydobywał mu się z gardła.

– To niech sędzia pójdzie ze mną naprzeciwko na herbatę. Po co tkwić w tym gmachu?

Kaniewski posłusznie poszedł.

W kawiarni panowała atmosfera typowa dla sąsiedztwa wielkiego procesu. Przy stolikach siedzieli prawie wyłącznie aktorzy procesu. Przy telefonie gorączkował się i złościł na powolność telefonistek jakiś dziennikarz, który widocznie nie dotoczył się do telefonów prasowych. Dodzwoniwszy się do swojej redakcji, powoli i wyraźnie dyktował przemówienie prokuratora.

Kaniewski, usiadłszy z Lautem przy stoliku, opędzał się w myśli od słów wymawianych mu tuż nad uchem przez dziennikarza, jak od natrętnych much.

– Powiedziałem przecież wyraźnie „wyrafinowana zbrodniarka”... czy pani notuje? – Laut trzy razy musiał powtórzyć swe, skierowane do sędziego, pytanie:

– Co też kochany sędzia zamawia, bo ja jak zwykle, pół czarnej.

– I ja także – powiedział mechanicznie Kaniewski.

– Mówili mi, – rzekł Laut, mieszając powoli kawę, – że sprawa tych dwojga nie stoi najlepiej. Gorzecki źle robi, nie przyznając się do zbrodni. A ta kobieta...

Kaniewski czuł, że dłużej tego nie zniesie:

– Panie prokuratorze – powiedział chrapliwym głosem, – siedzę na tej sprawie od rana, czy nie moglibyśmy mówić dla odmiany o czymś innym? Głowa mi pęka po prostu.

– Tak – powiedział Laut, patrząc uważnie w twarz Kaniewskiego. – Wygląda pan nie najlepiej.

I natychmiast zaczął mówić o swoich domowych sprawach, o siostrzenicy Zosi, o gospodyni, pani Leokadii, a wszystko to swym starym, powolnym, monotonnym głosem.

W kawiarni zrobił się ruch. Ktoś wpadł z ulicy i oznajmił, że przerwa w sądzie się kończy. Ze wszystkich stolików zaczęto wołać kelnera.

– Płacić! Płacić!

Dziennikarz rzucił w telefon pospiesznie:

– Muszę teraz iść na przemówienie obrońcy. Przetelefonuję potem resztę.

Cisnął telefon na widełki i już go nie było.

Stefan wstał z nerwowym pośpiechem.

– Ho, ho, widzę... i pana wzięła ta sprawa – zawołał Laut ze śmiechem. – Spieszno panu, jak na przedstawienie. Ale nie dziwię się, to już przedostatni akt. Finita la commedia!

Przechodząc przez zalaną wiosennym słońcem ulicę Miodową, Kaniewski całą siłą nerwów nakazywał sobie spokój. Im bliżej było wyroku, tym bardziej wydawało mu się, że tego wszystkiego nie wytrzyma, że musi wstać, krzyknąć wielkim głosem: „Ta kobieta jest niewinna, to ja przez zbytną gorliwość, przez głupie pojmowanie obowiązku wplątałem ją w straszną sieć oskarżeń i poszlak. Ona jest niewinna!”

I adwokat Zalewski rozpoczął swą mowę obrońcy od tych samych słów:

– Ta kobieta jest niewinna, panowie sędziowie!

Cała sala czekała z napięciem tego przemówienia. Poprzednia mowa obrońcy Gorzeckiego, dowodząca, że klient jego padł ofiarą okropnego splotu przypadkowych wydarzeń i że jest niewinny, zrobiła na wszystkich głębokie wrażenie. Obrońca Gorzeckiego zakończył swe przemówienie potężnym okrzykiem:

– Zobaczycie, panowie sędziowie, że sprawdzą się słowa moje, że znajdzie się jeszcze prawdziwy sprawca zbrodni, prawdziwy zabójca Mariana Dorna. Oby tylko nie za późno!

Nie tyle ten dramatyczny okrzyk, co całe logiczne rozumowanie tego obrońcy sprawiło, że w serca nawet najzaciętszych przeciwników Gorzeckiego wkradły się wątpliwości. Oskarżenie, oparte właściwie jedynie na poszlakach, a nie na żadnych rzeczowych dowodach, zaczęło się chwiać w umysłach publiczności.

Ale wszystko to było niczym w porównaniu z przemówieniem Zalewskiego. Znakomity mówca puścił w ruch wszelkie sposoby. Podważał oskarżenie prokuratora logiką wywodów, zjadliwością i ironią w stosunku do dowodów winy, wytaczanych przez oskarżyciela, wzruszał obrazem bezbronnej kobiety, niewinnie wplątanej w tę okropną sprawę. Sprawił, że po sali przeszedł jak gdyby wicher poruszenia. Wszystkie oczy zwilgotniały, wszystkie twarze powlokły się mgłą wzruszenia. Tylko jedna twarz pozostała nieruchoma. Tylko jedne oczy były wciąż suche. Była to twarz i oczy Joanny Domowej.

Publiczność zebrana na sali sądowej, i nieco zawiedziona spokojem i jakby kamiennym zachowaniem się oskarżonej, całe nadzieje pokładała w jej ostatnim słowie. Cały czas milczała, ale chyba po tych okropnych oskarżeniach, jakie na nią tu walono, a następnie mowie obrończej, która wzruszyła najbardziej oschłe serca, poruszy się i coś wreszcie powie.

Toteż gdy skończyły się przemówienia stron i przewodniczący zwrócił się najpierw do głównego oskarżonego Gorzeckiego z zapytaniem, czy nie ma nic do powiedzenia sądowi, po sali przeszedł szmer oczekiwania.

Ale Gorzecki wstał nieco sztywny i opierając się o drewnianą barierkę, oddzielającą ławę oskarżonych od ławy obrończej, powiedział cicho i szybko:

– Mówiłem już podczas całej rozprawy, że jestem niewinny śmierci Mariana Dorna. Przyznaję, że biegłem zaślepiiony gniewem na tego człowieka, chcąc go zmusić do pojedynku, którego mi odmawiał. Zastałem go z bronią w rękę. Ale nie zdążyłem nic przedsięwziąć, gdy padł strzał z niewidocznej ręki zbrodniarza. Nie wiem, kto zabił Dorna. Ja nie. Powtarzam, że jestem niewinny i że nigdy sam, ani też z kuzynką moją Joanną Domową nie układałem

żadnych planów zbrodniczych. Skończyłem.

Usiadł ciężko na ławie oskarżonych, w sali podniósł się tak głośny szmer rozmów i komentarzy, że sędzia przewodniczący zadzwonił niecierpliwym ruchem.

– Proszę o ciszę – powiedział – Joanna Dornowa, oskarżona, ma głos.

Natychmiast na sali zaległa cisza. Joanna, nie patrząc w stronę publiczności, czuła utkwione w siebie dziesiątki, setki oczu badawczych, bezlitosnych lub współczujących, oczu obcych ludzi. Ale było jej to już obojętne. Wstała i wyprostowawszy swą drobną postać, powiedziała z podniesioną głową, patrząc prosto na sędziów:

– Jestem niewinna. Nic więcej nie mam do powiedzenia.

Usiadła, nie czekając, aż przewodniczący jej to poleci.

Sąd udał się na naradę.

\* \* \*

Sędziowie, znalazłszy się w pokoju narad, przez dłuższą chwilę milczeli, jak gdyby zakłopotani. Każdy z tych trzech ludzi odczuwał w tej chwili swój obowiązek jako coś niesłychanie ciężkiego. Każdy z tych ludzi oddałby wiele za to, by uwolnić go od przymusu wypowiedzenia się co do winy tej pięknej i pełnej uroku kobiety. Co do winy Gorzeckiego byli wszyscy trzej o niej przekonani. Zabił człowieka, którego żonę kochał, a zwłaszcza człowieka, który obraził go śmiertelnie, potraktowawszy najpierw jak smarkacza, a potem nie przyjmując wyzwania na pojedynek. Taki typ jak Gorzecki, typ powierzchownego światowca, musiał tę zniewagę odcierpieć straszliwie i nic dziwnego, że nie cofnął się nawet przed zbrodnią.

Tak, to zdawało się być jasne. Tu chodziło tylko o ustalenie odpowiedniej kary i sprawa byłaby załatwiona.

Ale sprawa oskarżonej Domowej?

Żaden z tych trzech ludzi nie przyznałby się do prawdziwych uczuć, nurtujących głębiej jego serca. Żaden nie przyznałby się, bo nie podejrzewał nawet, że jego kolega, przed którym te uczucia ukrywa, doznaje ich tak samo, jak on. Po prostu wszyscy trzej byli pod urokiem Joanny Domowej, a nie chcieli się do tego właśnie przyznać.

Ta drobna, śliczna kobieta, o tak przejmującym spojrzeniu skośnych, migdałowych oczu, wzruszała i jednocześnie zachwycała. Najstarszy z tych trzech sędziów, przewodniczący, usiłował sobie tłumaczyć, że ogarnia go w stosunku do tej oskarżonej niezwykle uczucie ojcowskie, że po prostu żał mu jej, tak jak się żałuje dziecka, nad którym się znęcają wszyscy wokoło. Ale dwaj jego młodsi koledzy nie łudzili się co do swych uczuć w stosunku do oskarżonej: podobała się im ta piękna kobieta i w specjalny sposób podniecała ich myśl, że od nich w tej chwili zależy jej los. Starali się jednak odłożyć jak najdalej trudną chwilę decyzji. Gdy drzwi sali narad zamknęły się za sędziami, przez chwilę panowało w tym pokoju kłopotliwe milczenie. Przerwał je przewodniczący, obojętną uwagą o pogodzie, przy czym

podawał ognia jednemu z kolegów.

Sędzia wziął z rąk przewodniczącego płonąca zapalną, potem zaciągnawszy się dymem papierosowym, powiedział powoli:

– Tak, pogoda ładna, ale sprawa brzydka.

– Niestety – rzekł krótko drugi z sędziów – trudno będzie z niej jakoś wybrnąć.

– A wybrnąć trzeba – rzekł krótko przewodniczący.

– Ale, ale, zanim przystąpimy do obrad, niech pan mi powie, jak tam z pańskim nowym mieszkaniem? – spytał sędzia przewodniczący.

Ten zaczął szczegółowo opowiadać swoje kłopoty mieszkaniowe.

Tymczasem sala opróżniła się. Ponieważ powszechnie panowało mniemanie, że narada potrwa najmniej dwie godziny, więc ludzie poszli przez ten czas na obiad lub wypoczynek. Domową odprowadzono do jednego z pokojów sądowych, gdzie stała przy oknie, bezmyślnie patrząc na dziedziniec. Po szybie łąziła pierwsza wiosenna mucha. Dornowa przyglądała jej się uważnie i nagle zmarszczyła boleśnie brwi.

Ta mucha i to oczekiwanie coś jej przypomniało. Jeszcze jeden wysiłek woli i już wiedziała.

Kiedyś, w wiosenne rozjaśnione blaskiem słońca południe, tak samo czekała na wyrok. Ale jakże inny od tego wyroku. Było to w Paryżu, w Sorbonie. Właśnie zdała trudny egzamin i czekała na wynik, podczas gdy w sąsiednim pokoju profesorowie się naradzali, jaki jej dać stopień. Było tak samo jak teraz i tak samo, jak teraz, po szybie okna, przy którym stała, łąziła pierwsza wiosenna mucha. Ale obok niej, równie niespokojny jak ona, czekał wtedy Stefan Kaniewski, jej Stefek.

Gdzie był teraz?

A tymczasem Stefan Kaniewski błąkał się po mrocznych korytarzach sądowych. Już od wielu lat nie czuł takiego dziwnego skurczu w piersiach, takiego nieznośnego ucisku w skroniach, takiego szumu w uszach. Bał się, że ludzie spostrzegą jego stan, że się zaniepokoją, pomyślą, że zachorował. Toteż unikając wszelkich rozmów, przechadzał się nerwowo tam i z powrotem po korytarzu, czekając. Tak, czekanie jest czymś najstraszniejszym, myślał bezustannie, wszelka pewność jest już lepsza. Niech się już dowie tego najgorszego. Niech już raz usłyszy tę straszną, potworną prawdę. Byleby już nie czekać. Byleby już dłużej nie czekać. Minuty wlokły się straszliwie powoli, tak powolutku, jakby jakiś złośliwy czarodziej zatrzymał nagle czas. Wskazówki zegarka, na który patrzył co chwila, wcale się nie poruszały. Gdzieś kiedyś przeczytał, że właściwie całe życie jest czekaniem. Czekamy wciąż, a w końcu przychodzi to ostateczne – wszystko się kończy. Ale ludzimy się przecież, że zawsze jeszcze będzie coś lepszego, czekamy zawsze na coś dobrego, wierzymy, że coś takiego musi być. A co? Czy mimo wszystko miał nadzieję, że się coś jeszcze stanie, że wszystko zmieni się na lepsze? Sam nie wiedział. W głowie jego panował taki nieznośny chaos, że nie zdawał sobie sprawy ze swoich własnych myśli. Wiedział tylko, że za chwilę ma się stać coś okropnego,

coś strasznego, na co on nie może nic a nic poradzić.

Przeraźliwy dźwięk dzwonka przerwał jego rozmyślenia. Wzdrygnął się tak, jakby go mieli zaprowadzić na stracenie.

„Narada sędziów skończona. Oni już wiedzą, już uradzili, za chwilę i on się dowie, za chwilę i ona”...

Chwiejnym krokiem wszedł na salę.

– Proszę wstać. Sąd idzie.

Rozległ się szmer i hałas odsuwanych krzesel. Ludzie mieli twarze przygotowane na sensacyjną wiadomość. Przecież po to przyszli, żeby nasycić się wrażeniami. Spojrzał na nią. Była tak blada, że zdawało się, że jej twarz jest zrobiona z papieru. Zdawać się mogło, że tego nie wytrzyma, że za chwilę upadnie, załamie się, jak ucięta roślina. Nie patrzyła na nikogo. Głowę miała nisko pochyloną, a ręce jej kurczowo trzymały poręcz drewnianej bariery.

Gorzecki był także blady. Jakiś nerwowy skurcz poruszał mu co chwila twarz. „Dawniej nie miał tego skurczu” przeleciało Kaniewskiemu przez głowę, a po chwili pomyślał „co mnie to właściwie może obchodzić? W takiej chwili. „ Twarze sędziów były nieporuszone, nieodgadnione. Kamienne twarze. Jakież to potworne, że jedni ludzie mogą sądzić innych!

Uroczystym ruchem włożyli na głowy czarne birety. W sali panowała przejmująca cisza.

– W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej...

Już przez dłuższą chwilę słyszał Kaniewski drewniany głos przewodniczącego, a jeszcze nie zdawał sobie sprawy, że to właśnie, to najgorsze, miało zostać wypowiedziane. Aż wreszcie padły słowa:

... Edward Gorzecki za zabójstwo Mariana Dorna zostaje skazany na osiem lat więzienia...

Jakiś przeraźliwy głos kobiety rozległ się na sali. Wszyscy się obejrzel. To starsza pani Gorzecka, matka Edwarda krzyknęła okropnie. Wyprowadzono ją z sali. Przewodniczący zatrzymał się na chwilę.

... „Joanna Dornowa za współudział i ukrywanie zbrodni zostaje skazana na sześć miesięcy więzienia”.

Obrońcy Gorzeckiego i Domowej zgłosili apelację.

A więc już po wszystkim. Publiczność z zaciekawieniem wpatrywała się w skazanych. Ołówki dziennikarzy skrzypiały po papierze.

... „oskarżeni . przyjęli wyrok spokojnie. Na sali ktoś krzyknął. To matka oskarżonego... „ „Tak pewnie piszą” – pomyślał Kaniewski.

Joasia. Jego Joasia... Podszedł do niej adwokat Zalewski. Gładził ją po rękę. *Coi* długo mówił. Uśmiechnęła się do niego. Zachwiała się z lekka. Podtrzymał ją ramieniem. Podziękowała mu znowu słabym uśmiechem.

Publiczność opuszczała salę obrad. Przedstawienie było już skończone. Wracali do domu na obiad. Syci wrażeń, będą opowiadali o wszystkim, co widzieli. Kaniewski tkwił jak przybity do miejsca. Nie był w stanie ruszyć się. Stał za plecami Zalewskiego, jak nieśmiały

uczeń na korytarzu, który pragnie coś powiedzieć do profesora, ale nie ma odwagi. Serce tłukło mu się w piersi nieznośnie. Zalewski już ją żegna. Pocałował Domową w rękę. Znowu się uśmiechnęła. Boże, jaka jest blada. Kropli krwi nie ma w jej twarzy. Jaka musi być zmęczona. Jaka okropnie zmęczona. Zalewski odszedł. I wtedy Kaniewski, nie zastanawiając się nad tym, co robi, podbiegł do niej. Szybko bez tchu i bardzo cicho szeptał:

– Joasiu, kochanie, cały czas tu byłem, wszystko słyszałem. Joasiu, nie smuć się, jestem z tobą, teraz wierzę, żeś niewinna, wierzę, wierzę.

Przez jedno mgnienie oka zobaczył jej smutną, bladą twarzyczkę i oczy pełne dużych łez. Nie zdążyła mu nic odpowiedzieć. Odszedł tak prędko, że nie otworzyła nawet ust. Odbiegł znowu jak uczeń. Zostawił ją samą.

Z wolna zbliżyli się do niej strażnicy. Stała jeszcze przez chwilę, usiłując przykryć czarnym welonem zapłakaną twarz.

Wyprowadzili ją.

Wiosenne, pachnące powietrze uderzyło w jej nozdrza. W głowie Joanny zakręciło się nagle. Czowała, że chwieje się na nogach. Nie myślała o tym, że ma przed sobą pół roku więzienia. Że potem, kiedy wyjdzie, życie będzie także dla niej zamknięte. Nie myślała w tej chwili o Gorzeckim, którego skazali na długie lata męczarni. Myślała tylko o jednym: powiedział, że wierzy w jej niewinność. Widziała jego twarz, jego uśmiech, kiedy do niej mówił. Widziała jego łzy. Tak, płakał. A więc coś jeszcze do niej czuje. A więc myliła się przedtem, w czasie śledztwa. Więc to nieprawda, że nią pogardza. Coś jeszcze czuje. I ta mała iskierka uczucia, odnaleziona w jego duszy, dodała jej nagle nowych sił. Wyprostowała się. Głęboko wchłonęła odurzające, wiosenne powietrze. Weszła do samochodu więziennego.

Nie patrząc na ludzi, cisnących się i patrzących ciekawie usiadła i przymknawszy oczy, zapadła znowu w stan półsnu i półjawy.

„Stefan, Stefan” myślała bezustannie, „więc i przy tym egzaminie był przy niej, więc i tym razem serce jej biło także w oczekiwaniu na rezultat, więc i teraz... „

\* \* \*

W godzinę po wyroku dodatki nadzwyczajne obwieściły Warszawie o skazaniu Gorzeckiego i Domowej.

Ela, która dnia tego była wyjątkowo rozdrażniona, kilka razy wychodziła z domu i wracała znowu, nie mogąc znaleźć sobie miejsca, usłyszała chłopięce głosy sprzedawców, rozbrzmiewające na ulicy. Zbiegła na dół i po chwili odczytywała już wyrok.

Skazanie Joanny Domowej zrobiło na niej głębokie wrażenie. Rozumiała doskonale, że nie chodzi tu o tych parę miesięcy więzienia, jakie czekają kobietę, więzioną już od niemal roku. Rozumiała, że chodzi tu o całkiem coś innego: o to, że uznają ją winną zbrodni mężobójstwa, że w ten sposób przekreślono raz na zawsze jej życie. Pierwszą myślą Eli był Stefan. Jakże zniósł ten wyrok, do którego poniekąd sam się przyczynił? Jakie wrażenie zrobiło na nim



napiętnowanie jako zbrodniarki kobiety, która... Nie, o tym Ela nie miała odwagi myśleć.

Wyrok zapadł o czwartej po południu. Ela spojrzała na zegarek. Była szósta. Co robi Stefan? Gdzie był przez te dwie godziny? Czemu nie odezwał się do niej, do Eli, jak zwykle, gdy miał jakieś zmartwienie lub cięższe przejście?

Schwyciła słuchawkę telefonu, wykręciła numer Stefana. Dość długo nikt się nie zgłaszał. Serce Eli biło jak młotem, zdawało się jej, że przeciągły, urywany sygnał, rozbrzmiewający w telefonie, uderza ją prosto w serce.

Wreszcie ktoś podniósł słuchawkę. Głos pani Marii.

– Czy pan sędzia w domu?

– W domu, , ale źle się czuje, nie podejdzie do telefonu – odpowiedziała gospodyni.

– Proszę mu powiedzieć, że tu mówi Rzecka. Zaczekam przy telefonie.

Słuchawkę odłożono. Ela czekała. Czy Stefan podejdzie? Jakies kroki. Ale to nie kroki Stefana. Znowu gospodyni.

– Pan sędzia przeprasza. Zatelefonuje potem. Jest zmęczony.

Ela zmartwiała. Powoli, jakże powoli odłożyła słuchawkę. Myśli kłębiły się w jej głowie. Co ma teraz robić? Czy nie powinna być przy nim, przy Stefku w chwili, gdy jest mu źle i ciężko? A jeśli on nie chce jej widzieć? Nie, nie powinna do niego chodzić teraz. Może mu będzie tylko zawadą.

Chodziła po pokoju, tam i na powrót, tam i na powrót. Jej śliczne, wypieszczone mieszkanko wydało jej się w tej chwili jakimś strasznym więzieniem. Czuła, że musi zobaczyć Stefana. Musi go zobaczyć. Właśnie teraz musi się przekonać. Inaczej oszaleje. Oszaleje.

Szybko, by nie dać sobie samej czasu do namysłu, schwyciła kapelusz, płaszcz i wybiegła na ulicę. Po chwili siedziała już w taksówce i zdyszany szepcem rzuciła adres Stefana szoferowi. Wiosenne niebo zaciągnęło się ciemnymi chmurami. Na ulicy było prawie ciemno, wiatr wstrząsał szybami zamkniętej taksówki. Ela starała się nie myśleć o niczym. Chciała tylko jednego. Być przy Stefanie.

Gdy dzwoniła do drzwi jego mieszkania, ręka jej drżała tak silnie, że palce uderzyły o drewnianą futrynę drzwi.

Otworzyła jej gospodyni. Obrzuciła ją trochę zdziwionym spojrzeniem, ale Ela nie dała jej powiedzieć ani słowa.

– Proszę powiedzieć panu sędziemu, że przyszłam – rzekła szybko.

Pani Maria bez słowa wyszła. Nie upłynęła nawet minuta jak wróciła.

– Pan sędzia prosi, żeby pani weszła do niego – powiedziała głosem, w którym wyraźnie dźwięczała nuta dezaprobaty.

Ela przeszła jakiś pokój, potem otworzyła drzwi do gabinetu Stefana.

Weszła i zamknęła cicho drzwi za sobą.

W gabinecie panował mrok, powiększony jeszcze przez zapuszczone na oknach zasłony. Stefan leżał na tapczanie. Głowę miał opartą o poduszki, oczy przymknięte. Nie otwierając

oczu, wyciągnął rękę w stronę wchodzącej.

– Wejdz, Elu – powiedział cichym, schrypniętym głosem – źle się jakoś czuję. Przepraszam cię, że nie wstaję.

Ela podeszła blisko do niego. Gdy stanęła tuż przy tapczanie i zobaczyła z bliska jego wymizerowaną twarz, ciemne cienie pod oczyma, zaschnięte wargi i zaczerwienione powieki, z trudem powstrzymała się od płaczu.

Stefan otworzył oczy i wziął Elę za rękę.

– Siadaj, kochanie – powiedział cicho.

Usiadła przy nim na krawędzi tapczana. Nie wypuszczała jego ręki ze swej dłoni. Milczeli oboje. W pokoju było słyhać tylko tykanie zegara. O szyby uderzyły głośno pierwsze krople nadciągającej ulewy.

Ela pierwsza przerwała to milczenie.

– Nie trzeba, Stefku, – powiedziała cicho, z lekka drżącym głosem. – Nie trzeba się tak bardzo przejmować. Ja wiem, co cię w tym boli. Ale przecież ty spełniłeś uczciwie swój obowiązek. Nie masz sobie nic do wyrzucenia.

Wstrząsnął się pod wpływem tych słów, ale nie odpowiedział nic, tylko mocniej ścisnął jej dłoń.

Po długiej chwili milczenia powiedział, akcentując każdy wyraz:

– Sąd uznał ją za winną zbrodni mężobójstwa. Uznał ją za zbrodniarkę.

Wyprostował się na tapczanie, usiadł i patrząc na Elę przenikliwie, powiedział:

– Czy ty to rozumiesz? Czy możesz rozumieć, co się dzieje w tej chwili z tą kobietą, jeżeli jest niewinna?

Elę ogarnęły sprzeczne uczucia. Z jednej strony, ona, która w swym optymizmie chwyciła się każdej nadziei, wyobraziła sobie, że te słowa Stefana nie oznaczają przecież nic innego nad wyrażenie zawodowych wyrzutów. „Po prostu lęka się, że skazano niewinną i dlatego tak się przejmuję”, przeleciało jej przez głowę. Ale z drugiej strony ogarnęła ją na widok zrozpaczonej twarzy Stefana szarpiąca zazdrość o tamtą kobietę. Nieledwie, że żałowała, iż to nie ją skazano dzisiaj w sądzie za zbrodnię.

– Stefku – powiedziała spokojnie – ja rozumiem twoje uczucia w tej chwili, ale przecież nie sposób tak przejmować się każdą sprawą...

Ledwo wymówiła te wyrazy, natychmiast ich pożałowała. Poczwała, że one właśnie doprowadzą do czegoś strasznego i nieodwołalnego.

Ale nie stało się to jeszcze od razu. Stefan powtórzył tylko boleśnie, potrząsając głową:

– Każdą sprawą... każdą sprawą, o Elu.

Ramiona jego objęły Elę, która wtuliła się w nie z całej mocy. Jakże bardzo była stęskniona jego uścisku. Jak dobrze i bezpiecznie czuła się w jego objęciu. Czuła jednak, całą swoją istotą, że Stefan szuka w niej tylko jakiegoś zapomnienia i ucieczki.

I rzeczywiście, tuląc ją mocno do siebie, gładząc dłonią jej włosy i twarz, powiedział

nagle głosem, w którym łamały się łzy:

– Elu, gdybyś ty wiedziała, jak daleka jest ta sprawa od wszystkich, jakie dotychczas miałem. Od wszystkich, jakie jeszcze będę miał w całym moim życiu.

Ela zeszywniała w jego objęciu. Więc już teraz nadchodzi to, czego się tak straszliwie lękała? Więc teraz powie jej to okropne, to nieodwołalne? Nie, nie, ona nie chce! Ile dałaby teraz za to, by odwlec tę chwilę. Ale Stefan już mówił. Tuląc głowę Eli coraz mocniej do siebie, powiedział spokojnym już, ale śmiertelnie smutnym, głosem:

– Elu, ja kocham tę kobietę i to od dawna.

Czuł, że w objęciach jego stała się sztywna, jak martwa. Odsunął ją nieco od siebie, spojrzął w jej tak zmienioną, jakby nie tę samą twarz i spytał:

– Czy chcesz, bym powiedział ci wszystko?

Nie była w stanie mówić. Kiwnęła tylko w milczeniu głową. Jedna myśl, ostra jak sztylet i straszna jak śmierć, przeszła jej mózg.

„Więc to już po wszystkim. Teraz wiem na pewno. Już po wszystkim. „

Jak przez mgłę słyszała cichy głos Stefana, który opowiadał jej wszystko. O Paryżu, Joasi, latach tęsknoty, nagłym spotkaniu, mękach śledztwa, mękach procesu. Jak on mówił o tej kobiecie! Ile miejsca zajmowała w jego życiu! Jak on ją kochał!

Ela słuchała, nie straciła ani jednego słowa z tego opowiadania, ani jednego wyrazu, z których każdy wbijał się krwawiącym ostrzem w jej serce.

– Ty mnie zrozumiesz, Elu, – mówił dalej Kaniewski – ty mnie pojmiesz. Wiedziałem zawsze, że obok wszystkiego, mam w tobie prawdziwego, mądrego przyjaciela. Wiedziałem, że gdy spadnie na mnie nieszczęście, potrafisz się do niego odpowiednio odnieść, potrafisz mi pomóc, zamiast stać na przeszkodzie. Wiedziałem zawsze, że nie należysz do tych niemądrych kobieciatek, które są tylko zapatrzone w siebie, że poza kobietą jest w tobie człowiek.

Jakież to były straszne dla Eli słowa. Jakże ich w tej chwili nienawidziła. Jakże pragnęła być w tej chwili histerycznym kobiecikiem, z którego łzami, uczuciami i nawet kapryсами liczą się mężczyźni. Ale przecież była człowiekiem. A to zobowiązuje.

Wstała bardzo powoli, tak powoli, jak gdyby każda z jej stóp ważyła cetnary. Jedną dłonią zgarnęła z tapczana swój kapelusz, który tak delikatnie zdjął jej z głowy Stefan, drugą dłoń wyciągnęła do niego.

– Do widzenia Stefku, – powiedziała spokojnie, tak spokojnie, że niemal sennie. – Już pójdę.

A gdy całował długo jej zimną dłoń, dodała jak gdyby się usprawiedliwiając:

– Lepiej będzie, jeżeli teraz pójdę.

Za oknem szumiała gwałtowna, wiosenna ulewa.

Kaniewski miał widocznie wiele zaufania do jej człowieczeństwa i rozwagi. Nie sprzeciwił się ani jednym słowem. Powiedział tylko cicho:

– Ty wiesz zawsze najlepiej, co robić, Elusiu. Do widzenia.

Na schodach Ela oparła się o ścianę. Było jej dziwnie słabo.

W głowie nie miała ani jednej myśli. Tylko wciąż to samo, świdrujące jak sztylet, zdanie: „Więc już po wszystkim” a potem drugie: „Elu, ja kocham tę kobietę i to od dawna... od dawna... „ Deszcz walił zaciekle o szyby okienne klatki schodowej.

– I od dawna. , i od dawna... – szeptała Ela mimo woli, schodząc powolutku, ach, jak powoli, na dół.

Jakie ulice przeszła Ela tego wiosennego wieczora, kiedy ulewa szumiała nad miastem, gdzie szła, gdzie się zatrzymywała, kto na nią wołał, kto do niej mówił, tego nie była sobie w stanie potem nigdy przypomnieć.

Szła chwilami szybko, jakby ją ktoś gonił. Chwilami, tak powoli, że potracali ją wymijający przechodnie. Przechodziła gwarne, oświetlone ulice i boczne ciemne uliczki przedmieść, mijała jakieś parkany, z desek i piękne nowoczesne gmachy.

Miała uczucie, jakby coś nagle oderwało ją od życia. Ale co? Tego nie mogła sobie przypomnieć. W pewnym momencie uderzyła ją tak mocno pewna myśl, że aż się zatrzymała: „Może gdybym tam dzisiaj do niego nie poszedł, nie byłoby się to wszystko stało. Nie powiedziałby mi tego. Nie wiedziałabym. I wszystko byłoby dobrze”. Ale zaraz ją sama odpędziła. „Dobrze? Przecież on kocha tamtą i to od dawna, od dawna... Kochał ją przez ten cały czas, kiedy ja... kiedy mnie... „ I dopiero teraz z oczu jej wytrysnęły dwoma strumieniami łzy. Płakała, wstrząsana płaczem, najokropniejszym z płaczów: płaczem opuszczenia. – „Już po wszystkim. Już po wszystkim. „

Było już blisko północy, gdy Ela znalazła się na moście Poniatowskiego w pobliżu własnego domu. Szła teraz szybko przed siebie. Była znużona, pragnęła odpoczynku. Dwa długie szeregi latarni z dwu stron mostu wyciągały się przed nią, jak świetliste naszyjniki z okrągłych pereł. Każda z tych pereł otoczona była tęczową, migającą obręczą wilgotnych kropelek.

Ale Ela już sama nie wiedziała, czy to krople wiosennego deszczu, czy jej łez.

Pierwszy, prawdziwie ciepły, wieczór kwietniowy wywabił na ulice Warszawy tłumy ludzi. Płynęły chodnikami powoli, przepychając się jedni koło drugich i patrzyli na siebie, jakby nowymi, świeżo narodzonymi oczyma. Zdawać się mogło, że oto za chwilę przemówią do siebie całkiem obcy ludzie, by sobie wzajemnie zakomunikować, że naprawdę przyszła już wiosna. Kawiarnie były zapchane ludźmi, w małych restauracjach i barach, gęsto usianych na Nowym Świecie, nie można było znaleźć stolika.

W jednym z takich właśnie barów, w zapachu piwa i kapusty, w dymie papierosowym i zaduchu ciał ludzkich siedział nieruchomo przy stoliku od wielu już godzin niezwykle gość. Ubrany był ogromnie przyzwoicie, miał starannie przystrzyżone wąsiki, dobrze skrojone ubranie, niepokalaną chusteczkę w kieszonce, świetnie wyczyszczone obuwie. Na krześle obok stolika leżał nowiuteńki melonik. Ale wyraz twarzy tego człowieka dziwnie klócił się z jego zewnętrznym dobrobytem. Malowała się na tej twarzy tak okropna rozpacz, że aż graniczyła z obłędem. Bateria pustych butelek wskazywała na to, że ten niesamowity gość czyni tu to, co się pospolicie nazywa „zalewaniem robaka”. Pił szybko i jakby chciwie, wychylając jeden kieliszek za drugim, a po każdym kieliszku wstrząsał się i potem siedział długą chwilę w odrętwieniu. Przyglądający mu się ciekawie kelnerzy pod ścianą robili na boku o nim uwagi.

– Już trzeci dzień tak przychodzi – powiedział jeden z nich. – Zjawia się jeszcze w jasny dzień, a wychodzi nad ranem, jak zamykamy budę.

– Patrzcie, patrzcie, co on tam czyta... – zwrócił się mały pikolak.

Nieznajomy rzeczywiście wyjął z kieszeni jakąś przeraźliwie zmiętą gazetę, rozprostował ją nieco drżącymi palcami i pochylił się nad nią w skupieniu. Gdyby kelnerzy przyglądający mu się ze zdumieniem, mieli bystrzejszy wzrok, spostrzegliby, że czyta z takim natężeniem ostatnie sprawozdanie z procesu o zabójstwo Mariana Dorna: wyrok na oskarżonych Gorzeckiego i Domową.

Sprawa skończyła się już przed kilkoma dniami, ale nieznajomy widocznie nie mógł się jeszcze wciąż nasycić tą odczytywaną po dziesiątki razy wiadomością. Nagle, gdy tak pochylony nad gazetą czytał jej tekst, jakby ucząc się go na pamięć, drgnął. Ktoś zbliżył się do niego i uderzył go w ramię.

Podniósł głowę, schował prędko gazetę i ujrzał stojącego przed nim olbrzymiego draba.

– Nareszcie znalazłem „profesora” – powiedział tamten głosem bynajmniej nie życzliwym.

– Bo co? – mruknął niechętnie „profesor” Franek Przybosz.

– Jak to, bo co? Jeszcze się „profesor” pyta? To my szukamy profesora po całej

Warszawie od kilku dni, bo mamy ważne sprawy, „hintów” na piętach, a profesor tu pałę zalewa i nie melduje się?

Ale na Przyboszu nie zrobiło widocznie to przemówienie najmniejszego wrażenia. Utkwił załzawione oczy w przybyłym i powiedział z przejmującym smutkiem:

– Zalewam pałę... tak, tak, nic mi innego nie pozostaje... nic...

– Cóż to za jakieś pijackie brednie – odparł tamten, zniżając głos, gdyż przy sąsiednich stolikach zaczęto już się oglądać na dziwną parę. – Pójdzie „profesor” zaraz ze mną do Stelli. Nasi tam czekają. Sprawy są ważne.

Ujął pod rękę opierającego się i chwiejącego na nogach Przybosza, zapłacił dość pokaźny rachunek za jego wódkę i wyprowadził go na ulicę, zapchaną ludźmi. Przybosz szedł, zataczając się. Świeże wiosenne powietrze odurzyło go jeszcze bardziej. Przyglądano się z uśmiechem politowania temu dobrze ubranemu, młodemu jeszcze człowiekowi, którego towarzysz jego musiał nieledwie że nosić na rękach. Wreszcie nadarzyła się jakaś taksówka. Obaj wsiedli i drab rzucił adres salonu kosmetycznego.

Po drodze Przybosz drzemał.

Drab, korzystając z tego, zręcznym ruchem sięgnął do marynarki śpiącego, gdzie tamten wsunął skrawek gazety, czytanej tak chciwie w barze. W migotliwym świetle latarń, które taksówka mijała, drab przeczytał znany mu wyrok na Gorzeckiego i Domową.

Pokręcił głową, schował gazetę na to samo miejsce, z którego ją wyjął.

„Czemu on to czyta?” – myślał. – „Coś w tym jest. To bardziej szemrany facet niż wszyscy myślimy”.

Taksówka zatrzymała się przed domem. Przybosz otworzył oczy.

– Wsiadamy, profesorze – powiedział drab.

W tylnych salonach zamkniętego już zakładu kosmetycznego „Stella” zebrало się całe dobrane towarzystwo. Rudowłosa pani Stella na widok Przybosza aż załamała ręce w zdumieniu.

– Mój Boże, jak to się upił! Taki inteligentny człowiek i takie bydlę.

– Szukałem go przez trzy dni, zanim go znalazłem – zameldował drab.

– Nie wiem, co się z nim dzieje – powiedział siedzący w głębokim fotelu jeden z bandy. – Od czasu, jak się z nami stowarzyszył, jeszcze nie zrobił nam żadnego kawału. A teraz znikł na trzy dni.

Mówili jak o nieobecny, bo Przybosz, dopadłszy głębokiego fotela, natychmiast zachrapał.

– Mam wytłumaczenie tego jego pijaństwa – powiedział przybyły. – Patrzcie.

Szybkim ruchem wyjął z kieszeni Franka zmiętą gazetę.

Pochyliły się nad nią cztery głowy.

\* \* \*

Ela stała się mimo woli detektywem. Zrobiło się to tak nagle, że sama nie zdawała sobie nawet sprawy, w jaki sposób. W kawiarni, gdzie spotkała się z przyjaciółmi, przerzucając ilustrowane pisma, natrafiła na dużą, barwną fotografię kasjerki Bergowej. Widok jej rudych kędziorów, przy bladej matowej cerze przypomniał jej nagle, że raz już w życiu widziała taką samą kobietę. Przypomniała sobie bladą, mizerną dziewczynę o żółtych włosach, która jej odniosła do domu zgubiony list. I potem tę samą dziewczynę tak przemienioną, że nie mogła jej wcale poznać. Pamiętała jak objaśniała jej, że na żądanie swego przyjaciela tak ją przemienili. Strzępy tajemniczej rozmowy posłyszanej jeszcze jesienią w salonie „Stella” rozjaśniły jej w głowie. Wykombinowała, że ten salon „Stella” musiał być jakąś fabryką.

„O tym muszę koniecznie powiedzieć Stefanowi”, postanowiła w duchu. I natychmiast porozumiała się z Kaniewskim.

Serce jej biło mocno, kiedy przestępowała podwórze gmachu sądowego. Nie widziała Stefana już od dwóch tygodni. I myślała, że tak prędko go nie zobaczy. Kiedy drżącym trochę głosem opowiedziała mu szybko, co wiedziała o tej sprawie, milczał jeszcze przez długą chwilę, a potem patrząc na jej mizerną twarz, powiedział bardzo poważnie:

– Wszystko to, co mi powiedziałaś, moje drogie dziecko ma niesłychanie doniosłą wagę. Dziękuję ci za te informacje. Jesteś doprawdy doskonałym detektywem. Salon „Stella” już dawno zwrócił naszą uwagę. Właścicielki tego zakładu wydają się mocno podejrzone. Kilka spraw w ciągu ostatnich miesięcy wykazało, że musi gdzieś istnieć taki zakład, gdzie upodabniają jedne kobiety do drugich. Aresztowano kobiety podejrzone o napady bandyckie, a później okazywało się, że były to osoby zupełnie niewinne, które potrafiły wykazać swoje alibi, tylko ludzako podobne do poszukiwanych przez policję. Rozmowy, które słyszałaś, potwierdzają tylko nasze domysły. Szkoda tylko, moja droga, żeś mi wcześniej o tym nie opowiedziała. Teraz jestem już pewny. Właścicielki salonu „Stella” są związane z całą pewnością ze sprawą napadu na kasę bankową. To już nie ulega żadnej wątpliwości.

– Już od dawna chciałam ci powiedzieć o tych strzępach rozmów, które wtedy słyszałam – mówiła Ela – ale nie wiedziałam, że to takie ważne, nigdy nie przypuszczałam, że to ma związek z tyloma ważnymi sprawami.

Kaniewski w milczeniu ucałował jej obie ręce.

– Cieszę się, drogie dziecko, żeś do mnie z tym przyszła. Już tak dawno cię nie widziałem. Jesteś mizerna. To niedobrze.

Ela spuściła oczy, aby ukryć duże łzy, które gwałtem chciały popłynąć jej z oczu. Siłą woli powstrzymała się od płaczu.

Ale to widzenie ze Stefanem przyniosło jej ulgę. Zdawało jej się, że odkrycie o salonie „Stella” uspokoiło ją, że od tej chwili bolesna rana, jaką jej zadał Stefan, zaczęła się jakby powoli zablizniać. Wiedziała, że patrzył na nią spojrzeniem pełnym czułości i bólu, że czuje dla niej coś więcej niż sympatię i że on także cierpi nad ich rozstaniem, może tak samo jak ona.

Kiedy wieczorem tego samego dnia, siedząc w zacisznej pracowni przy otwartym oknie, opowiadała o wszystkim Michałowi, czuła jak jakiś nieznośny ciężar, który uciskał jej serce, powoli ustępuje...

Michał siedział, milcząc i wziął jej obie ręce w swoje dłonie. Przez długą chwilę nie mówili do siebie nic. Ale Ela zrozumiała po raz pierwszy, że ten wysoki, milczący mężczyzna jest w tej chwili może najbliższym człowiekiem, jakiego znała.

A on odgadł jakby jej myśli, gdyż patrząc jej prosto w oczy, powiedział nagle bardzo cicho:

– Tak, Elu, nikt na świecie nie może czuć do ciebie tego, co ja czuję. Wiedziałem, że przyjdzie taka chwila, że ocenisz to i w pełni zrozumiesz.

Przez otwarte okno wpadał do pokoju świeży powiew wiosennego wieczoru. Ela wychyliła się przez okno. W oddali, po obu brzegach Wisły, migwały niezliczone jasne światelka.

\* \* \*

Jeszcze tego samego dnia do salonu kosmetycznego „Stella” wkroczyła policja. Przerażone właścicielki nie zdążyły uporządkować swoich kompromitujących papierów. Było już za późno. Rewizja wydała pożądane rezultaty. Znaleziono cały szereg fotografii znanych bandytek i złodziejek, poszukiwanych przez policję. Fotografie te nie budziły żadnych wątpliwości.

Obie właścicielki, przyparte do muru, choć z początku wykręcały się zawzięcie, tłumacząc, że salon kosmetyczny spełniał jedynie żądania klientek, że zaświadczyć o tym mogą całe zastępy pań, niezwykle zadowolonych z pracy „Stelli” – w końcu jednak wobec oczywistych dowodów, musiały przyznać się do winy.

Wspaniały lokal z takim zapalem udekorowany przez Elę i z takim przepychem otwarty, został zamknięty i opieczętowany przez policję. Obie siostry, właścicielki zakładu, pytane o współników, wskazywały nazwiska bez wahania. Było to zresztą jedynie potwierdzeniem, gdyż wśród papierów znajdowały się wielokrotnie nazwiska tych, którzy razem z nimi pracowali.

Były tam nazwiska fotografa, robiącego zdjęcia, paru kobiet, zajmujących się makijażem, a wtajemniczonych w „robotę” i wreszcie nazwisko „profesora”.

– Któż to jest ten „profesor”? – spytał wywiadowca pani Stelli.

Spojrzała szybko na siostrę i po chwili wahania powiedziała:

– To Franciszek Przybosz. Pracuje z nami od paru miesięcy. Był kiedyś profesorem politechniki.

Wywiadowca zapisał sobie adres „profesora”.

– No, no, to musi być ciekawy ptaszek. Profesor politechniki, który robi takie interesy? – mruknął wywiadowca do policjanta.



– Tak, to chyba koniec świata. Co to za czasy!

Ale Franciszka Przybosza nie było w domu. Znalezione go późnym wieczorem w podręcznym barze, gdzie jak zwykle siedział nad prawie wypróżnioną butelką czystej.

Siedział zgarbiony nad stolikiem i tak zamyślony, że nie słyszał i nie widział zbliżających się do niego ludzi. Dwaj cywile zbliżyli się do stolika i dopiero, gdy jeden z nich dotknął ramienia Przybosza, ten ocknął się i podniósł na nich spojrzenie.

Kiedy oznajmili mu, że są z policji i że przyszedli go aresztować w imieniu prawa, nie spytał nawet za co go aresztują. Wstał ociężale, zapłacił kelnerowi i powoli poszedł za dwoma cywilami.

– A właściwie za co mnie aresztujecie?

Spojrzeni po sobie i wzruszyli ramionami. A jeden z nich odezwał się:

– Wiecie przecież za co. Za pracę w salonie „Stella” i za udział w napadzie na bank.

– Ach, tak – odpowiedział wciąż sennie i na pół przytomnie. – No dobrze. Niech i tak będzie.

„A więc znowu jestem pod wozem”, pomyślał ze smutkiem i z żalem spojrzał na porządny, wytworny, ciepły płaszcz, jasne rękawiczki i nowiuteńkie buty. „Po co mi to wszystko było? Po co? Czy nie lepiej było gnić w „Cyrku”? Po co mi były te pieniądze?

Machnął ręką zatopiony w swych rozmyślaniach.

\* \* \*

A nazajutrz wszystkie pisma pełne były sensacyjnych wiadomości o wykryciu niezwyklej szajki, gnieźdzącej się w salonie „Stella”, który fabrykował szeregi sobowtórów. Największym zainteresowaniem cieszyła się ostatnia afera – dziewczyny, zrobionej na sobowtóra Alicji Bergowej, kasjerki banku.

Sędzia Kaniewski siedział zamyślony nad aktami sprawy włamania do banku, gdy woźny Stanisław zameldował mu, że wprowadzono aresztowanego Franciszka Przybosza.

Po chwili naprzeciw biurka sędziego siedział już Przybosz. Jeden rzut oka na twarz tego człowieka opowiedział mu wszystko. Całą gehennę upadku tego inteligenta i uczonego, całą cierniową drogę upokorzeń, staczania się coraz niżej, wreszcie przejścia z drogi nędzy i pijaństwa na drogę występku. Ale to, co powiedział po chwili Przybosz było całkiem niespodziewane i uderzyło jak grom w sędziego Kaniewskiego.

– Czy przyznaje się pan do planowania zamachu na bank? – spytał Kaniewski Przybosza.

I wtedy właśnie nastąpiło to niespodziewane i nieprawdopodobne. Przybosz przechylił się przez stół i swym zachrypłym, pijackim szeptem, powiedział:

– Tak, przyznaję się, panie sędzio. I to nie tylko do tego przestępstwa. Przedtem zabiłem człowieka...

I zanim zdumiony sędzia zdążył ochłonąć, dodał szybko:

To ja zabiłem Mariana Dorna.

Kaniewski zerwał się z miejsca, jak rażony piorunem.

– Pan... pan?... – krzyknął. – Pan kłamie! To niemożliwe!

Przez głowę przeleciała mu jak błyskawica myśl o tym, że często psychopaci wmawiają sobie, że są sprawcami głośnych i sensacyjnych zbrodni. Ale następne słowa, wymówione przez Przybosza zmieniły ten nastrój. Przybosz powiedział powoli i poważnie:

– Mam dowody na to, że to ja zabiłem Mariana Dorna, panie sędzio. Opowiem jak to się stało.

– Niech pan mówi – powiedział sędzia cicho. Drżącą ręką nalał sobie szklanekę wody i wypił ją chciwie.

Przybosz zaczął swe opowiadanie.

– Siostra moja, Hanna Przyboszówna, jest nauczycielką szkoły ludowej w osadzie cukrowni Morany. Przyjeżdżałem do niej często. Gdy straciłem moje stanowisko w Warszawie, zamieszkałem u niej przez czas dłuższy. Tam poznałem pewną dziewczynę wiejską, która służyła jako pokojówka we dworze Dornów. Nazywała się Magda Pękalanka. Została moją kochanką. Kochałem ją bardzo i byłem o nią piekielnie zazdrosny... Pewnego dnia dowiedziałem się we wsi, że Pękalanka spotyka się z Marianem Dornem codziennie w leśniczówce, opuszczonej przez ludzi. Śledziłem ich, odkryłem, że to prawda... Spotkałem kiedyś w lesie Dorna i zagroziłem mu śmiercią, o ile dziewczyny nie porzuci... Wyśmiał mnie, potraktował jak chłopca, znieważył... Wróciłem do mego pijaństwa; gdy byłem pijany, układałem sobie plany zemsty, przysięgałem, że zabiję Dorna, pisałem nawet listy z pogrózkami... Magda, która o tym wszystkim wiedziała, opowiadała mi, że on te listy chowa w owej leśniczówce w obawie, żeby ich nie znalazła żona... Te listy tam jeszcze pewnie są, można sprawdzić. To będzie jeden dowód... Pewnego dnia upiłem się bardziej niż zwykle. Magda i jej piękne, młode ciało stało mi przed oczyma. Włóczyłem się po wsi, potem zobaczyłem otwartą bramę parku morańskiego; wszedłem. Właśnie gdy się tam znalazłem, rozpętała się burza; schroniłem się pod drzewami w okolicy strzeleckiego pawilonu. I gdy tak stałem ukryty w zaroślach, ujrzałem scenę, która mną wstrząsnęła. Człowiek, którego znałem z widzenia, pan Edward Gorzecki, podbiegł do pawilonu i z krzykiem usiłował wyzwąć Dorna, który był najwidoczniej w pawilonie, na pojedynek. Wymachiwał przy tym rewolwerem. W głowie zaświtała mi straszna myśl: „Jeżeli teraz strzelę zza pleców tego człowieka i zabiję Dorna, nikt nie będzie mnie podejrzewał, a Magda będzie już tylko moja”. Deszcz szumiał w liściach tak głośno, że mogłem bezkarnie podkraść się za plecy Gorzeckiego. Rewolwer miałem przy sobie. Wziąłem na cel głowę Dorna za szklanymi drzwiami pawilonu i strzeliłem. Potem rzuciłem się do ucieczki. Uciekając, natknąłem się na jedną osobę. Była to Magda, która biegła od strony dworu z okryciem dla swej pani. Krzyknęła strasznym głosem: „Franuś, co tu robisz?” Powiedziałem jej: „Zabiłem twego pana! Dla ciebie, Magda. Nie mów nikomu”. Krzyknęła straszliwie, ale ja uciekłem. Oparłem się aż na dworcu kolejowym. Do siostry już nie wróciłem. Nie chciałem jej widzieć od tego czasu...

Dalsze moje dzieje już pan sędzia zna... Jestem człowiekiem skończonym. Więc mogłem wyznać wszystko.

W gabinecie zapanowała po tym wyznaniu straszliwa cisza. Sędzia oddychał ciężko. Wargi jego poruszały się. Wymawiał jakieś wyrazy, które łączyły się w zdanie: „Chwała Bogu, chwała Bogu... „

Sprawdzenie słów Franciszka Przybosza było kwestią kilku godzin.

W Moranach znaleziono w starej leśniczówce listy z pogrózkami, jakie pisywał do Dorna. A co ważniejsze, zawiadzana na przesłuchanie Magda Pękalanka, widząc, że Przybosz wyznał wszystko, przyznała się, że od pierwszej chwili wiedziała, kto był prawdziwym sprawcą zbrodni. Oślaniała zbrodniarza, bo był jedynym człowiekiem w jej życiu, którego kochała.

Proces apelacyjny Edwarda Gorzeckiego i Joanny Domowej przyspieszono. Miał się stać jedną, wielką rehabilitacją tych niewinnie oskarżonych dwojga ludzi.

Wiść o odnalezieniu prawdziwego zabójcy Mariana Dorna zelektryzowała Warszawę. Nie było domu, żeby o tym nie mówiono. Nawet najzaciętsi przeciwnicy Domowej i Gorzeckiego zapierali się, że wrogo się do nich odnosili i cofali się na całej linii. Dornowa, niewinnie dręczona przez cały rok, wyrosła w oczach publiczności na jakąś świętą. Gorzeckiego żałowano również, ale powszechna opinia raczej współczuła tej biednej, tak bardzo krzywdzonej kobiecie.

O Franciszku Przyboszu krążyły jak najdziwniejsze wieści. Ten profesor, upadający coraz niżej, pijak i włóczęga, który po dokonanej zbrodni przystąpił do szajki złoczyńców, zaintrygował wszystkich bez wyjątku, stał się jakąś tajemniczą powieściową figurą, przypominającą przestępców z Dostojewskiego. Sprawa jego miała odbyć się w najbliższym czasie i mówiono, że grozi mu kara śmierci, lub w najlepszym razie długoletnie więzienie. Gazety opisywały jego dziwnie spokojną, kamienną postawę, pisano, że nawet na widzeniu z siostrą nie okazał najmniejszego rozczerwienia, że do wszystkiego się od razu przyznał i spokojnie zrezygnowany czekał na wyrok sądu. Adwokat, który go miał bronić, miał ciężkie zadanie, gdyż klient jego twierdził wciąż uparcie, że pragnąłby umrzeć.

Joanna Dornowa na wieść o wykryciu prawdziwego mordercy swego męża, wybuchła długim, spazmatycznym płaczem. Zdawać się mogło, że wraz z tym strumieniem słonych łez, wypływał z niej cały ogrom przeżytych cierpień i męki. Pierwszą jej myślą było, że on, Stefek, nareszcie dowie się naprawdę, że nie kłamała, że nareszcie uwierzy...

I znowu po raz drugi zebrała się publiczność, łaknąca sensacji na sali sądowej. Znowu zobaczyła czarno ubraną, drobną kobietę o bladej, smutnej twarzyczce i wytwornie ubranego, o nerwowych ruchach Edwarda Gorzeckiego. Ale tym razem nastrój na sali sądowej był znacznie pogodniejszy. Twarze publiczności były uśmiechnięte radośnie. Wszyscy czuli, że ta niewinnie cierpiąca kobieta, nareszcie odetchnie. Że nareszcie będzie wolna, uwolniona od straszliwego podejrzenia.

Na sali sądowej był ktoś, kto przeżywał ogrom radości i całe piekło niepokojów i

udręczeń. Był to sędzia Kaniewski. Po wyznaniu Franciszka Przybosza cały świat zawirował mu w oczach. Przypomniawszy sobie z okrutną dokładnością każdy szczegół, dotyczący swych badań; wszystkie męki, jakie zadawał Domowej, tortury pytań, którymi ją dręczył.

Do czego to wszystko prowadziło, skoro nikt z nich nie mógł dotrzeć do prawdy, skoro prawda była jedna, jedyna, a nikt nie potrafił uchylić jej rąbka? Jakże mógł wątpić w prawdę tych jedynych w świecie oczu? Jakże mógł przypuszczać, że te oczy kłamały?

Stało się nagle jasne, że Joanna nigdy nie kochała Gorzeckiego i że tym człowiekiem, którego w młodości kochała, i którego nazwiska nie chciała powiedzieć na sali sądowej, był... Nie, tego do końca nie mógł wypowiedzieć nawet w swoich myślach. Spojrzał na nią. Mój Boże, ileż łez wylało to biedactwo, ileż cierpień zadawał jej on, jej kat, potwór bez serca, zimny, oschły prawnik! Unikała jego wzroku, patrzyła prosto przed siebie, w twarz publiczności lub spuszczała nisko głowę, nie patrząc na nikogo. Ale jego unikała. Dlaczego? Sercem jego targnął jakiś nagły niepokój. Czyżby go już nie kochała? Może te wszystkie cierpienia, które jej w ciągu roku zadawał, sprawiły, że serce jej skamieniało dla niego, że obrzydł jej jak ktoś, zbyt blisko związany z tą okropną sprawą. Może nie będzie go już chciała więcej zobaczyć?

Natychmiast po ukończeniu sprawy Joanna Dornowa i Edward Gorzecki zostali zwolnieni z więzienia z przywróceniem wszelkich praw.

Na próżno usiłował Kaniewski dotrzeć jeszcze w sądzie do Joanny. Kiedy się do niej zbliżył, odwołał ją na bok, nie zważając na to, że stali obok niej adwokat Zalewski, ciotka Gorzecka i jeszcze parę osób, spojrzała na niego i wyciągając do niego rękę, powiedziała bardzo cicho, jakby do siebie:

– Może za parę dni? Teraz jestem taka zmęczona. – Przetarła ręką po czole. – Taka strasznie zmęczona. Odnajdzie mnie pan w Hotelu Europejskim.

Podawała mu szybko rękę i odeszła, wymijając gromadzący się tłum publiczności.

„Boże, jaką zimną miała rękę, zupełnie nie ta, co dawniej, zupełnie inne dotknięcie”.

Szedł do domu. Był ciepły majowy dzień. „Jak na maj, za gorąco”, myślał Stefan, „pewnie będzie burza. Taki sam dzień, jak wtedy w Moranach. Akurat rok temu, wtedy był także maj... „ Myśli mu się mąciły. Czuł, że powinien być szczęśliwy, a jednak smutne spojrzenie jej oczu i – to, że nie chciała z nim mówić, niepokoiło go tak bardzo, że nogi ledwie nie odmawiały mu posłuszeństwa. Czuł się tak bardzo wyczerpany nerwowo, jakby to on siedział przez rok w więzieniu, oskarżony o zabójstwo, jakby to jego dręczyli.

Szedł Miodową, Senatorską, przez Plac Teatralny. Chłopcy, krzycząc przeraźliwymi głosami, oznajmiali o uwolnieniu Domowej i Gorzeckiego. Ludzie rozchwytywali dodatki nadzwyczajne, komentując po raz nie wiadomo który tę samą sprawę. Kiedy skręcał w ulicę Wierzbową, poczuł pierwsze ciężkie krople nadciągającej ulewy.

Przez trzy dni nie wychodził sędzia Kaniewski z domu. Panna Maria, zaniepokojona jego wyglądem i stanem nerwów chciała zawołać lekarza, ale on stanowczo odmówił. Ilekroć

chciał telefonować do Hotelu Europejskiego, ręka, którą wyciągał do telefonu, cofała się i opadała bezwładnie.

Pragnął do niej pojechać, ale nie mógł się zdobyć nawet na ogolenie. Od paru dni niegolony zarost pokrył mu policzki, oczy mu wpadły; wyglądał jak człowiek ciężko chory. Pragnął, aby ona zadzwoniła do niego i krążąc bezustannie dokoła czarnego, lśniącego przedmiotu, czekał z bijącym sercem, aż się do niego odezwie. Kiedy któryś z przyjaciół telefonował, wymawiał się brakiem czasu lub złym samopoczuciem.

Aż wreszcie po trzech dniach postanowił wyjść na miasto. Po dwóch dniach deszczów powietrze ochłodziło się trochę. Stefan Kaniewski szedł szybkim krokiem, wdychając słodki zapach kwitnących kasztanów. Zatrzymał przejeżdżającą taksówkę.

– Do Hotelu Europejskiego.

Opierając się o poduszki samochodu myślał bez przerwy, co też jej powie, kiedy ją zobaczy. Co on jej powie i co ona jemu.

Portier oświadczył mu na dole, że pani Dornowa wyjechała poprzedniego wieczoru do Paryża.

– Czy nie zostawiła dla nikogo żadnego listu?

Portier szukał długo, a potem odpowiedział obojętnie:

– Nie. Nic nie zostawiła.

\* \* \*

Joanna siedziała na ławce w Ogrodzie Luksemburskim. Nie wiedziała dobrze, co ją przygnało w takiej chwili do miasta miłości, gdzie trzeba być szczęśliwą i kochaną. Może wspomnienia pierwszej młodości, kiedy to jeszcze żaden ponury cień nie przesłonił jej życia.

Zaraz po procesie wiedziała, że musi się wystarać jak najszybciej o paszport i tu przyjechać sama. Zajechała do tego samego małego hoteliku w Quartier Latin i przez pierwsze dni chodziła po ulicach, szukając śladów dawnych pamiątek.

Siedząc samotnie na ławce, starała się odgrzebać w swej pamięci każdy drobiazg z tamtych, dobrych dni. Dookoła niej przechodziły przytulone parki studentów, midinetek wracających z pracy do domu. Zbliżała się siódma. Na zachodzie niebo lekko różowiało.

„Gdybyś się teraz obok mnie znalazł, Stefku” – myślała Joasia – „powiedziałabym ci wszystko, wszystko. I to, że tylko ciebie kochałam i Kocham i to, że tylko twego imienia nie chciałam wymówić na sali sądowej i to, że się nie gniewam za twoją pomyłkę, że przebaczam ci wszystkie cierpienia, jakie mi zadałeś. Ale ty jesteś daleko, daleko. . Ciebie tu nie ma. „

I nagle stał się cud. Od strony fontanny Medycejskiej zobaczyła zbliżającego się kogoś, kto wyglądał zupełnie jak Stefek. Zrazu sądziła, że to jakaś halucynacja, jakieś złudzenie. A po chwili wiedziała już, że to nie było złudzenie. Wtedy, nie myśląc o niczym, puściła się mu naprzeciw i rzuciła się w objęcia, nie zwracając uwagi na przechodzących ludzi.

– Joasiu, dziecko najdroższe, przebacz mi.

Podniosła ku niemu twarz zalaną łzami.

– Stefku, jakże długo czekałam na tę chwilę.

**KONIEC**